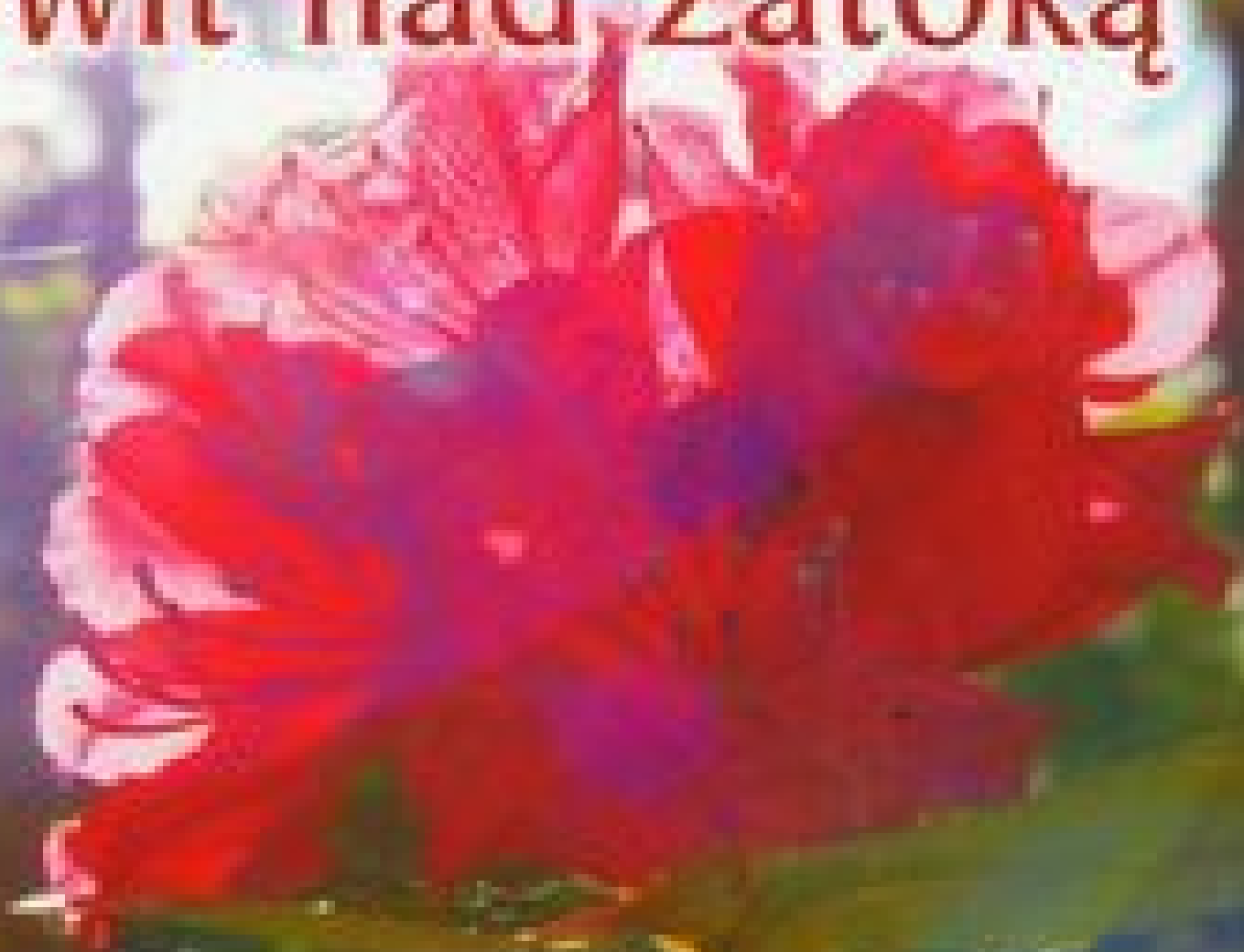


JAYNE ANN
KRENTZ

Świt nad zatoką



WSZYSTKO DLA PANI Powieść obyczajowa

Krentz Jayne Ann

Świt nad zatoką

seria Eclipse Bay tom 02

Rozdział 1

- Pozbywasz się mnie? - Gabe Madison przystanął na środku dywanu. Nie wierzył własnym uszom. Na jego surowej twarzy malowało się oburzenie. - Nie możesz się mnie pozbyć. Jestem klientem. Nikt nie pozbywa się klientów.

- Ja się pozbywam. - Lillian Harte siedziała niewzruszona za eleganckim biurkiem, z dłońmi splecionymi na gładkim, szklanym blacie. Z całej siły starała się nie stracić nad sobą panowania. - Przeprowadzam redukcję.

- Redukcja polega na zmniejszaniu liczby pracowników, nie klientów. Co z tobą? Podobno prowadzisz tu biuro matrymonialne. - Gabe wskazał kosztownie wyposażony gabinet, za którego oknami, aż po horyzont, rozciągało się Portland. Potrzebujesz klientów.

- Z niektórymi jest więcej kłopotu niż pożytku. Gabe zmrużył zielone oczy.

- I ja niby jestem takim klientem?

- Tak. - Rozplotła dłonie i odchyliła się na oparcie fotela. - Przykro mi, naprawdę.

- Jasne, już ci wierzę. Uśmiechnął się zimno.

- To był błąd, Gabe. Mówiłam ci to na początku, kiedy wymyśliłeś, że chcesz skorzystać z usług Private Arrangements. Tłumaczyłam, że pewnie nic z tego nie będzie. Ale ty nie przyjmowałeś odmowy.

Zresztą, nic dziwnego, pomyślała. W końcu Gabe nie podźwignął swojej rodziny z upadku i nie zbudował Madison Commercial, dobrze prosperującej firmy, licząc się z czymś tak banalnym jak odmowa. Tylko Harte, a więc i ona, mógł w pełni docenić osiągnięcie Madisona. Tylko Harte rozumiał, ile wysiłku Gabe musiał włożyć, żeby przełamać trwające od trzech pokoleń pasmo porażek i odbudować imperium.

Jej ojciec często mawiał, że Gabe odniósł sukces, bo opanował sztukę samokontroli - niesamowite osiągnięcie jak na Madisona. Ale od kiedy Gabe został klientem Private Arrangements, Lillian zaczęła podejrzewać, że nie tylko nauczył się powściągać swoją porywczosć, ale przy okazji stłumił wiele innych emocji. Przypuszczała, że Gabe nie pozwalał sobie na żadne silniejsze uczucia. I pewnie płacił o wiele wyższą cenę za swój triumf, niż ktokolwiek zdawał sobie z tego sprawę.

Owszem, uśmiechał się, ale nigdy się nie śmiał. Chyba nie był rozrywkowym facetem. Widywała go zirytowanego, tak jak teraz, ale ani razu nie stracił panowania nad sobą. Kobięca intuicja podpowiadała jej, że owszem, interesowały go kobiety, ale nie przekraczał granicy między fizyczną satysfakcją a prawdziwą namiętnością. I mogła się założyć, że nigdy nie był zakochany, bo nie pozwolił sobie na takie ryzyko.

I on spodziewał się, że Private Arrangements znajdzie mu żonę? Nie było szans.

- Ja nie popełniłem błędu - powiedział Gabe. - Dokładnie wiedziałem, co robię i czego chcę, kiedy zgłosiłem się do ciebie. To ty popełniłaś błąd. I to nie jeden, a pięć.

- Fakt, że nie wypaliło wszystkich pięć randek, na które cię umówiłam, powinien chyba coś mówić nam obojgu - odparła, próbując załagodzić sytuację.

- Zgadza się. Mówi. Że pięć razy spieprzyłaś sprawę.

Wiedziała, że ta rozmowa nie będzie łatwa, ale nie spodziewała się, że Gabe okaże się aż tak uparty. Nie wyszło i tyle. Powinien zadowolili się zwrotem pieniędzy i nie robić afery.

Zacząła się trochę niepokoić, że Gabe tak się zapiera, żeby pozostać jej klientem. Poniewczasie zdała

sobie sprawę, że był przyzwyczajony walczyć do upadłego, jeśli mu na czymś zależało. Powinna się domyślić, że ten facet tak łatwo nie zrezygnuje.

Oparła się łokciami o biurko i bawiła długopisem; chciała zyskać trochę czasu na zebranie argumentów. Nic nigdy nie było proste między Madisonami a Harte'ami. Młodszy członkowie tych dwóch rodzin lubili udawać, że dawny konflikt, który wybuchł między ich dziadkami i doprowadził do upadku dynamicznie rozrastającego się imperium, w ogóle nie dotyczy następców. Ale mylili się. Skutki odbiły się na dwóch kolejnych pokoleniach. Gabe stanowił idealny przykład tego, że przeszłość była nadal żywa.

- Ja uważam, że wywiązałam się z umowy - powiedziała. - W ciągu ostatnich trzech tygodni zorganizowałam ci pięć randek.

- No właśnie. Pięć. Zapłaciłem za sześć.

- Narzekałeś na wszystkie pięć. Szósta byłaby tylko stratą czasu.

- Te pięć niewypałów to twoja wina. - Zaciśnął szczęki. - Albo programu komputerowego. Nieważne. Kandydatki po prostu nie były dobrze dobrane.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się lekko. - Nie rozumiem, jak to możliwe. Powinny doskonale pasować. Analiza komputerowa wykazała, że w przeszło osiemdziesięciu pięciu procentach odpowiadały twoim wymaganiom.

- Tylko w osiemdziesięciu pięciu? To wszystko wyjaśnia. - Uśmiechnął się kwaśno. - Problem w tym, że ty i twój komputer odwalacie chałturę. Nie znaleźliście ani jednej kandydatki, która spełniałaby moje oczekiwania w stu procentach.

- Bez żartów, Gabe. - Odłożyła starannie długopis. - Stuprocentowy ideał nie istnieje. Posługuję się programem komputerowym, nie magiczną różdżką.

- W takim razie niech będzie dziewięćdziesiąt pięć procent. - Rozłożył dłonie. - Jestem elastyczny.

- Elastyczny? Wpatrywała się w niego przez chwilę skonsternowana, a potem stłumiła śmiech. Bez urazy, ale jesteś równie elastyczny, jak stalowy pręt. I tak samo twardy, pomyślała. Jego charakterystyczny uniform - drogie, stalowoszare garnitury, grafitowo-szare koszule, srebrne spinki do mankietów z onyksami i krawaty w srebrno-czarne paski - obrósł już legendą wśród miejscowych biznesmenów, którzy ubierali się swobodniej. Ale elegancki strój był kiepskim kamuflażem żelaznej woli, zahartowanej w gorącym ogniu walki.

Łatwo było zauważyć jej oznaki. W każdym razie Lillian nie miała z tym problemu. Żelazna wola Gabe'a uwidaczniała się w jego chodzie - poruszał się z gracją urodzonego myśliwego. Widoczna była w jego postawie i chłodnym, czujnym spojrzeniu. Zawsze w stanie gotowości mimo pozornego rozluźnienia. Jego wewnętrzna siła tworzyła niewidzialną aurę. Ten mężczyzna nigdy nie działał pod wpływem impulsu. Miał wszystko pod kontrolą.

Najbardziej jednak niepokoiło Lillian to, że Gabe nie tylko budził jej zainteresowanie, ale i fascynację.

Właściwie znała go przez całe życie. Pochodził z Eclipse Bay, na wybrzeżu Oregonu, gdzie Harte'owie od zawsze mieli letni dom. Jako nastolatka czasami wpadała na Gabe'a w tym małym miasteczku - ale był Madisonem. Wszyscy wiedzieli, że mężczyźni z tej rodziny oznaczali kłopoty. Porządne dziewczęta mogły sobie pozwolić na niewinne fantazje; ale nie umawiały się z Madisonami. Poza tym Gabe był od Lillian pięć lat starszy, a jak jeszcze dodać do tego skomplikowaną historię stosunków obu rodzin, powstawała bariera nie do pokonania. Ten mur przetrwał nienaruszony aż do ślubu jej siostry Hannah z jego bratem, Rafe'em, przed kilkoma

miesiącami. Całe miasteczko było w szoku. Czyżby niesławny konflikt między Harte'ami a Madisonami w końcu został zażegnany? To pytanie wciąż pozostawało zagadką.

Po spotkaniu z Gabe'em na weselu Lillian poczuła dziwne pobudzenie i niepokój. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć, ale miała nadzieję, że jej przejdzie. Jednak kiedy kilka tygodni później wszedł do Private Arrangements, zdała sobie sprawę, że czekała na niego. Nie potrafiła wyjaśnić dlaczego, ale gdy dotarło do niej, że zjawił się tylko jako klient, poczuła się zawiedziona.

Mimo to pozwoliła sobie na kilka interesujących fantazji z jego udziałem.

Potem wypełnił długi kwestionariusz, z którego wprowadzała dane do programu. „Tylko nie typ artystki” - napisał. Pewnie to jedno z nielicznych miejsc w formularzu, gdzie był absolutnie szczerzy.

- To nie moja wina. że dobrałaś mi nieodpowiednie kandydatki - powiedział.

- Doskonale pasowały. Uniosła zamkniętą dłoń. - Wszystkie z wyższym wykształceniem. Wyprostowała jeden palec. - W odpowiednim przedziale wiekowym. Wyprostowała drugi palec. - Spełnione zawodowo i finansowo niezależne. Trzeci palec. - Nie miały nic przeciwko, żeby zabawiać twoich klientów. Kolejny palec.

- I żadna z nich z pewnością nie była typem artystki. Wszystkie były dziwnie zainteresowane moimi dochodami. I nawet nie bardzo się z tym kryły.

- A dlaczego miały się kryć? Ty byłeś bardzo zainteresowany ich statusem finansowym. Wyraźnie zaznaczyłeś, że mają być dobrze sytuowane.

- Bo nie chcę żeby kobieta wyszła za mnie dla pieniędzy. - Odwrócił się i zaczął krążyć po gabinecie. - I jeszcze jedno. Wszystkie były zbulwersowane, kiedy wspomniałem o kontrakcie przedmałżeńskim.

- Gabe. zastanów się! Kto wyjeżdża z czymś takim na pierwszej randce?

- A do tego gadały o długich wakacjach na południu Francji i swoich drugich domach na Maui. Ja nie mogę sobie pozwolić na miesiąc wakacji.

- A w ogóle na wakacje?

- Do diabła, mam firmę na głowie.

- Mhm. Zero wakacji. Naprawdę rozrywkowy facet, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

- Aha... - Odwrócił się do Lillian. - Wszystkie mają też Bóg wie jakie oczekiwania.

- A ty nie? Wydawał się szczerze zdumiony. Jego twarz przybrała surowszy wyraz.

- Nie. Już ci mówiłem, jestem bardzo elastyczny. Pochyliła się do przodu.

- Posłuchaj, Gabe Podobno za każdym razem, już po półgodzinie od rozpoczęcia randki, nie kryłeś znudzenia.

Wzruszył ramionami.

- Mniej więcej po takim czasie uświadamiałem sobie, że znowu źle wybrałaś.

- Musiałeś zerkać po kryjomu na zegarek jeszcze przed daniem głównym?

- Od razu po kryjomu. Owszem od czasu do czasu patrzyłem na zegarek. Co z tego? Czas to pieniądz.

- I wszystkie zgodziły się co do jednego: nie ma w tobie za grosz romantyzmu.

- A co tu ma romantyzm do rzeczy? - Z irytacją gwałtownie przeciął dłonią powietrze. Jeśli o mnie chodzi, były to spotkania czysto biznesowe.

- Czysto biznesowe. Nie wiedzieć czemu, one widziały to trochę inaczej.

- Do cholery, szukam żony. Nie dziewczyny.

- Rozumiem. Odchrząknęła. - Powiedziały mi jeszcze, że kiedy już zdołały nawiązać z tobą rozmowę, to i tak do niczego nie prowadziła, bo obsesyjnie obawiasz się, że zostaniesz poślubiony dla

pieniędzy.

- Też byś się obawiała, gdyby każdy facet, z jakim się umawiałaś, chciał wiedzieć, ile zainwestowałaś w branżę nowych technologii, a ile w obligacje i nieruchomości. Urwał, zastanawiając się nad czymś. - Może powinienem chodzić na randki pod przybranym nazwiskiem.

- Tak, jasne. Ukrywanie prawdy to znakomity sposób na rozpoczęcie poważnego, trwałego związku. I wiesz, że niejeden facet okazywał niezdrowe zainteresowanie moimi finansami. Nazywam się Harte, pamiętasz?

- No tak. Harte Investments.

- Właśnie, Wszyscy wiedzą, że razem z bratem i siostrą dziedziczymy firmę. Poza tym całkiem dobrze wyszłam na Private Arrangements.

Omiótł wzrokiem elegancki gabinet.

- Słyszałem, że masz klientów z wyższej półki. I nieźle sobie liczysz za usługi.

Obdarzyła go przelotnym uśmiechem.

- W skrócie moje wyniki finansowe mogą być atrakcyjne dla pewnego typu facetów. Ale staram się nie generalizować. Nie ogarniają mnie lęki, że każdy facet, który się ze mną umawia, chce się dostać do moich pieniędzy.

- Fajnie - mruknął. A nie uważasz, że to trochę naiwne? Zacisnęła zęby.

- Nie jestem naiwna.

Wzruszył ramionami i podszedł do okna, skąd rozciągał się widok na rozmyte deszczem miasto, aż do rzeki Willamette. Lillian podążyła za jego wzrokiem. W mieście zaczynały zapalać się światła. Krótkie zimowe dni były ceną, jaką północny zachód płacił za wyjątkowo długie dni w lecie.

- Okay, może i mam obawy, że jakaś kobieta wyjdzie za mnie ze względu na Madison Commercial - powiedział cicho Gabe. - Kilka razy niewiele brakowało.

- Błagam, chcesz mi wmówić, że nigdy się nie ożeniłeś ze strachu przed nieuczciwą kobietą? Nie kryła sceptycyzmu. - Trudno w to uwierzyć. Nie zawsze byłeś bogaty i odnosiłeś sukcesy. Wręcz przeciwnie.

Przypatrywał się mgłę otulającej miasto, w którym zapadał zmrok.

- Kiedy nie miałem jeszcze pieniędzy, byłem zbyt pochłonięty Madison Commercial, żeby związać się z kimś na poważnie.

- W to mogę uwierzyć. Na chwilę zapadła cisza.

- Ale nie tylko to powstrzymywało mnie przed małżeństwem.

- Nie?

- Nie spieszyło mi się, żeby dopełnić tradycji Madisonów. Przyglądała się mu zmrużonymi oczami.

- Nie rozumiem.

- Dla mojej rodziny typowe są nieudane związki i rozwody. Małżeństwo to nie nasza specjalność.

Wyprostowała się na fotelu.

- Wybacz, ale już dłużej nie możesz się tym zasłaniać. Twój brat przełamał złą passę. Rafe i Hannah będą udanym małżeństwem.

- Wydajesz się tego bardzo pewna.

- Bo jestem tego pewna. Zaciekawiony spojrział na nią przez ramię.

- Niby czemu? Nie sprawdziłaś ich tym swoim programem.

- To się po prostu czuje - powiedziała spokojnie. - Łączy ich szczególna więź. Nie sądzę, żeby któreś nawet spojrzęło na kogoś innego, dopóki mają siebie nawzajem. Czuje się, tak? Nazwij to kobiecą

intuicją.

- Intuicja to zabawne słowo w ustach kobiety, która swata ludzi za pomocą programu komputerowego. Nie myślałem, że możesz przywiązywać aż tak dużą wagę do intuicji.

- Kobiety lubią szczylić się swoją intuicją. - Ta rozmowa zmierzała w niebezpiecznym kierunku. - A ty uważasz, że ich małżeństwo nie wypali?

- Ależ skąd - odparł zadziwiająco swobodnie. - Będzie udane. Absolutne przekonanie w jego głosie zbiło Lillian z tropu.

- Słucham? Przed chwilą nabijałeś się z mojej intuicji. Skąd u ciebie pewność, że im wyjdzie?

- Na pewno nie opieram się na intuicji.

- To na czym?

- Na prostej logice. Po pierwsze, to oczywiste, że Hannah jest namiętnością Rafe'a. A wiesz, co ludzie mówią o Madisonach.

- Nic nie stanie pomiędzy Madisonem a jego namiętnością - wyrecytowała.

- Zgadza się. Poza tym, wy, Harte'owie jesteście stworzeni do małżeństwa. Nigdy nie słyszałem o rozwodzie w waszej rodzinie. Moim zdaniem połączenie tych czynników wróży Rafe'owi i Hannah sukces.

- Rozumiem. - Czas zmienić temat. - No dobrze, skoro się zgadzamy, to po co roztrząsamy tę kwestię? Gabe odwrócił się od okna i znów zaczął krążyć po gabinecie.

- Niczego nie roztrząsamy. Byłem tylko ciekaw, skąd bierze się twoja pewność, skoro nie skorzystałaś z programu. To wszystko.

Spojrzała niespokojnie na laptop na biurku. Ostatnio musiała sama przed sobą przyznać, że jej sukces jako swatki nie był wyłącznie zasługą programu komputerowego. Ale prawda wydawała się zbyt niepokojąca, żeby rozmawiać z kimkolwiek na ten temat, a zwłaszcza z Madisonem. Ona sama miała z tym problem.

Uświadomienie sobie, że łączy ludzi w dobrane pary, opierając się nie tylko na komputerowej analizie, ale też swojej intuicji i sporej dawce zdrowego rozsądku, miało poważne konsekwencje. W końcu brała na siebie wielką odpowiedzialność. Była przewodniczką swoich klientów i pomagała im w podjęciu życiowej decyzji. Z każdym dniem coraz bardziej ciążyło jej ryzyko popełnienia pomyłki. Na razie wszystko szło dobrze, ale coraz częściej doświadczała nieprzyjemnego wrażenia, że stąpa po cienkim lodzie.

Najwyższa pora się wycofać. Zanim zdarzy się nieszczęście. I tak chciała się już zająć czymś innym. Choć narastający niepokój, który wynikał z codziennego ryzyka, nie był głównym powodem chęci zakończenia kariery swatki, zdecydowanie pomógł Lillian w podjęciu decyzji o zamknięciu firmy. Szybkim zamknięciu.

Nie spieszyło się jej, żeby oznajmić swoje zamiary rodzinie. Dobrze wiedziała, że klan Harte'ow nie przyjmie tych planów z entuzjazmem. Ale ona już postanowiła. Teraz na drodze do nowej kariery stał już tylko Gabe Madison. Był jej ostatnim klientem. Niestety, pozbycie się go było znacznie trudniejsze, niż przypuszczała.

Gabe zatrzymał się przed biurkiem i wsunął kciuk za pasek spodni.

- Podsumujmy powiedział. - Chcesz się mnie pozbyć, bo nazywam się Madison, a ty Harte.

Wzniosła oczy ku sufitowi, jakby stamtąd miała spłynąć na nią cierpliwość i wyrozumiałość. Wzięła głęboki oddech.

- To nie ma nic do rzeczy - zaczęła powoli. - Nic mnie nie obchodzi dawny konflikt. A zresztą nie

mogłabym się nim zaślaniać teraz, kiedy twój brat i moja siostra zostali małżeństwem.

- To, że Rafe i Hannah są razem, nie oznacza jeszcze, że zmieniłaś zdanie co do reszty Madisonów.
- Daj spokój, Gabe, tę aferę rozpętali nasi dziadkowie. Co mnie obchodzą jakieś przedpotopowe bzdury.
- Tak? - Jego uśmiech był ostry jak brzytwa. - Chcesz powiedzieć, że nadaję się do poważnego, trwałego związku?

Ten sarkazm wyprowadził Lillian z równowagi. Sporo przeszła od dnia, kiedy Gabe pojawił się w biurze Private Arrangements. To, że zdominował jej fantazje, było w tym wszystkim najmniejszym złem.

- Uważam, że jak najbardziej nadajesz się do poważnego, trwałego związku - powiedziała. - Ale zdaje się, że już w nim jesteś.
- O czym ty mówisz?
- Cóż, jesteś bez reszty zaangażowany w bardzo poważny związek z Madison Commercial.
- Madison Commercial to moja firma. Oczywiście, że poświęcam jej dużo czasu i energii. Ale to ma się nijak do małżeństwa.
- Madison Commercial jest twoją namiętnością, Gabe. Wiele poświęciłeś, żeby ją zbudować.
- No i co?

- Należysz do rodu Madisonów. Jak sam dobrze wiesz, nic nie stanie pomiędzy Madisonem a jego namiętnością.

- A niech mnie! Miałem rację. - Wyszarpnął kciuk zza paska i położył dłoń na biurku. Jesteś do mnie uprzedzona z powodu przeszłości.

- Przeszłość nic ma tu nic do rzeczy. - Czują narastające zdenerwowanie. Miała paskudne przeczucie, że jej twarz płonie. Pewnie była czerwona jak burak. - Problemem jesteś ty.

- To znaczy, że jako właściciel odnoszącej sukcesy korporacji nie mogę być dobrym mężem?

Przez chwilę milczała.

- Tego nie powiedziałam zauważyła ostrożnie. - Ale jeśli chcesz, żeby udał ci się związek z kobietą, będziesz musiał trochę inaczej się za to wszystko zabrać.

- Czyli? - Westchnęła.

- Zmień nastawienie, Gabe.

- Czy to źle, że próbuję znaleźć żonę, kierując się logiką i zdrowym rozsądkiem? Myślałem, że kto jak kto, ale ty to zrozumiesz.

- Dlaczego? Bo jestem Harte, a wy, Madisonowie, uważacie, że w naszych żyłach zamiast krwi płynie woda?

- Jesteś właścicielką skomputeryzowanego biura matrymonialnego, prawda? Czy twoja praca nie wymaga, żebyś podchodziła do małżeństwa bez emocji?

Cholera. Nie dopuści do tego, żeby przez Gabriela Madisona czuła się niezręcznie we własnym biurze. Harte'owie nigdy nie pozwalali, żeby Madisonowie tak sobie z nimi pogrywali.

- Jest pewna różnica między inteligentnym a zimnokrwistym szukaniem partnera powiedziała spokojnie.

- Ja oczywiście robię to ? zimną krwią, tak?

- Słuchaj, to ty wypełniłaś kwestionariusz, z którego dane wprowadziłam do programu, nie ja.

Przez moment patrzył na Lillian w milczeniu.

- Co ci się nie podoba w moich odpowiedziach? - zapytał łagodnie. Klepnęła leżące przed nią

wydruki.

- Zgodnie z wynikami szukasz robota, nie żony.
- Bzdura. Wyprostował się i przeczesał palcami ciemne włosy. - Jeśli do takich wniosków doszedł twój idiotyczny program, to lepiej rozejrzyj się za nowym oprogramowaniem.
- Nie sądzę, żeby program nawalił.
- Robota, tak? - Pokiwał głową. - Może dlatego te randki nie wypaliły. Może umówiłaś mnie z pięcioma robotami. Jak się nad tym zastanowić, wszystkie kobiety były za chude i jakoś mechanicznie próbowały wypytywać mnie o finanse.
- Dostałeś dokładnie to, czego chciałeś. Wyraźnie określiłeś swoje oczekiwania w kwestionariuszu - powiedziała słodkim głosem. - Twoje odpowiedzi były pozbawione emocji, z wyjątkiem dwóch kwestii: mocno podkreśliłeś niechęć do artystek i zawzięcie upierałeś się przy konieczności zawarcia umowy przedmałżeńskiej.
- A brak emocji to problem?
- Bardzo utrudnia znalezienie partnerki dla ciebie.
- Myślałem, że bez emocji będzie łatwiej.
- Nie zrozum mnie źle - powiedziała. - Jestem wielką zwolenniczką kierowania się logiką przy zawieraniu małżeństwa. Stworzyłam firmę, opierając się na tej przesłance. Ale ty popadasz w skrajności. Szukasz żony, jakbyś szukał pracownika. To ci nie wyjdzie.
- Dlaczego? zapytał spokojnie, wpatrując się w Lillian intensywnie szmaragdowymi oczami. - Bo jestem Madisonem, a oni muszą we wszystko angażować emocje?
- Przestań. Wyłączyła laptop. - To nie ma nic wspólnego z faktem, że nazywasz się Madison. Nie możesz oczekiwać, że znajdę ci odpowiednią kobietę, skoro ukrywasz uczucia.
- Ukrywam uczucia?
- Owszem. Zamknęła laptopa i wyjęła z szuflady torebkę.
- Chwila. Oskarżasz mnie, że umyślnie podałem kilka fałszywych odpowiedzi?
- Nie. - Wyprostowała się i zawiesiła torebkę na ramieniu. - Nie uważam, żebyś podał kilka fałszywych odpowiedzi. Kłamałeś odnośnie do wszystkiego oprócz umowy przedmałżeńskiej i niechęci do artystek.
- Do diabła, dlaczego miałbym kłamać w tym głupim kwestionariuszu?
- Skąd mogę wiedzieć? Może porozmawiaj o tym z terapeutą. Polecę ci jednego, jak chcesz. Przyjmuje w tym budynku. Trzy piętra niżej. Doktor J.Anderson Flint. Wyraz twarzy Gabe'a zrobił się surowszy.
- Chyba już słyszałem od ciebie to nazwisko.
- Możliwe. - Zerknęła na nefrytową tarczę zegarka z rzymskimi liczbami. - Właśnie się do niego wybieram.
- Ty? Do terapeuty?
- Owszem. - Z szafki za biurkiem wyjęła długą pelerynę przeciwdeszczową z kapturem. - Anderson zbiera materiały do książki. Chce mnie zapytać o różne rzeczy.
- Dlaczego?
- Bo specjalizuje się w leczeniu ludzi, którzy mają problemy z partnerami... w płaszczyźnie fizycznej.
- Innymi słowy, jest seksuologiem. Czują, że znowu się czerwieni.
- Tak, głównie zajmuje się terapią seksualną. I chce porozmawiać z tobą. Hm, to z pewnością

zdziwiłoby kilka osób u Eclipse Bay.

- Daruj sobie kosmate myśli. Zabrała laptop z biurka i włożyła do nieprzemakalnego pokrowca. Private Arrangements ma bardzo wysoki współczynnik odnoszonych sukcesów. Anderson podejrzewa, że kluczem jest mój program komputerowy. Chciałby na jego bazie stworzyć poradnik dla ludzi szukających stałego związku.

- Mój przypadek chyba nie potwierdza tego wysokiego współczynnika.

- Zgadza się. - Zabrała pokrowiec z laptopem i wyszła zza biurka. - Przyznaję, twój przypadek to porażka. Większość klientów jest jednak zadowolona z usług Private Arrangements. I chcę się wycofać, póki czas, pomyślała, zmiierzając do drzwi. Gabe zerwał z wieszaka swój czarny trenz. Moim zdaniem ten program jest wybrakowany.

- Przyjęłam do wiadomości. - Otworzyła drzwi. - I skoro tak uważasz, pozwalam ci wycofać się z umowy. Akurat. Ty się mnie zwyczajnie pozbywasz.

- Nazwij to. jak chcesz. - Pstryknęła po kolei wyłączniki na ścianie i gabinet pograżył się w ciemności.

- Co jest? Zaczekaj, do cholery. - Gabe podniósł z podłogi obok wieszaka skórzaną teczkę z monogramem. - Nie możesz sobie tak po prostu wyjść.

- Zamykam, Stała na korytarzu i znacząco zabrzączała kluczami. Już ci mówiłam, że wybieram się do doktora Flinta.

Założył trenz, ale się nie zapinał.

- Widzę, że nie chcesz się spóźnić na wizytę. Seksuolog. Kto by pomyślał.

- Nie mam żadnej wizyty. Wstąpię tylko na chwilę, bo muszę mu przekazać coś ważnego. Ale po co ja się tłumaczę? I wiesz co? Nie podoba mi się twój sarkastyczny ton. Anderson jest profesjonalistą.

- No no, seksuolog profesjonalista. - Gabe wyszedł na korytarz. - Chyba powinienem okazać więcej szacunku. Mówią, że to najstarszy zawód świata. A nie. czekaj, coś mi się pomyliło. Chyba chodziło o inny.

Przemilczała tę uwagę. Energicznie zamknęła drzwi i wrzuciła klucze do torebki. Ruszyła do wind. Gabe dogonił Lillian.

- Tylko nie zapomnij, że jesteś mi winna randkę.

- Słucham?

- Byłem tylko na pięciu. A zapłaciłem za sześć.

- Nie martw się. Zwrócę ci pieniądze.

- Nie chcę pieniędzy. Chcę moją szóstą randkę.

- Radzę ci wziąć pieniądze. - Wcisnęła guzik przywołujący windę. - Nie licz na nic więcej.

Oparł się dłonią o ścianę i nachylił się do Lillian. Jego głos przybrał niską, niepokojącą barwę, co sprawiło, że po jej plecach przebiegł dreszcz.

- Wierz, mi powiedział powoli. - Wolałabyś, żeby obyło się bez procesu.

Odwróciła się do niego. Stał o wiele za blisko.

- Próbujesz innie zastraszyć? - zapytała.

- To tylko luźna uwaga. Uśmiechnęła się chłodno.

Już widzę nagłówki gazet. Prezes Madison Commercial grozi procesem z powodu randki, która nie doszła do skutku. Czy to nie zabawne?

- Jesteś mi winna tę randkę.

- Daj spokój, Gabe. Oboje wiemy, że mnie nie pozwiesz. Tylko byś wyszedł na idiotę. Pomyśl, jak

taka reklama wpłynęłaby na wizerunek twojej firmy.

Gabe nic nie powiedział, tylko patrzył na nią tak, jak pewnie przyglądali się sobie rzymscy gladiatorzy przed wyjściem na arenę. Za jej plecami, z cichym syknięciem, rozsunęły się drzwi windy. Lillian odwróciła się szybko i weszła do środka. Gabe wsiadł za nią.

Wybrała numer piętra, a potem, bez większej nadziei, wcisnęła przycisk parteru. Może Gabe zrozumie aluzję i zjedzie na sam dół, kiedy ona wysiadzie na piętrze Andersona. Stała spięta obok panelu z przyciskami, patrząc, jak zamykają się drzwi. Czowała obecność Gabe'a, który w znacznym stopniu wypełniał tę niewielką przestrzeń. Lillian ledwo mogła oddychać.

- Przyznaj, że kłamałeś w kwestionariuszu - powiedziała, bo już dłużej nie mogła znieść ciszy.

- Daj spokój z kwestionariuszem. Jesteś mi winna randkę.

- Nie odpowiadałeś na pytania zgodnie z prawdą. Odpowiadałeś tak, jak twoim zdaniem prawda powinna wyglądać. Uniósł brew. A to jakaś różnica? Ogromna. To chyba oczywiste. Drzwi otworzyły się. Wyszła szybko na korytarz. Gabe też wysiadł. Nie dawał za wygraną.

- Co ty wyprawiasz? Mówiłam, że muszę pogadać z Flintem.

- Poczekam, aż skończycie. Nie możesz.

- Dlaczego? Nie ma tam poczekalni? No nie, nie wierzę.

- Nie odpuścę, dopóki nie obiecasz mi szóstej randki. Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Zadzwoń jutro.

- Porozmawiamy o tym dzisiaj.

- Nic podoba mi się, że tak na mnie naciskasz.

- Nawet cię nie dotknąłem - powiedział.

- Nie zniży się do jego poziomu. Była dojrzałą, wyrafinowaną kobietą. A co więcej, nazywała się Harte. Harte'owie nie urządzali publicznie scen. To była raczej specjalność Madisonów.

Żeby nie nawrzeszczeć na Gabe'a, musiała udawać, że go tutaj nie ma, że nie idzie za nią korytarzem. To jedyne wyjście. Ale wcale niełatwe.

Pomyślała ponuro, że najwyraźniej kusila los, kontynuując działalność Private Arrangements. Trzeba było wcześniej wycofać się z tego interesu. Gdyby tylko przestała przyjmować nowych klientów choć na dzień przed tym, jak zjawił się Gabe.

Otworzyła drzwi z tabliczką Dr J. Anderson Flint i weszła do poczekalni. Gabe wśliznął się za Lillian. W drogim, czarnym trenczu wyglądał jak Drakula.

Pierwszym sygnałem, że może być jeszcze gorzej, była nieobecność pani Collins za jej biurkiem. Lillian w głębi duszy liczyła na to, że widok sekretarki Andersona trochę ostudzi Gabe'a. Szybko obrzuciła wzrokiem stonowane, urządzone w beżach wnętrze z nadzieją, że gdzieś w głębi dojrzy sekretarkę. Pusto.

Zza zamkniętych drzwi gabinetu Andersona dobiegały przytłumione dźwięki rocka z lat sześćdziesiątych. Nie wiedzieć czemu, ogarnęło ją złe przeczucie. Zdaje się, że sekretarka wyszła wcześniej - powiedziała. - Anderson pewnie robi notatki. Słyszę muzykę.

- On uwielbia klasycznego rocka.

- Dobrze go znasz, co?

- Poznaliśmy się w zeszłym miesiącu w kafejce na dole. - Delikatnie zapukała w drzwi. Wiele nas łączy. Mamy podobne zainteresowania zawodowe.

- Doprawdy? spytał ironicznie Gabe. - Nie sądzę, żeby cię słyszał. Ostro daje czadu.

Muzyka rzeczywiście była głośna, i z każdą sekundą robiła się jeszcze głośniejsza. Lillian otworzyła

drzwi. Stała jak wryta. Flint leżał rozciągnięty na sofie, tylko w skąpych czerwonych slipkach, które w żaden sposób nie maskowały erekcji. Ręce miał związane nad głową, oczy przewiązane przepaską.

Nad Andersonem, tyłem do drzwi, stała dobrze zbudowana kobieta w skórzanym obcisłym kostiumie, długich czarnych, skórzanych rękawiczkach i wysokich szpilkach. Jedną nogą opierała się o oparcie sofy, drugą postawiła na stoliku do kawy. W prawej dłoni miała bicz, w lewej nabijaną ćwiekami psią obrozę. Żadne z nich nie usłyszało otwieranych drzwi; głośny utwór zbliżał się właśnie do wielkiego finału.

Lillian nie mogła się ruszyć. Zupełnie jakby sparaliżowała ją jakaś futurystyczna broń laserowa.

- Podobne zainteresowania zawodowe? - szepnął jej Gabe do ucha.

Jego wyraźne rozbawienie wyzwoliło Lillian spod działania niewidzialnego pola siłowego. Z trudem zaczerpnęła powietrze i odwróciła się. Drogę zagradzał jej Gabe, skupiony na tym, co działo się na sofie. Uśmiechnął się.

Przepraszam wychrypiała. Położyła mu dłonie na torsie i mocno pchnęła, żeby usunąć go z drogi. Gabe uczynnie się wycofał i zamknął drzwi, odcinając ich od szokującej sceny. Słyszeli ryk muzyki, osiągającej porywające apogeum.

Lillian przebiegła przez gustowną poczekalnię i wypadła na korytarz. Nawet się nie obejrzała. Gabe dogonił ją dopiero przy windzie. Przez moment korytarz spowijała niesamowita cisza.

- Doktor Flint najwyraźniej jest zwolennikiem osobistego zaangażowania w terapię - zauważył Gabe.
- Ciekawe, w jaki sposób zamierza zaadaptować twoje oprogramowanie do swojego programu leczenia.

To nie dzieje się naprawdę, pomyślała. To halucynacja, jedno z tych zdarzeń, przez które ludzie stają się zwolennikami teorii spiskowych. Może jakaś tajna agencja rządowa robiła eksperymenty chemiczne na wodzie pitnej? A może to z nią nie było najlepiej. Ostatnio przeżywała spory stres w związku z decyzją o zmianie profilu działalności. A do tego miała jeszcze na głowie Gabe'a. Tak, stres w połączeniu z tajnym rządowym eksperymentem - to mogło wszystko wyjaśniać.

- Chyba drink dobrze by ci zrobił - odezwał się Gabe.

Rozdział 2

Na zewnątrz poblask deszczowego zmierzchu mieszał się ze światłem latami, wypełniając miasto przedziwną, surrealistyczną atmosferą. Zupełnie jak we śnie, pomyślał Gabe. Wydawało się, że on i Lillian są jedynymi realnymi istotami w tym niesamowitym świecie światła i cieni.

W oparach mgły peleryna przeciwdeszczowa Lillian mieniła się opalizującym blaskiem, jakby wysadzana baśniowymi klejnotami. Miał ochotę przyciągnąć Lillian do siebie, czuć jej ciepło i zapach.

Jest coraz gorzej, pomyślał. Po raz pierwszy doświadczył tego silnego pragnienia na weselu Rafe'a. Uznał, że szybko mu przejdzie. Po prostu miał na nią ochotę, być może na skutek wyposzczenia. Od czasu, kiedy postanowił skupić się na szukaniu żony, wiódł życie niemal jak mnich.

Po zakończeniu romansu z Jennifer przed kilkoma miesiącami postanowił żyć w celibacie. Wtedy myślał, że to dobry pomysł. Nie chciał, żeby dekoncentrowało go pożądanie, więc tymczasowo zrezygnował z seksu. Jednak wystarczyło pięć sekund z Lillian po długich latach niewidzenia, a już miał ochotę zmienić postanowienie.

Na szczęście wtedy starczyło mu zdrowego rozsądku, żeby wytłumaczyć sobie, że romans z Lillian to

nie najlepszy pomysł. W końcu nazywała się Harte. Relacje łączące Harte'ow z Madisonami zawsze były skomplikowane. Wykombinował więc rozwiązanie pośrednie. Nie próbował się z nią umówić, ale został klientem Private Arrangements. Bardzo dużo czasu zabrało mu przekonanie samego siebie, że skorzystanie z usług biura matrymonialnego to świetny plan. Czy istniał lepszy, pewniejszy sposób na znalezienie żony?

Ale pomysł, który z początku wydawał się odrobinę ryzykowny, szybko okazał się wręcz katastrofalny. Pięć ciągnących się w nieskończoność wieczorów z bardzo atrakcyjnymi, przebojowymi kobietami to była prawdziwa męczarnia. Za każdym razem myślał o tym, jakby to było, gdyby po drugiej stronie stolika ze świecami siedziała Lillian.

Zabawne. W czasach, kiedy mieszkał w Eclipse Bay, widział w niej tylko małą dziewczynkę, jednego z dzieciaków Harte'ow. Ale wtedy myślał tylko o jednym: o odbudowaniu rodzinnego imperium.

Fakt, że Hartowie podnieśli się po bankructwie i dalej świetnie prosperowali, podczas gdy jego rodzina borykała się z problemami finansowymi i innymi, tylko podsycił trawiący go ogień.

Wyjechał z Eclipse Bay dzień po skończeniu szkoły średniej; studia i wielkie miasto miały mu pomóc w realizacji planów. Przez te wszystkie lata ani razu nie widział Lillian. Nawet o niej nie myślał.

Ale od wesela Rafe'a nie był w stanie skupić się na niczym innym.

Jeśli w grę wchodziło czyste pożądanie, nie miał się czym martwić. Ale jeśli chodziło o coś więcej, to powstawał problem, bo Lillian w ogóle nie odpowiadała jego wyobrażeniom idealnej żony. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien na jakiś czas zaprzestać poszukiwań. Dopóki nie wyjaśni się sytuacja z Lillian. Był przez nią zdekoncentrowany. Zatrzymali się przed przejściem dla pieszych.

- Dokąd idziemy? - zapytał.

Nie wiem jak ty, ale ja idę do domu. - Głos miała lekko przytłumiony przez kaptur peleryny.

- A może jednak wstąpimy na drinka? Muszę przyznać, że po tym, jak widziałem twojego kolegę w akcji, sam bym się chętnie napił.

- Nie zaczynaj, Madison. Uśmiechnął się i ujął ją pod ramię.

- Chodź, ja stawiam. Poprowadził ją do małego baru nieopodal. Przyjrzała się przez szybę przytulnemu wnętrzu.

- Wiesz co? - powiedziała. - Masz rację. Kieliszek wina dobrze nam zrobi.

Uwolniła się z jego uścisku i ruszyła do drzwi, szybkim, zdecydowanym krokiem. Nie popatrzyła, czy Gabe za nią idzie.

Udało mu się dotrzeć do wejścia pół kroku przed Lillian; otworzył drzwi. Nie dziękując, weszła do środka. Bar właśnie zaczął zapełniać się klientelą, która ściągała tu po skończonej pracy. Kominek gazowy kusił miękką poświatą. Na tablicy były wypisane kredą nazwy kilku piw z lokalnych browarów, a także sześć gatunków doskonałych win z ceną za kieliszek. Na drugim, wypisanym ręcznie menu zawieszonym na ścianie widniał duży wybór przekąsek i gotowych dań.

Gabe znał ten bar był zaledwie kilka ulic od biurowca, gdzie mieściła się główna siedziba Madison Commercial. Wpadał tu od czasu do czasu, wracając do pustego mieszkania.

- Często tu przychodzisz? zapytał, kiedy już się usadowili.

Nie. — Uważnie przestudiowała kartę win. - Dlaczego pytasz?

- Portland to małe miasto pod wieloma względami. Aż dziwne, że się wcześniej nie spotkaliśmy. - Szukał neutralnego tematu.

Patrzyła spod zmarszczonych brwi na menu.

- No wiesz, nie cały czas mieszkałam w Portland.

- To gdzie się podziewałaś po skończeniu studiów?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Jasne. - Nagle zaczęło go to bardzo ciekawić.

Wzruszyła ramionami i odłożyła menu. Jednak nie zdążyła odpowiedzieć na pytanie, ho pojawiła się kelnerka. Lillian poprosiła o kieliszek chardonnay. Gabe wziął piwo.

Kiedy kelnerka odeszła, na moment zapadło milczenie. Gabe zastanawiał się, czy powinien powtórzyć pytanie. Jednak, co go lekko zaskoczyło, Lillian sama wróciła do tematu.

- Po studiach pracowałam w Seattle - powiedziała. - Potem na rok przeprowadziłam się na Hawaje. Stamtąd pojechałam do Kalifornii i znowu do Seattle. Do Oregonu wróciłam dopiero, kiedy postanowiłam otworzyć Private Arrangements.

- We wszystkich tych miejscach miałaś biura matrymonialne? Patrzyła na niego nieufnie.

- Dlaczego to cię interesuje?

- Minęło trochę czasu. Po prostu nadrabiam zaległości.

- Nie musimy niczego nadrabiać. Ledwo się znamy. Trochę go to rozbawiło.

- Ty nazywasz się Harte, a ja Madison - powiedział. - Mój brat i twoja siostra są małżeństwem. Cóż, nie jesteśmy sobie obcy.

Kelnerka wróciła z zamówieniem. Lillian upiła łyk chardonnay i odstawiła kieliszek na małą serwetkę. Gabe miał wrażenie, że Lillian rozważa, ile mu o sobie powiedzieć.

- Oficjalna wersja, której trzymają się Harte'owie, głosi, że przez kilka ostatnich lat próbowałam się odnaleźć - zaczęła po chwili.

- A wersja nieoficjalna?

- Że jestem trochę ekscentryczna.

Zdecydowanie nieodpowiedni materiał na żonę, pomyślał Madison. Na romans też pewnie nie. Nie zadawał się z dziwakami. Ani nie robił z nimi interesów. Gdyby wiedział, że firmą Private Arrangements kieruje ekscentryczka, nigdy by się tam nie zgłosił. Dobra, wystarczy, kogo on chciał na to nabrać?

Cholera. To nie był dobry pomysł. Gdyby zachował choć odrobinę zdrowego rozsądku, natychmiast rzuciłby się do najbliższego wyjścia. Wiedziony resztką instynktu samozachowawczego zaledwie spojrzał na drzwi. A co tam, pomyślał. Znów przeniósł wzrok na Lillian. Na ucieczkę będzie jeszcze czas.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że Harte'owie bywają zagubieni - powiedział po chwili. - Myślałem, że już w chwili narodzin wiecie, czego chcecie i jak to osiągnąć.

- Mówisz o reszcie mojej rodziny. - Zmarszczyła nos. - Ja jestem wyjątkiem.

- Tak? Jak dużym?

Przypatrywała się winu w kieliszku.

Powiedzmy, że nie znalazłam jeszcze swojego miejsca w świecie.

- Jak to? Private Arrangements to duży sukces.

- No tak. - Wzruszyła ramionami. - Odniosłam sukces. Pod względem czysto biznesowym.

Patrzył na nią zdumiony.

- A jest jeszcze inny rodzaj sukcesu? W jej oczach błysnęło rozdrażnienie.

Oczywiście.

Opadł na oparcie siedzenia.

- Ale chyba nie mówisz o odnalezieniu siebie i osiągnięciu wewnętrznego spokoju dzięki pracy, co?

- A masz z tym jakiś problem? Uważasz, że praca nie może być źródłem szczęścia i osobistego spełnienia?

- Mam problem z ludźmi, którzy spodziewają się, że praca będzie rozrywką. Praca to praca. Nie zabawa. - Urwał. - Ale zdaje się, że nie wszyscy to rozumieją.

- Ale ty rozumiesz powiedziała. - Od wczesnej młodości harowałeś, żeby zbudować Madison Commercial. - Uśmiechnęła się z lekką ironią. - W Eclipse Bay zawsze mówili, że nie jesteś typowym Madisonem.

- To znaczy?

- Że możesz odnieść sukces. I udowodniłeś, że mieli rację. Do diabła, jakim cudem ta rozmowa skupiła się na nim?

- Udowodniłem tylko tyle, że jeśli chcesz do czegoś dojść, musisz mocno tego pragnąć.

- A ty najbardziej na świecie pragnąłeś osiągnąć to, co masz teraz, prawda?

Nie był pewien, o co Lillian dokładnie chodzi. Upił łyk piwa, żeby dać sobie trochę czasu na opracowanie strategii.

- Powiedz mi, Gabe, co robisz dla rozrywki?

- Dla rozrywki? Kolejne pytanie, które go zaskoczyło.

- Tak. Wiem, że praca to całe twoje życie. Ale co robisz, kiedy chcesz się zabawić?

Zmarszczył brwi.

- Zabrzmiało to tak, jakbym nigdy nie wychodził z biura.

- A wychodzisz?

- Siedzę tu, prawda? A z pewnością nie jest to moje biuro.

- Jasne. No dobrze, więc powiedz, zacząłeś się już bawić?

- Nie przyszedłem tu dla zabawy. Wpadliśmy otrząsnąć się z szoku po wizycie w gabinecie Flinta.

- Jesteś tu z innego powodu: nadal liczysz, że uda ci się wydebić szóstą randkę. Zapomnij. Nic z tego.

- Zobaczymy.

- Posłuchaj uważnie. Madison. - Nachyliła się do przodu, mrużąc oczy. - Zamknęłam Private Arrangements.

- No i? Możemy wrócić do tematu w poniedziałek, kiedy znowu otworzysz.

- Nie rozumiesz. Zamknęłam na dobre. Dzisiaj był ostatni dzień. O 17.00 moja firma zakończyła działalność.

Wiedział, że mówiła serio.

- Nie możesz ot tak zrezygnować z dochodowego interesu.

- Przekonasz się, że mogę.

- A co z klientami?

- Ty jesteś ostatni. Wzniosła toast. - Powodzenia w szukaniu robota.

- Żony.

- Kwestia nazewnictwa. - Upiła łyček wina.

- Nie rozumiem, dlaczego chcesz się wycofać. Odniosłaś wielki sukces.

- Tak, jeśli chodzi o finanse. - Odchyliła się do tyłu. - Ale to za mało.

- Cholera. Ty naprawdę uważasz, że praca powinna być transcendentnym doświadczeniem.

- Owszem. Postawiła łokieć na stole i podparła brodę dłonią. - Ale wracajmy do ciebie i rozrywki.

- Przed chwilą dałaś do zrozumienia, że ja i rozrywka nijak się do siebie mamy.

- No dobrze, w takim razie porozmawiajmy o twoim związku z Madison Commercial.

- Związku? Sugerujesz, że firma jest dla mnie jak kochanka?

- Tak to wygląda. Zaczynał się irytować.

- To twoja opinia jako profesjonalistki?

- Cóż, potrafię rozpoznać dobraną parę. Powiedz, co dokładnie daje ci Madison Commercial?

- Jak to: co mi daje? zapytał podejrzliwie. Spojrzała na niego pogodnym, niewinnym wzrokiem.

- Myślisz, że twoje życie z firmą może być substytutem seksu?

No tak, miał do czynienia z Harte. W żadnym wypadku nie da się jej sprowokować.

- Posłuchaj, pani swatko. Seksu nie da się zastąpić niczym innym. Co mi daje Madison Commercial?

Duże pieniądze.

- I władzę - dodała szybko. - Pieniądze i władza zazwyczaj idą w parze, prawda?

- Władzę? - powtórzył neutralnym tonem.

- Jasne. Jesteś grubą rybą w Portland. Obracasz się wśród wpływowych osób. Zajmujesz miejsce w zarządzie ważniejszych organizacji charytatywnych. Znasz największe szczyty ze świata biznesu i polityki. Ludzie liczą się z twoim zdaniem. I właśnie to nazywają władzą.

Myślał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Fakt, ciągle muszę uczestniczyć w zebraniach zarządów.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Nie wierzę, żebyś poświęcał aż tyle czasu Madison Commercial, gdybyś nie miał z tego czegoś więcej oprócz pieniędzy, czegoś bardziej osobistego.

- Tego typu rozważania nie są moją najmocniejszą stroną...

- Naprawdę? Nigdy bym na to nie wpadła.

- Moja kolej - powiedział. - Czym zajmowałaś się w tych wszystkich miejscach, które zwiedziłaś?

- A co, chcesz poznać cały mój życiorys?

- Wystarczą najważniejsze wydarzenia.

Złączyła czubki kciuków i palców wskazujących, tworząc trójkąt u podstawy kieliszka i spojrzała w wino.

- Hm, zastanówmy się. Najpierw pracowałam w muzeum.

- Dlaczego zrezygnowałaś?

- Niestety, nie byłam wyjątkowo kreatywna, przygotowując wystawy.

- Bo nie interesowała cię tematyka, którą miałaś w atrakcyjny sposób przedstawić odbiorcom.

- Pewnie tak. Później pracowałam w kilku galeriach. Świetnie przewidywałam, co się sprzeda, ale w ogóle nie miałam przekonania do tego, co cieszyło się największą popularnością wśród kupujących.

- Trudno utrzymać się w branży, kiedy nie chcesz dać klientom tego, czego oni chcą.

Uśmiechnęła się smutno.

- Ciekawe, ale to samo mówili właściciele galerii.

- A później?

Powoli obróciła w palcach nóżkę kieliszka.

- Zostałam projektantką wnętrz. Przez jakiś czas wszystko szło dobrze, ale potem zaczęły się nieporozumienia z klientami. Nie zawsze byli zachwyceni moimi pomysłami.

- Nie ma nic gorszego od klienta z własną wizją.

- Żebyś wiedział. Postanowiłam zrezygnować z projektowania wnętrz, ale zanim to zrobiłam, poznałam jedną ze swoich klientek, programistkę, ze znajomym. Uznałam, że będą do siebie pasować, i miałam rację. Pobrali się, a ta dziewczyna wpadła na pomysł stworzenia programu dobierającego ludzi w pary. Zapowiadało się ciekawie, więc zgodziłam się z nią nad tym

popracować. Skonsultowałyśmy się z ekspertami. Opracowałam kwestionariusz, ona wzięła na siebie całą stronę techniczną. Potem wykupiłam prawa. To wszystko.

- I tak zostałam swatką? Przypadkowo?

- Przeróżające, prawda? Powoli wypuścił powietrze.

- No owszem, trochę.

- Nie ty jeden byłeś zaskoczony. Ale to nie było tak, że planowałam zająć się swataniem zawodowo. Powstał program, wypadało go przetestować. Trochę dla żartu wypróbowałam go na znajomych, z pozytywnym rezultatem. Ludzie szli na randkę i dobrze się bawili. Ze dwie pary się zaręczyły. Zanim zdążyłam się obejrzeć, już w tym siedziałam.

- Cholera. Potarł szczękę. - Jesteś pewna, że to zgodne z prawem?

- Każdy może prowadzić biuro matrymonialne.

- To trochę tak jak z terapią seksualną, no nie?

- Przestań. Wycelowała w niego ostrzegawczo palec. - Nigdy więcej o tym nie wspominaj.

- Ale tak trudno się oprzeć.

- Spróbuj. - Obdarzyła go szelmowskim uśmiechem. - No dobrze, skoro już poznałeś straszliwą prawdę o tym, jak to powierzyłeś swoją przyszłość amatorce, może się jeszcze zastanowisz, czy nie odpuścić sobie tej szóstej randki.

- Nic z tego. Uniósł butelkę z piwem i pociągnął długi łyk. - Nie zrezygnuję z czegoś, za co zapłaciłem.

Skrzywiła się.

- Czy ktoś ci już mówił, że jesteś uparty jak osioł?

- To normalne u Madisonów. - Przypatrywał się jej przez stół. - Co będziesz teraz robić? To znaczy, jak już zorganizujesz mi szóstą randkę i firma Private Arrangements przejdzie do historii?

- Och, sama nie wiem. Może postaram się o jakieś kierownicze stanowisko w Madison Commercial.

- Szkoda zachodu. Coś mi mówi, że i tam nie zagrzałybyś długo miejsca.

- Pewnie masz rację powiedziała. - Jestem bardzo niezależną jednostką. Nie lubię pracować dla innych. Wolę sama podejmować decyzje, wyznaczać zadania. W końcu zaczęłabym cię pouczać, jak masz prowadzić swoją firmę.

- Wtedy musiałbym cię wylać.

- Właśnie. - Machnęła ręką. - Zaprzepaszczona kolejna szansa na karierę.

- A ten Flint... jest dla ciebie ważny?

- Mówiłam, żebyś więcej o nim nie wspominał. - Ale tym razem jej słowa nie płonęły gniewem.

Postanowił skorzystać z okazji i przycisnąć ją trochę bardziej.

- Jeśli coś was łączy, to całkowicie rozumiem, że widok tych igraszek mógł cię wyprowadzić z równowagi.

- Nic mnie nie łączy z Andersonem - wyjaśniła spokojnie. - Owszem, kilka razy się spotkaliśmy i było całkiem przyjemnie, ale od początku wiedziałam, że to nie mną jest zainteresowany.

- Tylko twoim programem. Tak.

- Pomożesz mu w napisaniu książki?

- Nie - powiedziała.

- Z powodu dzisiejszej sceny?

Nie. - Zaczęła bawić się małą, papierową serwetką, składając ją w abstrakcyjny wzór. Zmieniłam zdanie kilka dni temu. I to właśnie chciałam mu dziś powiedzieć.

- Dlaczego się wycofałaś?

- Mam teraz inne rzeczy na głowie.

Uczestniczył w zbyt wielu negocjacjach, rozegrał zbyt wiele strategicznych potyczek, żeby nie rozpoznać, kiedy oponent stosował unik. Ale był też na tyle doświadczony, żeby wiedzieć, kiedy naciskać, a kiedy pozwolić, żeby sprawy toczyły się własnym tempem.

- Skoro już tu jesteśmy, równie dobrze możemy zjeść kolację - zasugerował.

Uniosła wzrok znad swojego origami.

- Kolację?

- No chyba, że masz już jakieś inne plany?

- Nie - odpowiedziała powoli. - Nie mam żadnych innych planów.

Odprowadził Lillian pod same drzwi mieszkania na ostatnim piętrze eleganckiego budynku z cegły. Kiedy zegnała się z nim w progu, rzucił okiem w głąb mieszkania. Zobaczył ściany w ciepłych żółtych kolorach, białe sztukaterie i masę wzorzystych aksamitnych poduszek, ułożonych, w stos na fioletowej sofie. Przy oknie stał jasnoczerwony fotel. Spod szklanego stolika do kawy wystawał brzeg zielono-żółto-fioletowego dywanika.

To śmiałe połączenie jaskrawych kolorów i deseni powinno wręcz razić, ale jakimś cudem wszystko znakomicie do siebie pasowało. Dziwne. Ale tak naprawdę zaniepokoiło go coś innego.

Obrazy. Było ich trochę na żółtych ścianach. Ale nie reprodukcje czy oprawione w ramki plakaty. Kupowała oryginały. Naprawdę zły znak. Najwidoczniej na tyle znała się na sztuce, żeby kierować się własnym gustem.

Stojąc w drzwiach, nie mógł się dobrze przyjrzeć żadnemu z malowideł. Widział tylko wyrazistą grę światła i cienia. Wrócił myślami do rozmowy z baru. Przeszłość zawodowa Lillian była związana z muzeami i galeriami. Ogarnęło go wielkie przygnębienie. Nie mógł dłużej zaprzeczać czemuś, co widział na własne oczy. Lillian naprawdę fascynowała sztuka.

- Dziękuję za drinka i kolację - powiedziała uprzejmie.

Oderwał wzrok od obciążających dowodów. Uświadomił sobie, że mu się przyglądała, może nawet czytała w jego myślach.

Nie ma sprawy - mruknął. - Cała przyjemność po mojej stronie. Miała już zamknąć drzwi, ale zawahała się.

- Wiesz, jak się nad tym zastanowić...

- Zapomnij - przerwał jej w pół zdania.

- O czym mam zapomnieć?

- Pewnie myślisz, że nazwiesz tę kolację randką i będzie po sprawie. Nie ma tak łatwo.

Zacisnęła usta.

- Od początku byłeś ciężkim klientem, Madison.

- Ludzie ciągle mówią mi takie rzeczy. Staram się tym nie przejmować.

Rozdział 3

Lillian obserwowała wyrazistą twarz Octavii Brightwell. Właścicielka galerii przyglądała się obrazowi z wielkim zainteresowaniem. Octavia stała pośrodku atelier, a jej rude włosy jakby płonęły w mocnym świetle lamp. Była bardzo skupiona. Obraz całkowicie ją pochłonął. A może wcale jej się nie podoba, tylko nie wie, jak to powiedzieć, pomyślała Lillian.

Złajała sobie za to negatywne myślenie. Generalnie uważała się za optymistkę, która widzi szklanę

w połowie pełną, ale jeśli chodziło o sztukę, była absolutnie nadwrażliwa. Na razie Octavia jako jedyna ze świata artystycznego miała okazję zapoznać się z pracami Lillian. Wcześniej Lillian pozwalała oglądać swoje obrazy jedynie rodzinie i przyjaciołom.

Rysowała i malowała całe życie. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze miała pod ręką szkicownik. Od dzieciństwa fascynowały ją akwarele, akryle i pastele. Posługiwała się pędzlem z równą wprawą, jak nożem i widelcem. Rodzina uważała, że jej malowanie to tylko hobby, ale ona czuła inaczej. Malowanie było jej niezbędne do życia jak powietrze.

Urodziła się w rodzinie finansistów i przedsiębiorców. To nie tak, że Harte'owie nie mieli szacunku dla sztuki. Niektórzy byli nawet aktywnymi kolekcjonerami. Ale traktowali to jak rodzaj inwestycji. A Lillian marzyła, żeby być artystką, ale zachowywała swoje myśli dla siebie. Aż do teraz.

Najwyższa pora, żeby marzenia stały się rzeczywistością. Czuła to. Była gotowa. Zaszła w niej jakaś zmiana. Jej sztuka zyskała nowy wymiar. Lillian była pewna, że chce profesjonalnie zająć się malarstwem, ale nie wiedziała, czy jej prace znajdą odbiorców. Jako Harte rozumiała, że sztuka jest takim samym towarem, jak każdy inny. Jeśli nie będzie zapotrzebowania na jej obrazy, nie da rady się z tego utrzymać.

Aby osiągnąć finansowy sukces, artysta potrzebował skutecznego marketingu i wsparcia poważanego marszanda. Decyzja, żeby najpierw pokazać obrazy Octavii Brightwell, była całkowicie intuicyjna. Octavia prowadziła liczącą się galerię, Bright Visions, w Portland. Otworzyła też filię w Eclipse Bay.

- No i jak? - Lillian już dłużej nie mogła znieść niepewności.

- Co o tym myślisz?

Octavia nie mogła oderwać wzroku od obrazu.

- Jest absolutnie niezwykły, jak wszystkie z cyklu Między północą a świtem.

Lillian trochę się rozluźniła. Super, świetnie. Dziękuję.

- Teraz zajmę się twoją wystawą. Chcę, żeby była porażająca.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Octavio.

- Daj spokój. Mam przeczucie, że nie tylko twoja kariera się rozwinie po tej wystawie. Moja też nabierze rozpędu.

Lillian roześmiała się.

- Doskonale, Jesteś profesjonalistką, po prostu rób swoje. Ja wyjeżdżam w środę do Eclipse Bay.

- Naprawdę zamkniesz Private Arrangements?

- Tak, ale na razie zachowaj to dla siebie. - Lillian założyła ręce na piersi i przyglądała się obrazom na ścianie. - Ciągle się zastanawiam, jak delikatnie przekazać tę informację.

- Pewnie będzie to dla nich wstrząs.

- Ale chyba nie większy niż wtedy, jak mój brat opuścił firmę, żeby pisać kryminały. Dziadek liczył, że to właśnie Nick przejmie rodzinne interesy, kiedy tata odejdzie na emeryturę. Ale fakt, nikt nie będzie zachwycony, że zamierzam poświęcić się malarstwu. Harte'owie są ludźmi biznesu, nie artystami.

Pół godziny później, z laptopem pod pachą, kapturem peleryny naciągniętym na oczy, Lillian szła szybkim krokiem we mgłę i deszczu do budynku, gdzie mieściło się biuro Private Arrangements. Myślami była przy swojej rozmowie z Octavią i nie zauważyła postawnego mężczyzny, dopóki nie zagroził jej drogi.

- Lillian Harte, prawda? - zapytał ostro.

Jego gniewny głos sprawił, że nagle zaschło jej w ustach. Zatrzymała się, dziękując w duchu opatrności, że chodnikiem przechodziło wiele osób. Facet, który przed nią wyrósł, wyglądał na czterdzieści pięć lat. Był wysoki, potężnie zbudowany, miał tępy wyraz twarzy i przerzedzające się, krótko ostrzyżone włosy. Nie widziała jego oczu. Nosił ciemne okulary przeciwsłoneczne niezbyt przydatne w pochmurny, deszczowy dzień, ale z pewnością potęgujące groźne wrażenie.

- Czyja pana znam? zapytała ostrożnie.

- Nie. Jego mocna szczęka drgnęła. - Ale ja panią tak. Pani jest swatką, prawda?

Mocniej ścisnęła laptop.

- Skąd pan wie? Wykrzywił usta w grymasie.

- Obserwuję panią od kilku dni.

Nagły przyptyw strachu sprawił, że zwilgotniały jej dłonie.

- Śledził mnie pan? Jakim prawem? Zadzwoń na policję.

- Nie zrobiłem nic złego. Miał zdegustowaną minę. - Chciałem się tylko upewnić.

- Upewnić?

- Że to pani prowadzi biuro matrymonialne Private Arrangements.

- Czemu to pana interesuje? Przysunął się.

- Przez panią straciłem partnerkę. Spiknęła ją pani z kimś innym, prawda? Dzwoniłem do Heather kilka dni temu. Pomyślałem, że dam dziewczynie jeszcze jedną szansę. A ona mi powiedziała, że wychodzi za gościa, z którym ją pani poznała. Myśli, że jest zakochana. A ja sędzę, że namieszała jej pani w głowie.

Po plecach Lillian przeszedł zimny dreszcz.

- Mówi pan o Heather Summers?

Heather i ja byliśmy razem, dopóki jej pani nie wmówiła, że nie jestem dość dobry. Zostawiła mnie przez panią. Lillian zebrała całą siłę, żeby nie ustąpić pola.

Jak się pan nazywa?

- Witley. - Zrobił kolejny krok w jej stronę. Z wściekłości drgały mu mięśnie twarzy. - Campbell Witley. Było nam dobrze, dopóki pani się nie wmieszała. Pani wszystko zniszczyła.

Upewniła się szybko, że nie jest sama na chodniku, potem spojrzała na Witleya. Proszę się uspokoić. Owszem, miałam klientkę o imieniu Heather, ale oświadczyła w formularzu, że aktualnie z nikim się nie spotykała. Zawsze bardzo pilnowałam, żeby moi klienci byli singlami.

Mam gdzieś, co Heather napisała w jakimś cholernym formularzu. - Uderzył w swoją szeroką klatę sękatym kciukiem. - Była ze mną.

Lillian dobrze pamiętała Heather - nieśmiałą, trochę zahukaną kobietę, której byłoby wyjątkowo trudno poradzić sobie z takim agresywnym typem, jak Witley. Przypomniała sobie również, że po pierwszej randce z Tedem Bakerem Heather zupełnie się zmieniła. Baker był spokojnym, rozważnym mężczyzną, prawdziwym dżentelmenem. Wybrali się razem do opery. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia.

- Lubi pan operę, panie Witley? - spytała niespodziewanie Lillian.

- A co to panią obchodzi?

- Heather uwielbia operę. Byłam po prostu ciekawa, czy podziela pan jej zainteresowania.

Usta Witleya zacisnęły się w cienką linię.

- Chce mi pani wmówić, że ja i Heather nie pasowaliśmy do siebie, bo nie łąziłem do tej cholernej opery? Bzdura. Wiele nas łączyło. Chodziliśmy na mecze. Zabrałem ją na biwak. Byliśmy na splywie

górkim. Dużo rzeczy robiliśmy razem.

- Wymienił pan swoje ulubione zajęcia. Ale chyba nie interesował się pan zbyt tym, co lubiła Heather.

- A co pani może wiedzieć o jej upodobaniach?

- Bardzo dokładnie opisała je w kwestionariuszu. Heather pasjonuje się operą. I lubi festiwale filmowe.

- Zabierałem ją do kina. Dwa razy widzieliśmy Strefę bitwy.

To bez sensu, pomyślała Lillian. Campbell Witley nigdy nie zrozumie, że on i Heather nie mieli wspólnych zainteresowań.

- Przykro mi, że się panu nie ułożyło, panie Witley, ale zapewniam, że nie miałam nic wspólnego z rozpadem pańskiego związku - powiedziała.

- Akurat. Gdyby nie pani, Heather byłaby teraz ze mną.

- Kiedy Heather odeszła? Witley skrzywił się z wściekłości.

- Tamtego wieczoru, kiedy poszliśmy drugi raz na Strefę bitwy. Odwiozłem ją potem do domu, a ona powiedziała, że nie chce się ze mną więcej spotykać. Dlaczego?

- Aha, czyli po Strefie bitwy. O ile sobie przypominam, grali to na początku jesieni. Pamiętam, że wszędzie wisiały plakaty.

- Co to ma do rzeczy?

- Heather została moją klientką dopiero w grudniu.

- No i co z tego?

- Próbuję tylko wyjaśnić, że nie miałam nic wspólnego z rozpadem pańskiego związku tłumaczyła cierpliwie Lillian. - Heather przyszła do mojego biura już po waszym rozstaniu.

- Niech mi pani nic mydli oczu. Wróciłaby do mnie, gdyby nie spotkała się z tym facetem.

- Nie sądzę - powiedziała Lillian tak łagodnie, jak tylko mogła. - Raczej nie byliście dobraną parą. Pan potrzebuje kogoś, kto lubi mecze, biwaki i piesze wędrówki. Kto nie będzie bał się z panem pokłócić.

- Właśnie pani dowiodła, że gównu wie na ten temat Najbardziej podobało mi się w Heather, że nigdy się ze mną nie kłóciła.

- Pewnie i tak nie miałyby to najmniejszego sensu. Znow drgnęły mu mięśnie twarzy.

- To znaczy?

- Odnoszę wrażenie, że nie słuchał pan zbyt uważnie tego, co do pana mówiła.

- Gównu prawda Słuchałem.

- Proszę więc z ręką na sercu przysiąc, że Heather nigdy nie wspominała, że woli operę od biwaku. Witley się skrzywił.

- Coś tam mówiła o operze, ale kazałem jej o tym zapomnieć. To cholerne wycie jest strasznie nudne.

- Czyli Heather towarzyszyła panu we wszystkich pana ulubionych rozrywkach, ale pan miał gdzieś jej zainteresowania. Nie uważa pan, że to może stanowić problem w związku?

- Mówiłem już że nasz związek był bardzo udany. - Witley podniósł głos. - A pani to zniszczyła. Kto dał pani prawo bawić się cudzym życiem? Nie można traktować ludzi jak szczury laboratoryjne.

Trzymała przed sobą laptop jak tarczę.

- Nie traktuję jak ludzi.

- Może nie decyduje pani za pomocą tego cholernego komputera, kto z kim powinien się spotykać, kto z kim pobrać? Czy to nie eksperymentowanie na ludziach? Do diabła, pani przypomina szalonego

naukowca z filmu. Myśli pani, że wie, co dla kogo jest najlepsze?

- Panie Witley, jest pan zdenerwowany i nie zamierzam teraz z panem dyskutować.

Zrobiła krok w bok, żeby go wyminąć, ale zagroził jej drogę.

- Nie pozwolę tak po prostu się splawić, po tym jak namieszała pani w moim życiu - warknął. Odsunęła pani ode mnie Heather. Nie miała pani prawa. Jasne? Najmniejszego prawa, do cholery.

- Proszę wybaczyć, ale muszę już iść - powiedziała Lillian.

Skręciła gwałtownie w lewo i dała nura w szklane drzwi wielkiego domu towarowego. Pomyślała, że w razie czego w sklepie jest ochrona. Ale Witley nie poszedł za nią. Zatrzymała się przed stoiskiem z kosmetykami i spojrzała przez ramię, czy nadal stał na chodniku. Nie stał.

Patrzyła przez, szybkę na eleganckie słoiczki z kremami do twarzy. Serce biło jej jak szalone. Żołądek ścisnął się pod wpływem strachu. „Kto dał pani prawo bawić się cudzym życiem? Nie można traktować ludzi jak szczury laboratoryjne” - przypomniała sobie wyrzuty Campbella Witleya.

Zajście z tym facetem nie należało do przyjemnych, ale nie tylko ono wywołało w niej niepokój bliski panice. To uczucie towarzyszyło Lillian już od kilku tygodni. Tak, trzeba natychmiast zamknąć Private Arrangements.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał zachęcający głos zza lady. Lillian uniosła wzrok.

- Hm, nie. Z trudem wzięła się w garść. - Dziękuję. Tylko się rozglądam.

Uśmiech ekspedientki trochę zbladł, jak to się zawsze dzieje, kiedy użyjesz tych magicznych słów.

- Proszę dać mi znać, gdybym była potrzebna - powiedziała i oddaliła się w stronę innego, potencjalnego klienta.

- Tak, oczywiście, dziękuję.

Lillian się odwróciła. Przemknęła między pozostałymi stoiskami z kosmetykami, przyborami toaletowymi i butami i wyszła ze sklepu. Na zewnątrz rozejrzała się niespokojnie. Campbell Witley zniknął. Ale śledził ją już wcześniej. Wiedział, gdzie mieszkała. To przerażało Lillian.

Wzięła głęboki wdech i ruszyła do swojego biura. Zakończenie działalności Private Arrangements było absolutnie słuszną decyzją.

Wkrótce wysiadała już z windy. W połowie korytarza dostrzegła znajomą postać. Pod drzwiami z tabliczką Private Arrangements czekał Anderson Flint.

Natychmiast przypomniała jej się piątkowa scena z gabinetu terapeuty. Wszystkie pikantne szczegóły, łącznie ze skąpymi, czerwonymi slipkami. Tak to jest, jak się ma wyczulone oko, pomyślała. Często pamięta się rzeczy, które wolałoby się szybko zapomnieć. Ledwo oparła się pragnieniu wskoczenia z powrotem do windy, zanim zamkną się drzwi.

Zmusiła się do pójścia dalej. Trzeba załatwić pewne sprawy przed wyjazdem z miasta. Ucieczka nie jest rozwiązaniem. Wcześniej czy później i tak musiałabym się rozmówić z Andersonem, przekonywała się w myślach Anderson nie zauważył jej od razu. Sprawdzał, która godzina na swoim eleganckim, czarnym zegarku ze złotymi dodatkami.

- Dzień dobry, Anderson.

Odwrócił się lekko i uśmiechnął. Nie pierwszy raz zauważyła, że z powodzeniem mógłby zagrać mądrego, wyrozumiałego terapeutę w operze mydlanej. Idealny kształt twarzy. Intensywnie niebieskie oczy. Odnosiło i się wrażenie, że może nimi przeświecić. Nie przekroczył jeszcze czterdziestki, ale towarzyszyła mu aura mądrości i dojrzałości, będąca atrybutem znacznie starszego wieku. Gęste, bardzo starannie obcięte, szpakowate i włosy i równo przystrzyżona kozia bródka potęgowały to wrażenie. Ubrany był bardziej konwencjonalnie niż wtedy, kiedy go widziała ostatnim razem. Miał

na sobie szary golf, ciemne spodnie i mokasyny. Wyjaśnił jej kiedyś przy kawie, że pacjent czuje się nieswojo i spina przy terapii w garniturze i krawacie. Lillian starała się nie myśleć o tym, czy miał pod spodem czerwone majteczki.

- Lillian. - Zdawało się, że poczuł ulgę na jej widok.

- Zaczynałem się martwić. Już prawie jedenasta. Kilka razy dzwoniłem do twojego biura. Nie odbierałaś, pomyślałem więc, że przyjdę i sprawdzę, co się dzieje.

Włożyła klucz do zamka i przekręciła.

- Nie jestem dziś z nikim umówiona, więc postanowiłam skorzystać z okazji i pozatrwiać różne sprawy.

- Rozumiem

Zapaliła światło i skierowała się do biurka.

- A więc, o co chodzi?

Anderson wszedł do gabinetu.

- Pomyślałem, że moglibyśmy pójść dziś na kolację.

- Dzięki za propozycję, ale to niemożliwe. - Uśmiechnęła się przepaszająco i położyła laptop na biurku. - Czeka mnie sporo pracy, nie dam rady.

- Mówiłaś, że nie masz dziś żadnych spotkań.

- Wyjeżdżam na jakiś czas z miasta, muszę się przygotować.

- Nie wspomniałaś, że chcesz sobie zrobić wolne.

- Ja nie jadę na wakacje. Zmieniam zawód.

- O czym ty mówisz? - zapytał z niepokojem. - Nic nie rozumiem. A w ogóle, jesteś spięta. Coś nie tak?

- Nie, Anderson, wszystko w porządku. Pomieszkam trochę w letnim domu moich rodziców w Eclipse Bay.

- Długo cię nie będzie?

- Miesiąc.

Wpatrywał się w nią takim wzrokiem, jakby co najmniej powiedziała, że zamierza zostać zakonnica.

- Aha. - Wziął się w garść z wyraźnym wysiłkiem. - Nie miałem pojęcia. Możesz sobie pozwolić na tyle wolnego?

- Owszem. Private Arrangements to już historia. Zakończyłam działalność w zeszły piątek.

Po raz drugi osłupiał ze zdziwienia.

- Nic nie rozumiem - wymamrotał. - Co masz na myśli?

- Słyszałaś. Zamknęłam firmę.

- Ale to niemożliwe - wybuchnął. - Nie możesz tak po prostu zamknąć Private Arrangements.

- Dlaczego?

- Chociażby dlatego, że zbyt dużo w to zainwestowałaś. - Zatoczył ręką łuk. - Co z twoim biurem? Programem? Klientami?

- Umowa o najem wygasa w przyszłym miesiącu. Inwestycja w program zwróciła mi się z nawiązką dawno temu. A klient został mi już tylko jeden. - Machnęła dłonią. - Przyznaję, mam drobny problem z tym, żeby się go pozbyć, ale ta sytuacja na pewno wkrótce się rozwiąże.

- A co z książką?

- No właśnie. Postanowiłam, że nie będę się w to angażować. Przykro mi, Anderson, na mnie nie licz.

Znieruchomiał.

- Coś jest nie tak. To do ciebie niepodobne. Zachowujesz się zupełnie inaczej niż zwykle. Wyraźnie widzę, że coś cię gnębi.

Przysiadła na brzegu biurka i spojrzała na niego.

- Posłuchaj, przed chwilą przydarzyło mi się coś bardzo nieprzyjemnego. Campbell Witley zatrzymał mnie na ulicy. Kiedyś spotykał się z jedną z moich klientek. Był na mnie wściekły, bo za moim pośrednictwem jego dziewczyna znalazła sobie kogoś.

- No dobrze, ale co Witley ma wspólnego z decyzją o zamknięciu firmy?

- Wytknął mi bez ogródek, że nie mam prawa mieszać się w cudze życie.

- To nedorzeczne.

- Ale tak się składa, że się z nim zgadzam.

Anderson wpatrywał się w Lillian wyraźnie zbulwersowany.

- Co ty opowiadasz? - zapyła! ostro.

Popatrzyła na laptop, zastanawiając się, jak to wyjaśnić. Zapewne Anderson nie uwierzyłby, gdyby powiedziała, że program to nie wszystko, że potrzebowała jeszcze intuicji i zdrowego rozsądku. Ona sama nie chciała w to wierzyć. Musiała znaleźć bardziej techniczne, fachowe wytłumaczenie, którym mogłaby zbyć Andersona. Program trochę szwankuje oznajmiła w końcu. W pewnym sensie, to nie takie dalekie od prawdy, pomyślała.

- Co? Jesteś pewna?

- Tak.

- Nie rozumiem. Odniosłaś sukces. Pozyskałaś wielu bogatych klientów.

Zwykły fart. Wzruszyła ramionami. - Zauważ, że nie dysponuję żadnymi długoterminowymi statystykami, bo po prostu nie siedzę w tym wystarczająco długo. Może się jeszcze okazać, że skojarzone przeze mnie pary wcale nie są lepiej dobrane od tych, które poznały się w zwykły sposób. Anderson popatrzy! na nią uważnie.

- Zdaje się, że wiem, w czym problem.

- Problem polega na tym, że Campbell Witley ma rację - powiedziała bardzo dobitnie. - Nie wolno mi mieszać się w cudze życie. Wiesz, jaki to stres?

- Stres?

- Ostatnio zaczęłam się zastanawiać, co by było, gdybym spieprzyła sprawę i połączyła niewłaściwych ludzi? Jasne, sprawdzam wszystkich klientów, żeby się upewnić, czy nie mają kryminalnej przeszłości albo czy nie cierpią na zaburzenia psychiczne. Ale jeśli coś przeoczę? Nie rozumiesz? To naprawdę bardzo ryzykowne.

Anderson z powagą, skinął głową.

- Zgadzam się.

- Serio?

- Tak. Wsunął dłonie do kieszeni, kołysząc się lekko wprzód i w tył. - Szczerze mówiąc, zamierzałem poruszyć ten temat.

- Naprawdę?

- Owszem. Ale wcześniej chciałem cię trochę lepiej poznać. To delikatna kwestia. - Uśmiechnął się protekcjonalnie.

- Słucham? - zachęciła ostrożnie.

Spojrzał na laptop.

- Jak wiesz, twój program bardzo mnie intryguje, ale jestem zaniepokojony, że korzystasz z niego bez fachowego przygotowania.

Odczekała chwilę.

- Fachowego przygotowania?

Powiedzmy sobie wprost, Lillian. Nie jesteś z wykształcenia psychologiem. Nie masz doświadczenia w terapii klinicznej ani poradnictwie psychologicznym. To, że do tej pory tak dobrze ci szło, wiele mówi o tym programie. Ale zgadzam się, prowadzenie biura matrymonialnego to duże obciążenie i ryzyko. Sam program nie wystarczy. Potrzebny jest jeszcze profesjonalista.

- Rozumiem. Profesjonalista. Jak ty.

- Owszem. Jeśli mówisz poważnie o wycofaniu się z interesu, chciałbym złożyć ci propozycję. Odkupię od ciebie program wraz z dokumentacją, jakiej się dorobiłaś.

Lillian na moment zamuroowało. Nie spodziewała się takiej oferty. Ostatnią rzeczą, o jakiej myślała, było odsprzedanie programu Andersonowi. Wcześniej czy później odkryłyby mankamenty posługiwania się programem. A ile błędów mógłby popełnić, zanim by sobie uświadomił, że program to nie magiczna różdżka.

Nie - powiedziała. - Mówiłam ci, że program szwankuje.

- Ma usterki?

- Nie chodzi o usterki techniczne. - Nie chciała wdawać się w szczegóły. - Po prostu nie jest bezbłędny.

Roześmiał się.

- Jestem pewien, że dam sobie radę z ewentualnymi problemami. Chciałbym złożyć ci ofertę, która usatysfakcjonuje nas oboje. Co byś powiedziała na umowę licencyjną?

- Program nie jest na sprzedaż.

- Lillian, bądź rozsądna.

- Przykro mi, ale już postanowiłam. Zmarszczy! brwi.

- Widzę, że konfrontacja z Witleyem źle na ciebie wpłynęła. Jeszcze nie doszłaś do siebie. Ale jak już ochłoniesz, na pewno zrozumiesz, że trochę przesadzasz.

Wstała z biurka, podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież.

- Wybacz, Anderson, ale mam dzisiaj dużo na głowie. Pojutrze wyjeżdżam. Szkoda czasu na tę rozmowę.

Wahał się przez moment, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że dalszą dyskusją niczego nie wskóra.

- Jak sobie życzysz. Pogadamy później.

Nie rób sobie nadziei, pomyślała, ale zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

Ociągał się jeszcze chwilę, ale w końcu wyszedł. Już z korytarza powiedział - Lillian, może...

- Do widzenia, Anderson. - Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Wspaniałe uczucie.

Może i trochę przesadzała, ale co tam. Miała prawo. Gabe, Witley i jeszcze Anderson. To był naprawdę ciężki tydzień.

Wróciła do biurka, podniosła słuchawkę telefonu i wybrała znajomy numer.

Nella Townsend odebrała po drugim sygnale.

- Townsend Investigations.

- Nello, to ja.

- Cześć, Lii. Co mogę dla ciebie zrobić? Mam sprawdzić nowego klienta?

- Niezupełnie. Chciałabym, żebyś dowiedziała się czegoś o Campbellu Witleyu.
- To nie twój klient?
- Nie. Były chłopak klientki. Przez chwilę Nella milczała.
- Jest jakiś problem?
- Jeszcze nie wiem.
- Rozumiem. Co wiesz o tym facecie?
- Niewiele. Tylko tyle, że do jesieni był związany z Heather Summers. Sprawdzając ją, kiedy została moją klientką.
- Okay. Nie powinno zabrać mi to dużo czasu. Pewnie będzie coś o nim w aktach panny Summers. Do wieczoru powinnam mieć dla ciebie wstępny raport.
- Świetnie. Wpadnę po niego w drodze do domu. Dzięki, Nello. Jestem ci naprawdę wdzięczna.
- Drobnostka. Masz jakieś plany na wieczór?
- Będę się pakować.
- Do pakowania trzeba mieć siłę. Musisz coś zjeść. Co powiesz na kolację ze mną i Chailesem?
- Przyniosę wino.

O wpół do szóstej Lillian zapadła się w wygodny fotel w salonie Nelli i zrzuciła buty.

- Jestem wykończona. Spakowanie biura zajęło mi cały dzień. Myślałam, że do drugiej będzie po wszystkim. Jakim cudem człowiek gromadzi w pracy aż tyle rzeczy? Jedna z niewyjaśnionych zagadek ludzkości.

Nella wzięła ze stolika niebieski segregator. Miała na sobie dzinsy i ciemnożółtą bluzkę z rozpiętym kołnierzykiem. Pod szyją, na tle ciemnobrązowej skóry połyskiwał złoty naszyjnik. Czarne włosy, ścięte przy samej skórze, podkreślały idealny kształt czaszki. Usiadła naprzeciwko Lillian, podwinęła jedną nogę pod siebie i otworzyła segregator.

- Czy nie mówiłaś przypadkiem, że całą dokumentację trzymasz na twardym dysku? zapytała.
- Owszem, wszystkie dane klientów są w komputerze, ale oprócz tego mam mnóstwo makulatury. Rachunki, korespondencja, różne świstki. Musiałam przejrzeć każdą kartkę i zdecydować, co wyrzucić, a co zostawić. - Lillian westchnęła ciężko. - Ale uporałam się ze wszystkim i Private Arrangements to już historia.

- Moje gratulacje powiedziała Nella. - Zadowolona?
- Tak, a będę w siódmym niebie, jak mnie zapewnisz, że Campbell Witley nie jest seryjnym mordercą.

- Ma zupełnie czyste akta. - Nella zerknęła w notatki. - Swego czasu służył w wojsku. Został honorowo zwolniony ze służby. Po wyjściu do cywila przejął firmę budowlaną po ojcu i bardzo dobrze mu się wiedzie. Sześć lat był żonaty, potem się rozwiódł. Nie ma dzieci. Nigdy niekarany ani nienotowany.

- To właśnie chciałam usłyszeć. - Lillian odetchnęła z ulgą.
- Skontaktowałam się z jego byłą żoną. Powiedziała, że owszem, lubił rządzić i zdarzało mu się wybuchać, ale nazwała go „nieszkodliwym typem”.

- Doskonale.

Nella zamknęła teczkę i spojrzała poważnie na Lillian.

- Ale to wcale nie znaczy, że nie może być niebezpieczny, jeśli zaistnieją szczególne okoliczności. Chyba rozumiesz?
- Tak, wiem. Ale to można powiedzieć o każdym.

- Racja. - Nella zacisnęła usta. - Sprawdziłam go dosyć powierzchownie, bo miałam mało czasu. Chcesz, żebym do tego wróciła?
- Nie, dzięki. Była żona uznała go za „nieszkodliwego typu”, to mi wystarczy. Jestem ci bardzo wdzięczna. Teraz mogę spać spokojnie.
- Rozmowę przerwał zgrzyt klucza w zamku. Nella wstała.
- Charles wrócił. Pora otworzyć wino.
- Lillian przywitała się z mężem Nelli. Charles trzymał w jednej ręce długą papierową torbę, z której wystawał bochenek chleba, a w drugiej aktówkę.
- Był szczupłym, czarnoskórym mężczyzną, z poważnymi, ciemnymi oczami; okulary w złoconych oprawkach nadawały mu profesorski wygląd. Pocałował żonę i przekazał jej zakupy. Nella zniknęła w kuchni.
- Charles ściągnął marynarkę, obdarzając Lillian leniwym uśmiechem.
- Słyszałem, że świętujemy dziś zamknięcie Private Arrangements.
- Zgadza się. W końcu się zdecydowałam. Od teraz oficjalnie jestem malarką. Albo bezrobotną, wszystko zależy od punktu widzenia. Skinął poważnie głową.
- Trochę na tym ucierpi firma Nelli, aleja od samego początku uważałem, że prowadząc biuro matrymonialne, narażasz się na proces.
- Z kuchni wyszła Nella. niosąc tacę z winem i serem. Zmarszczyła nos.
- Jesteś prawnikiem, Charles. Dla ciebie wystarczy, że człowiek idzie ulicą, a ty uważasz, że naraża się na proces.
- Ulica to bardzo niebezpieczne miejsce. - Charles wziął kieliszek z winem i wzniosł toast. Za sztukę.

Rozdział 4

- Bardzo mi się podoba, co zrobiliście z pokojami gościnnymi - powiedziała Lillian. Są takie przestronne i jasne. - Otworzyła przeszkłone drzwi narożnego apartamentu i wyszła na balkon. - Fantastyczny widok. Hannah rozejrzała się z satysfakcją po apartamencie, a potem wyszła za siostrą na chłodne, wieczorne powietrze.
- Pociągnięcie sieci wodno-kanalizacyjnej do wszystkich pokoi nie było tanie - stwierdziła. Z drzwiami balkonowymi też mieliśmy dużo zachodu, ale myślę, że inwestycja się zwróci, biorąc pod uwagę, jakie zamierzamy ustalić stawki. Ale dzięki temu zapewnimy naszym gościom prywatność i wysoki standard.
- Lillian oparła się o barierkę. Dopniecie swego, prawda? Będziecie mieć elegancki hotel i restaurację. Hannah wyglądała na ubawioną.
- A wątpiłaś?
- Nie, właściwie nie. Oboje byliście tak bardzo zapaleni do tego pomysłu, że musiało się wam udać.
- Wszystko zawdzięczamy cioci Isabel. - Hannah uśmiechnęła się. - Choć przyznaję, kiedy dowiedziałam się, że połowę hotelu zapisała Rafe'owi, nie byłam zbyt uszczęśliwiona.
- Lillian patrzyła na zatokę. Noc zbliżała się wielkimi krokami i poderwał się wiatr, niosąc od morza wyraźny zapach deszczu. Nadchodził kolejny sztorm. Uwielbiała tę porę roku na wybrzeżu Oregonu; surowy klimat inspirował ją jako artystkę. Gwałtowne zimowe sztormy odstraszały turystów, pozostawiając miasto miejscowym.
- Właściciele sklepów na nabrzeżu i małych, niewyszukanych knajpek byli przyzwyczajeni do długich

miesiący zastoju. W sezonie kłębiło się tu od letników z Portland i Seattle, ale kiedy zimą jadło się kolację na mieście, to zwykle wśród znajomych. Jeśli nie znało się ludzi przy sąsiednim stoliku, to zapewne byli studentami z pobliskiego Chamberlain College lub przyjezdnymi uczestnikami seminarium w Instytucie Studiów Politycznych. Obie te instytucje znajdowały się za miastem, na wzniesieniu.

Gnane wiatrem zimowe ulewy burzyły wody zatoki, tworząc bulgoczące kotły w zatoczkach, i chłostały sponiewierane przez sztormy domki na klifach. Między jednym a drugim szkwałem powietrze było krystalicznie czyste, świeciło jasne, choć zimne słońce. Naładowana energią zima wydawała się o wiele bardziej dynamiczna od sennego, mglistego lata.

Wieczorne niebo nadal było czyste. Ze swojego punktu obserwacyjnego na balkonie Lillian widziała łuk zatoki i światła miasteczka, a także oświetloną przystań z molo. Wzdłuż kamienistej plaży ciągnęła się droga. Bayview Drive zaczynała się tuż za miastem, w pobliżu Hidden Cove, najbardziej wysuniętej na północ części zatoki. Łączyła miasteczko z domami na plaży oraz chatkami rozsianymi po urwiskach. Przebiegała obok letniego domu Harte'ow i Dreamscape, kończyła się w Sundown Point, na południowej granicy zatoki.

Znała ten krajobraz od niepamiętnych czasów. W ostatnich latach nie bywała tu za często, ale i tak czuła silny związek z tym miejscem. Uświadomiła to sobie, wjeżdżając po południu do miasta. Od trzech pokoleń Harte'owie byli częścią lokalnej społeczności. Wrosli w nią równie mocno, jak Madisonowie. Objęła się rękami, czując wieczorny chłód.

- Ciocia Isabel wiedziała od początku, że ty i Rafe byliście sobie pisani.

- Chyba jako jedyna. - Hannah pokręciła głową. - A nawet nie tyle wiedziała, ile miała nadzieję, że tak jest. Marzyła o zakończeniu starego konfliktu. Rafe'a i mnie widziała jako Romea i Julię, tyle że ze szczęśliwym zakończeniem. Zostawiła nam Dreamscape, żeby jej marzenie o pojednaniu Harte'ow i Madisonów się urzeczywistniło.

- Tak czy siak, udało jej się wyswatać ciebie z Rafe'em.

- Może to u nas rodzinne - zażartowała Hannah.

- Nie sądzę.

- No dobrze. Lii, mów, co się dzieje. Nie zrozum mnie źle, bardzo się cieszę, że cię widzę, i naprawdę super, że postanowiłaś zrobić sobie wolne. Ale zbyt dobrze cię znam. Wiem, że nie powiedziałaś mi wszystkiego.

Nie ma sensu wymigiwać się od odpowiedzi, pomyślała Lillian. Zawsze była blisko z Hannah mimo dzielących je różnic. Hannah, choć młodsza prawie o dwa lata, była zawsze bardziej zrównoważona i zdecydowana. I miała wszystko zaplanowane, a przynajmniej tak myśleli, dopóki nie zaskoczyła całej rodziny, oznajmiając, że zamierza wyjść za Rafe'a Madisona i zrobić z Dreamscape hotel z prawdziwego zdarzenia.

Ale nawet ta nietypowa jak na nią szalona decyzja okazała się bardzo dobra. Było oczywiste, że Rafe i Hannah są dla siebie stworzeni i odniosą sukces w realizacji planu.

- Zamknęłam Private Arrangements - oznajmiła Lillian. Hannah patrzyła na siostrę zdezorientowana.

- Na kilka dni? Tygodni? Miesiąc?

- Na dobre.

Minęła dłuższa chwila, zanim to dotarło do Hannah. Potem gwizdnęła cicho i przeciągle.

- No nieźle...

- Wiem.

- Akurat kiedy rodzice zaczęli przyzwyczajać się do myśli, że jesteś swatką.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek się z tym w pełni pogodzili - westchnęła Lillian. - Nadal trudno im się przyznać przed znajomymi, czym się zajmuję. Dla nich to zawsze było podejrzane. A moje biuro matrymonialne nawet nie mogło się równać z twoim dawnym studium konsultingu i organizacji wesel.

- Okay, przyznaję, rodzice uważali, że to trochę ekscentryczne, ale odniosłaś sukces. Nie mogą temu zaprzeczyć. Lista twoich klientów robi wrażenie. Wszyscy ci młodzi, dziani informatycy byli zachwyceni twoim programem komputerowym. Nieźle na tym zarabiałaś, a to się bardzo liczy w naszej rodzinie.

- Skoro rodzice twierdzą, że prowadzenie biura matrymonialnego jest ekscentryczne, ciekawe, co powiedzą o kolejnym kroku w mojej karierze.

- To znaczy? Hannah przechyliła lekko głowę. - Mów szybko.

- To długa historia.

- Chcę ją usłyszeć natych... - Hannah urwała, kiedy zobaczyła samochód skręcający do Dreamscape.

- Obawiam się, że opowieść musi zaczekać. Przyjechała kolacja.

Lillian patrzyła, jak w stronę hotelu sunie lśniące porsche. Słysząc było niski pomruk mocnego, dobrze wyregulowanego silnika. Samochód zatrzymał się przy głównym wejściu. Silnik zamilkł, otworzyły się drzwi kierowcy. Z auta wysiadł Rafe. Poruszał się z gracją i swobodą - wspólna cecha wszystkich Madisonów.

Za nim wyskoczył z samochodu zadbane popielaty sznaucer. Pies zatrzymał się i zadarł głowę.

- Cześć, Winston zawołała Lillian. - Ale z ciebie przystojniak. Winston podskoczył kilka razy, łaskawie przyjmując zasłużony komplement. Potem pobiegł na schody i zniknął pod daszkiem.

Rafe wyjął z samochodu dwie torby z zakupami.

- No, w końcu wróciliście - zwróciła się do niego Hannah. - Już się zastanawialiśmy, czy nie pojechaliście do Total Eclipse na piwo i bilard.

Rafe zamknął łokciem drzwi i spojrzał w górę. Posłał Hannah i Lillian uśmiech a la Madison, który miał w sobie nie tylko łobuzerski urok, ale był też zapowiedzią nadciągających kłopotów.

- Wybaczcie drobne spóźnienie - powiedział. - Spotkałem starego znajomego. Akurat przyjechał do miasta. Zaprosiłem go na kolację. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko.

- Co to za znajomy? zapytała zaciekawiona Hannah.

- A taki tam. - Rafe spojrzał do tyłu na drogę dojazdową.

Lillian podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła drugą parę reflektorów, zbliżających się do hotelu. Ciemnozielony jaguar pokonał podjazd i zatrzymał się obok porsche.

Nagle ogarnęło ją złe przeczucie. Chwyciła mocno barierkę i wychyliła się, żeby lepiej widzieć.

- Nie - mruknęła. To niemożliwe... Hannah spojrzała na siostrę zdziwiona.

- Coś nie tak?

Zanim Lillian zdążyła otworzyć usta, z samochodu wysiadł Gabe. Spojrzał prosto na balkon.

- Witaj, Lillian powiedział swobodnie. - Widzę, że ty też zostałaś zaproszona na kolację. Niesamowity zbieg okoliczności, prawda?

- Zbiegi okoliczności nie istnieją - mruknęła złowrogo Lillian.

- Podobno.

Lillian była świadoma, że Rafe i Hannah są świadkami tej małej sceny. Oboje wydawali się zarówno rozbawieni, jak i zaintrygowani.

- Co ty tu robisz? Tylko nie próbuj mi wmówić, że nagle zapragnęłaś wziąć sobie wolne.

- Jedno powinnaś o mnie wiedzieć. - Gabe obszedł przód samochodu, kierując się do schodów. - Nigdy nie ulegam swoim zachciankom. Pewnie pomyliłaś mnie z Rafe'em. Czasami ponosi go fantazja.

- Hej... - zareagował szybko Rafe. - Teraz jestem poważnym, żonatym mężczyzną. Ustatkowałem się. Fantazja ponosi mnie tylko, kiedy jestem z Hannah. - Spojrzał na balkon. - Prawda, kochanie?

- I lepiej, żeby tak zostało odparła rozbawiona Hannah. Gabe zatrzymał się przed schodami i spojrzał na Lillian.

- Chyba nie myślałaś, że dam się spławić, co? Zacisnęła palce na barierce.

- Proponowałam zwrot pieniędzy.

- Nie chcę zwrotu. Chcę to, za co zapłaciłem.

- Nie, to się nie dzieje naprawdę - mruknęła głośno Lillian. Rafe zatrzymał się na schodach i spojrzał pytająco na brata.

- Nie wiem, o co tu chodzi, ale zapowiada się ciekawie.

- Lillian jest mi winna randkę - wyjaśnił Gabe. - Zapłaciłem za sześć, a było tylko pięć.

- To nie tak oburzyła się Lillian.

- Owszem, tak - zapewnił Gabe Rafe'a i Hannah. - Mogę to udowodnić. Mam umowę. Lillian czuła, że musi się bronić.

- Kłamałeś w kwestionariuszu.

- Nie odwracaj kota ogonem. Wisisz mi jeszcze jedną randkę i tyle.

- No to masz pecha - odparowała. - Bo nie będzie więcej randek. Private Arrangements przestało istnieć. W sprawach matrymonialnych musisz zwrócić się gdzie indziej.

- Gabe zaczął wchodzić po schodach.

- Nikt nie bierze ode mnie pieniędzy, a potem robi w konia i wyjeżdża z miasta.

- Cholera, Gabe! Lillian wychyliła się zza barierki. - To śmieszne. Nie wierzę, że robisz aferę z powodu jednej głupiej randki.

- W interesach nie ma żartów. - Zniknął w domu.

- Cały mój brat skwitował kpiąco Rafe. - Mógłby napisać poradnik o tym, jak dopiąć swego. Lillian nie zdążyła powiedzieć, co myśli o zachowaniu Gabe'a, bo Rafe też wszedł do środka.

- No proszę, co za interesujący zwrot wydarzeń - wtrąciła się Hannah.

- To nie jest śmieszne. On nie zachowuje się normalnie. - Lillian zapatrzyła się na pusty podjazd. - Może mu zwyczajnie odbiło? No wiesz, zbudować od podstaw firmę, to ogromne wyzwanie. Może nie wytrzymał napięcia?

- Nie sądzę, żeby pokonał go stres - stwierdziła Hannah. - Nie zapominaj, że masz do czynienia z Madsonem. To wiele wyjaśnia.

- Bałam się, że to powiesz.

- Przeczuwam, że za tym wszystkim kryje się coś więcej niż tylko to, że nie wywiązałaś się z umowy.

- Wierz mi lub nie, ale zaczęło się całkiem zwyczajnie. Gabe postanowił skorzystać z usług Private Arrangements. Nie przyjmowałam już nowych klientów, ale jemu tak zależało, że uległam. Trudno uznać go za starego przyjaciela rodziny, ale zupełnie obcy też nie jest, zwłaszcza od kiedy ty i Rafe się pobraliście. Pomyślałam, co mi szkodzi. Miałam nawet kilka fajnych babek, z którymi mogłam go poznać.

- No to co się stało?

Lillian bezradnie rozłożyła ręce. Gabe okazał się klientem z piekła rodem.

Nie mamy wyjścia, musimy wyprowadzić się na trzy tygodnie - oznajmiła Hannah godzinę później. Podała Lillian przez stół dużą ceramiczną miskę. Taki remont to prawdziwe piekło. Już kiedy Willisowie zajmowali się hydrauliką, ledwo dało się wytrzymać.

- Ciągłe nie było wody, wszędzie walały się rury - dorzucił Rafe. - Instalacje wodne już mi się śniły po nocach.

Ale i tak mamy szczęście, że bracia Willisowie mogli nam poświęcić cały swój czas - powiedziała Hannah. - Lokalne władze rozbudowują instytut i baliśmy się, że podbiorą nam Willisów. Ale na szczęście zdecydowali się na fachowców spoza miasta.

- Jakoś przetrwaliśmy zabójczy etap hydrauliczny - dokończył Rafe. - Ale nie możemy tu zostać, kiedy będą malować i lakierować podłogi.

- No pewnie. - Lillian nałożyła sobie dużą porcję sałatki ogórkowej w sosie jogurtowym, dzieło Rafe'a. - Kurz, opary, to mogłoby zaszkodzić Winstonowi.

- Nie tylko jemu zauważył ironicznie Rafe. - Poza tym, dobrze nam zrobią małe wakacje, zanim ruszymy pełną parą. Jedziemy do Kalifornii, pozwiedzać winnice w Napa Valley. Przy okazji dopracujemy kartę win, jakie będziemy podawać w restauracji.

- Kolejny niesamowity zbieg okoliczności. - Gabe umoczył kawałek chleba w pachnącym gulaszu ziemniaczanym z curry. - Ja też postanowiłem odpocząć.

Rafe uniósł brwi.

- Świetnie. Najwyższy czas, żebyś zrobił sobie trochę wolnego. Już prawie mieszkasz w tym swoim gabinecie.

No podobno - wymamrotał Gabe. Lillian znieruchomiała.

- Przyjechałeś tu na kilka dni? Rafe roześmiał się.

- Nic martw się, Lillian. Gabe nie zabawi długo w Eclipse Bay, jeśli to cię niepokoi. Na razie może zatrzymać się u Mitchella, dopóki ten nie wróci z Hawajów. Bo potem po czterdziestu ośmiu godzinach zaczną skakać sobie do gardeł.

- Naprawdę? Po dwóch dniach?

- Jasne. Mitchell jak zwykle zacznie prawić kazania, że Gabe ma obsesję na punkcie Madison Commercial. Gabe każe mu się odczepić i spakuje się do wyjazdu.

Lillian rozluźniła się. Rafe mówił do rzeczy. Wszyscy wiedzieli, że Madisonowie byli potwornie uparci i zawzięci. Dwa takie osobniki pod jednym dachem - to mieszanka wybuchowa.

- Masz rację. - Gabe wzruszył ramionami. - Dzień, góra dwa. Więcej nie wytrzymam z Mitchellem.

Rafe mrugnął do Lillian.

- Mówiłem.

- A ostatnio Mitchell zrobił się jeszcze gorszy, uwierzycie? - Gabe pokręcił smutno głową. Sprezentowanie mu komputera było wielkim błędem.

- No co ty! - Rafe zaśmiał się. - On się w nim zakochał. Nie może już bez niego żyć.

- Owszem - przyznał Gabe. - Ale miałem nadzieję, że będzie mu służył do innych celów.

Lillian zatrzymała widelec w połowie drogi do ust.

- To znaczy?

- Na przykład do przeglądania stron porno dla seniorów. Ale nie. On musi codziennie wysyłać do mnie e-maile.

Rafe uśmiechnął się szeroko.

- Chyba się domyślam ich treści.

- Pisze o różnych rzeczach, ale za każdym razem musi wtrącić swoje trzy grosze na temat tego, jak prowadzę firmę. I mojego życia osobistego.

Lillian odchrząknęła.

- Rozumiem, że ma jakieś zastrzeżenia.

Wzburzenie Gabe'a zaskoczyło Lillian. Cokolwiek działo się między Gabe'em a jego dziadkiem, nie tylko go irytowało, ale było najwyraźniej bolesne.

- Tak. Ma zastrzeżenia - przyznał z naciskiem.

- Przykro mi, jeśli planowałeś zatrzymać się u nas - powiedziała miękko Hannah. Ale sam widzisz, mamy tu jeden wielki bałagan. A będzie jeszcze gorzej, jak zabiorą się za podłogi.

- Jasne. - Gabe poczęstował się sosem pomidorowym.

Rafe patrzył pytająco na brata.

- Jak długo zamierzasz zostać u Mitchella?

- W ogóle. - Gabe odczekał chwilę. - Wynająłem stary dom Buckleyów.

- Na długo? zapytała ostrożnie Lillian.

- Na miesiąc.

Nie wierzyli własnym uszom.

- Naprawdę zamierzasz zrobić sobie miesiąc wolnego? - zapytała Hannah.

- Kilka razy skoczę do miasta, bo mam pewne zobowiązania, od których nie mogłem się wymigać wyjaśnił Gabe. - Muszę na przykład wygłosić mowę na bankiecie na cześć mojego dawnego wykładowcy. Poza tym nie będę przecież całkowicie odcięty od firmy. Zabrałem faks i laptop, no i jest jeszcze telefon.

- Nie wierzę powiedziała oszołomiona Lillian. - To wszystko brzmi podejrzenie.

- Ona ma rację przyznał Rafe. Coś jest nie tak. Chrzanić telefon i komputer. Jeśli na miesiąc odizolujesz się od biura, to jeszcze pojawi się u ciebie syndrom odstawienny. Dostaniesz drgawek albo wysypki. - Przerwał na moment, czekając na reakcję Gabe'a, ale ten milczał, nie przerywając jedzenia.

- A niech mnie. Rafe był wyraźnie zaintrygowany. - Ty mówiłeś poważnie, prawda.

W oczach Gabe'a pojawił się sardoniczny błysk.

- Znasz mnie. Czy ja kiedykolwiek stroję sobie żarty?

- No nie.

Lillian ogarnęły złe przeczucia. Przyglądała się Gabe'owi. Jak zwykle był chłodny i opanowany. A jednak coś się z nim działo.

- Chyba nie chodzi o tę randkę? - zapytała. - Domyślam się, że tylko się ze mną przekomarzałeś. Ty naprawdę potrzebujesz wakacji.

Gabe znów wzruszył ramionami, nie mówiąc ani słowa. - Wszystko w porządku z firmą? - odezwała się niepewnie Hannah.

Lillian trochę wystraszyło jej pytanie. Ale rozumiała, dlaczego Hannah je zadała. Wszyscy, którzy choć trochę znali Gabe'a, wiedzieli, ile ta firma dla niego znaczyła. Ewentualne kłopoty Madison Commercial z pewnością mogłyby wyjaśniać jego dziwne zachowanie.

Ale z drugiej strony, gdyby firma miała kłopoty, Gabe nie zrobiłby sobie wolnego. Siedziałby w biurze po dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu, dopóki nie rozwiązałby problemu.

- Tak - powiedział Gabe, przeżuając.

- Ale? - ciągnął go za język Rafe.

Gabe przełknął, odłożył widelec i opadł na oparcie krzesła.

- Nie ma żadnego ale - powiedział. - Wziąłem wolne, żeby poświęcić trochę czasu innym sprawom. I tyle. Niechętnie to przyznaję, ale Mitchell może mieć rację. W ostatnich latach chyba rzeczywiście za bardzo byłem skupiony na firmie.

- Wypaliłeś się - oświadczyła spokojnie Lillian.

Gabe i Rafe spojrzeli na nią jak na kosmitkę. Za to Hannah natychmiast zgodziła się z siostrą.

- No jasne. Lii ma rację. To wygląda na wypalenie zawodowe.

- Bzdura - stwierdził Gabe.

- Pomyśl - powiedziała cierpliwie Lillian. - Przez lata poświęcałeś Madison Commercial całą swoją energię. Harowałeś, żeby firma odniosła sukces. Taki długotrwały, intensywny wysiłek ma swoją cenę.

- Skąd wiesz? — zapytał zwodniczo miłym tonem. - Z tego co słyszałem o twojej burzliwej przeszłości zawodowej, nie zagrzałaś nigdzie miejsca na tyle długo, żeby się wypalić.

Jego cięta riposta zaskoczyła Hannah i Rafe'a.

W obawie, że Rafe powie bratu coś, czego mógłby potem żałować, Lillian postanowiła rozładować sytuację.

- Masz rację - przyznała. - No cóż, niektórzy po prostu są wolnymi ptakami i nic z tym nie da się zrobić. Swoją drogą, to zabawne...

- Co? - zapytał Gabe.

- Pewnie wszyscy sądzili, że będziesz zmieniać prace jak rękawiczki.

- Bo jestem Madisonem?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - A ja Harte. To Harte'owie lubią trzymać się z góry założonego planu. - Zwróciła się do pozostałych. - Zaproponowałam Gabe'owi, żeby zatrudnił mnie na kierowniczym stanowisku w Madison Commercial, ale odrzucił propozycję z uwagi na mój burzliwy życiorys.

Nie odrywając wzroku od Lillian, Gabe położył łokieć na oparciu swojego krzesła.

- Nie to było powodem.

- A co? - zapytała zaciekawiona Hannah.

- Lillian stwierdziła, że pewnie wkrótce zaczęłyby mnie pouczać, jak mam prowadzić interesy. Powiedziałem, że wtedy musiałbym ją zwolnić. Doszliśmy do wniosku, że w takiej sytuacji lepiej dać sobie spokój.

- Tak. właściwie masz rację, ta decyzja była wspólna. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest kolejny krótkotrwały epizod w mojej karierze zawodowej - dodała Lillian.

Napięcie osłabło. Hannah wykazała się refleksem i zaczęła nowy temat.

- No dobrze, zamknęłaś Private Arrangements, ale chyba rozglądasz się za nową pracą? - zapytała.

- Właściwie nie - odparła Lillian.

- Zamierzasz żyć z zasiłku? Byłabyś pierwszą bezrobotną w klanie Harte'ów - odezwał się Gabe.

- Nie, nie zamierzam żyć z zasiłku. Rafe uniósł brwi.

- Pójdiesz do Harte Investments?

- Nigdy w życiu. To nie tak, że nie mogę pracować u ojca. Rzecz w tym, że nie nadaję się do korporacji.

Gabe oparł się łokciami o stół.

- Dobra, ja się poddam. Co będziesz robić? Malować.

- Przecież zawsze malowałaś - zauważyła Hannah. Tak. ale teraz chcę się tym zajmować zawodowo. Cała trójka patrzyła na nią takim wzrokiem, jakby właśnie oznajmiła, że zostanie klaunem w cyrku. Hannah jęknęła.

- Proszę, nie mów, że zamknęłaś Private Arrangements, żeby poświęcić się malowaniu.

- Zamknęłam Private Arrangements, żeby poświęcić się malowaniu. Rodzice się wściekną. - Hannah opadła na oparcie krzesła. - Nie wspominając już o dziadku. Wiem powiedziała Lillian. Rafe sięgnął po dzbanek z kawą.

- Myślisz, że wyżyjesz z malowania?

- Wkrótce się o tym przekonam. Za kilka tygodni Octavia Brightwell wystawi moje prace w galerii w Portland.

Rafe uśmiechnął się z lekką kpina.

- Udzieliłbym ci standardowej rady, żebyś na razie nie rezygnowała ze stałej pracy, ale chyba już za późno.

- O wiele za późno przyznała.

Gabe stał przy barierce hotelowego tarasu i patrzył za znikającymi w ciemności tylnymi światłami samochodu Lillian. Rafe oparł się o pobliski słupek. Winston leżał rozciągnięty na szczycie schodów, ale uszami i nosem czujnie wychwytywał dźwięki i zapachy nocy. Hannah zaszyła się w ciepłej kuchni.

- Skoro zamierzasz spędzić w Eclipse Bay cały miesiąc, może powinienem zapoznać cię z miejscowymi nowościami - powiedział po chwili Rafe.

- Daj spokój. Nie interesują mnie plotki.

- Chodzi o Marilyn Thornley.

Gabe zapuścił się myślami w przeszłość, wspominając kobietę, z którą był przez jakiś czas po skończeniu studiów. Wtedy nazywała się Marilyn Caldwell. Córka jednych z najbogatszych ludzi w okolicy. Caldwellowie mieszkali w Portland, ale podobnie jak Harte'owie mieli letni dom w Eclipse Bay. I jeszcze w Palm Springs.

Marilyn potrafiła wyczuć zwycięzcę. W Madisonie widziała spory potencjał, ale Thornley wydawał się mimo wszystko pewniejszy. Porównała sobie obu kandydatów i postanowiła związać swój los z Trevorem Thornleyem.

Nie miał żalu. I nie mógł nic zarzucić jej decyzji. To było rozsądne, przemyślane posunięcie. Trevor stał u progu kariery politycznej. Miał charyzmę, odpowiedni wygląd i elokwencję, żeby zainteresować sobą media i zdobyć elektorat. Już wtedy było wiadomo, że jeśli nie przeszkodzi mu kataklizm, daleko zajdzie, może do samego Waszyngtonu. Potrzebował jedynie pieniędzy. Dużo pieniędzy. Rodzina Marilyn dostarczyła brakujący składnik. Doszli do wniosku, że warto inwestować w zięcia, który wkrótce będzie wpływowym politykiem.

Ale Thornley dostał jeszcze niespodziewany bonus. Okazało się, że Marilyn jest znakomitym strategiem. Przy wsparciu ekspertów z Instytutu Studiów Politycznych wyreżyserowała każdy krok w karierze Trevora, była jego przewodnikiem, a on stopniowo realizował kolejne cele. Na jesieni ogłosił, że kandyduje do senatu.

Ku zaskoczeniu wszystkich, wycofał się z wyborów tuż przed Świętem Dziękczynienia. Prasa podała tylko, że zrezygnował z powodów osobistych.

Co z Marilyn? - zapytał Gabe.

- Nie słyszałeś? Rozwodzi się z Thornleyem. W zeszłym miesiącu wprowadziła się do letniego domu

rodziców. Ma swoje biuro w instytucie.

- Wykłada tam? Rafe pokręcił głową.

- Zaczyna własną karierę polityczną.

- Hm. Nic dziwnego. To jej żywioł.

- Tak. Ale jest jeden problem.

Jaki? - zapytał Gabe.

- Kariera Thornleya sporo kosztowała Caldwellów. Podobno uznali, że nie będą więcej angażować się finansowo w politykę. Innymi słowy, nie zamierzają sponsorować córki. No, chyba żeby dowiodła, że warto w nią inwestować.

- Aha, czyli potrzebuje pieniędzy.

- Właśnie. Dużych pieniędzy - podkreślił Rafe. - A ty je masz. Kiedy się dowie, że jesteś w Eclipse Bay, pewnie się do ciebie zgłosi.

- Dzięki za ostrzeżenie. Ale nie martw się. Umiem poznać, kiedy kobieta leci na moją kasę.

Rafe wpatrywał się w ciemną zatokę.

- Kiedyś byliście razem. Dawne dzieje.

- Niby tak. - Rafe włożył ręce do kieszeni spodni. - Ale uważaj.

- Okay.

Na chwilę zapadła cisza. Gabe czuł, że brat nad czymś intensywnie myśli.

- Naprawdę wynająłeś dom Buckleyów na cały miesiąc? - zapytał w końcu Rafe.

- Tak.

- Hm... To trochę nie w twoim stylu. Może rzeczywiście się wypaliłeś?

- Madisonowie się nie wypalają. Słyszałeś kiedyś o takim przypadku? Rafe zastanawiał się przez chwilę.

- Nie. Owszem, czasem wybuchają. Bywają zapalczywi, zżera ich namiętność, ale nigdy żaden się nie wypalił.

- No właśnie.

- A tak w ogóle, co jest między tobą a Lillian?

- Dlaczego myślisz, że jest coś między nami?

- Zgoda, może nie należę do najwrażliwszych czy najbardziej spostrzegawczych facetów na świecie...

- Pewnie że nie. Jesteś Madisonem.

- Ale nawet ja zauważyłem, że kiedy patrzysz na Lillian, masz taką minę, jakby szykowała się lukratywna umowa dla Madison Commercial.

- Jak sam zauważyłeś, nie jesteś zbyt wrażliwy ani spostrzegawczy.

- Ale nie jestem też głupi oburzył się Rafe. - Nie widziałem, żebyś kiedyś patrzył tak na kobietę.

- Co Lillian ma wspólnego z interesami?

- No właśnie. Jeśli potraktujesz ją jak inwestycję, może się to dla ciebie źle skończyć.

Gabe spojrzał na Winstona.

- Mój brat. wujek dobra rada.

Winston uniósł głowę i spojrzał inteligentnym psim wzrokiem. Rafe wpatrywał się w pustą drogę.

- Zawsze wiedziałem, że któregoś dnia i ciebie to dopadnie.

- mam na nazwisko Madison?

- nieuniknione. Jest zapisane w naszych genach. Wiesz, trochę żałuję, że jutro wyjeżdżamy i tego nie

zobaczymy.

- Czego?

- Katakliizmu.

Rozdział 5

W nocy szalał sztorm, ale rano obudził się łagodny i pogodny jak na tę porę roku. Było prawie piętnaście stopni. Gabe zatrzymał się nad urwiskiem i spojrzał na zatokę. W czasie odpływu widać było pięć palczastych skał, od których wzięła się nazwa - Dead Hand Cove. U podstawy klifów ziały czernią wejścia do małych pieczar i jaskiń, wyrzeźbionych przez naturę.

Na jednym z głazów rozrzuconych niedbale przy brzegu siedziała Lillian. Jej ciemne włosy błyszczały w promieniach zimowego słońca. Miał nadzieję, że ją tu zastanie. Czuł lekkie podniecenie. Czarne legginsy podkreślały zgrabne łydki i szczupłe kostki Lillian. Spod kołnierza jej jasnoczerwonej kurtki wystawał pomarańczowy sweter. Włosy miała związane w węzeł.

Nachylała się w skupieniu nad rozłożonym na kolanach szkicownikiem. Wczoraj Gabe poznał straszną prawdę. Lillian nie tylko interesowała się sztuką, ona zamierzała zawodowo zajmować się malowaniem. Przyglądał się ruchom dłoni pracującej nad rysunkiem. Fascynowała go delikatność i swoboda, z jaką Lillian prowadziła ołówek. Kojarzyła mu się z czarodziejką tworzącą magiczne zaklęcie.

Gdzieś w górze zaskrzeczała mewa, wrywając go z transu. Postawił kołnierz brązowo-czarnej kurtki i szybko zszedł kamienistą ścieżką, nie mogąc doczekać się spotkania ze swoim przeznaczeniem.

Wyczuła jego obecność, kiedy znalazł się na wąskim pasku plaży. Odwróciła głowę. Wyglądało, jakby zastygła w bezruchu. Czarodziejka przyłapaną na gorącym uczynku. Czuł jej chłodną rezerwę.

Może miała rację, że patrzyła tak nieufnie. On sam nie rozumiał tego, co się działo. Zmusił się do zwolnienia kroku i opanowania emocji. Zrobił luzacką minę.

- Długo mnie szpiegujesz? zapytała.

- Co za ciepłe przywitanie.

- Myślałam, że jestem sama. Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam. Rano zwykle ćwiczę, ale nie ma tu siłowni, więc pomyślałem, że się przejdę.

- Akurat w tę stronę? Uśmiechnął się.

- Zawsze z rana jesteś taka czarująca?

Zawahała się, ale po chwili odwzajemniła uśmiech.

- Teraz ja przepraszam. Napadłam na ciebie bez powodu. Ostatnio jestem trochę podenerwowana.

- Ciekawe. Bo ja też.

- Nic dziwnego. Pewnie na skutek wypalenia - powiedziała z przekonaniem.

- No tak. zapomniałem, że już mnie zdiagnozowałaś. - Usiadł na kamieniu obok. - A ty czym się denerwujesz? Moją obecnością w Eclipse Bay?

- Nie.

- Kłamczucha.

Spojrzała na niego rozdrażniona.

- Mam wiele powodów do zdenerwowania i nie przez ciebie.

- Na przykład?

- Wymienić?

- Słucham.

Zacisnęła usta.

- Po pierwsze, właśnie zaniknęłam firmę i jestem bezrobotna.

- Sama tego chciałaś.

- Dzięki za przypomnienie. Denerwuję się wystawą. Tym, jak moje prace zostaną przyjęte.

Nie wiedział, co powiedzieć, więc milczał.

- Dalej. Przed wyjazdem z Portland miałam dwie nieprzyjemne rozmowy. Martwię się, czy dobrze wszystko rozegrałam.

- Jakie rozmowy?

Wbiła wzrok w palczaste skały.

- Przyszedł do mnie Anderson. Nie ucieszył się, kiedy usłyszał, że nie pomogę mu z książką.

- Nic dziwnego. Wspomniałaś, że widziałaś go w czerwonych majtkach?

- Oczywiście, że nie.

- A szkoda. Na twoim miejscu, bym się nim nie przejmował. A druga rozmowa?

- Zaczepił mnie na ulicy Campbell Witley. Powiedział, żebym nie mieszała się w cudze życie.

Spojrzał na nią uważnie.

- Wystraszył cię?

Zawahała się.

- Może trochę.

- Co to za jeden?

- Były facet mojej klientki. Niezadowolony, że znalazłam jej kogoś innego. Ale na pierwszy rzut oka widać, że on i Heather w ogóle do siebie nie pasowali.

Wpatrywał się w jej twarz.

- Groził ci?

- Nie.

- Każę go sprawdzić. - Sięgnął do kieszeni dzinsów po telefon. - Współpracujemy na stałe z agencją detektywistyczną.

- Dzięki, nie ma potrzeby. Zadzwoiłam do Townsend Investigations. Witley jest czysty.

- Na pewno?

- Tak, wszystko w porządku. Nella Townsend zna się na swojej robocie. Facet się wściekł i tyle. Bardziej martwi mnie chyba to, że miał rację.

- Co ty opowiadasz?

- Zarzucił mi, że mieszam się w cudze życie, a to przecież prawda. Swatając ludzi, bierzesz na siebie ogromną odpowiedzialność. A jeśli popełniłam błąd? Mogłam źle wpłynąć na czyjąś przyszłość.

- Właśnie.

- O ile sobie przypominam - ciągnęła - w części „uwagi własne” napisałeś, że uważasz się za pragmatyka i realistę. Zaznaczyłeś, żebym nie traciła twojego cennego czasu i nie umawiała cię ani z przedstawicielkami elity naukowej, ani nawiedzonymi wyznawczyniami New Age.

- Mhm - mruknął na potwierdzenie.

Lillian głośno zamknęła szkiecownik.

- I jeszcze, że nie interesują cię artystki.

Do diabła, zaklął w duchu.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale odniosłam wrażenie, że w „uwagach własnych” pisałeś w miarę szczerze.

Najwyższy czas zmienić temat.

- Masz u siebie coś do jedzenia? - zapytał. Zamrugła.

- Jesteś głodny?

- Konam z głodu. Rano zorientowałem się, że brakuje mi kawy. W ogóle wszystkiego. Zapomniałem wczoraj zrobić zakupy.

- I spodziewasz się, że zaproszę cię na śniadanie?

- Czemu nie? Mogłabyś okazać trochę sąsiedzkiej życzliwości. Ja bym cię zaprosił, gdybym miał kawę, tosty, no i może jeszcze masło orzechowe

- Masło orzechowe?

- Zdziwiłabyś się, co można z nim zrobić.

- No cóż, żałuję, ale muszę cię rozczarować. Też nie zrobiłam wczoraj zakupów. Zaraz zamierzam przejechać się do tej piekarni, którą zachwalał wczoraj Rate.

- Incandescent Body? Wstał. Świetny pomysł. Mój brat wie, co dobre.

Zastanawiała się, dlaczego dała się namówić Gabe'owi, żeby razem pojechali do miasta. To pewnie wina jej dziwnego nastroju. Ale kiedy weszła do piekarni, niebiański zapach świeżego pieczywa szybko rozwiał wszelkie rozterki. Nagle zdała sobie sprawę, że kona z głodu.

Nikt nie wiedział za wiele o grupie wyznawców New Age, którzy sprowadzili się do miasta przed rokiem i otworzyli na nabrzeżu Incandescent Body. Nosili długie, kolorowe ubrania i dużo biżuterii stylizowanej na antyczną. Bił od nich taki spokój, że wydawali się nierealni. Nazywali siebie Heroldami Przyszłych Wieków.

Rafe i Hannah mówili, że początkowo Heroldowie budzili niechęć mieszkańców miasta, podniósł się nawet mały alarm. Lokalne władze miały poważny problem. Istniało podejrzenie, że Eclipse Bay stało się siedliskiem dziwnego kultu. „Eclipse Bay Journal” radził mieć oko na przybyszy.

Ale tam, gdzie jedyna piekarnia została zamknięta blisko trzy lata temu, Heroldowie Przyszłych Wieków szybko mogli wkupić się w łaski mieszkańców. Byli mistrzami wypieków.

Lillian i Gabe zjawili się w piekarni około dziesiątej. Nie było tłumu, ludzie siedzieli rozsiani przy stolikach. Głównie miejscowi, para turystów, rzadkie zjawisko zimą, oraz kilkoro młodych ludzi w dżinsach, pewnie studentów z Chamberlain College.

Głowy miejscowych natychmiast się obróciły. Lillian wiedziała, co myśleli. Całe miasto ekscytowało się ślubem Rafe'a i Hannah. A teraz, proszę bardzo, Harte i Madison znowu razem. Czyżby kolejny cud?

- Może to nie był dobry pomysł - szepnęła do Gabe'a.

- Daj spokój. - Stał przy ladzie i przyglądał się przez szybę starannie ułożonym wypiekom. Alternatywą jest Total Eclipse. Tylko oni otwierają tak wcześnie. Ale na pewno nie chciałabyś tam jeść.

- Masz rację. Lepiej nie jeść „Tam, gdzie słońce nie dochodzi”. Zabójcza reklama.

- Właśnie. Poza tym, spójrz tylko na te kukurydziane muffiny. Mniem. Biorę dwa. A ty?

- Ludzie na nas patrzą.

- Tak? - Rozejrzał się zaciekawiony, pozdrawiając skinieniem głowy tych, których kojarzył. Wrócił wzrokiem do muffinów. - No i co z tego? Ty nazywasz się Harte, a ja Madison. Harte i Madison razem. W tym mieście to zawsze będzie sensacja.

- Nie przeszkadza ci to?

- Nie.

- No jasne, kilka badawczych spojrzeń, co to dla ciebie - mruknęła. - Jesteś Madisonem.

- Właśnie.

Podszedł do stojącej za kontuarem kobiety w średnim wieku. Była ubrana w długą, jasną togę, nieskazitelnie biały fartuch, spod białej chusty wystawały siwiejące włosy. Na szyi miała wisiołek z półksiężycem.

- Niech światło przyszłych wieków będzie z tobą - powiedziała uprzejmie.

- Dziękuję odparł Gabe. - I nawzajem. Proszę dwa kukurydziane muffiny i kawę.

- Obejrzał się przez ramię. - Zdecydowałaś się już, Lillian?

- Poproszę croissanta. i zieloną herbatę.

- Na miejscu czy na wynos?

- Na miejscu - powiedział Gabe.

- Hm, skądś znam te głosy odezwał się ktoś ochryple zza zasłony w drzwiach.

Lillian stłumiła jęk i przywitała uśmiechem właścicielkę przeżartego whisky i cygarami głosu, krzepką kobietę w militarnym stroju i ciężkich butach, która wyłoniła się z zaplecza. Arizona Snow już dawno osiągnęła wiek emerytalny, ale energii mogła jej pozazdrościć niejedna nastolatka.

- To się nazywa idealne wycucie czasu - zauważyła Arizona z wyraźną satysfakcją.

- Dzień dobry AZ przywitał ją Gabe. - Co nowego?

- Ci dranie z instytutu nic nie kombinowali przez chwilę, po tym jak twój brat i Hannah weszli im w paradę, ale znowu zaczyna robić się gorąco. - Arizona uśmiechnęła się radośnie do Lillian. - Tak się cieszę, że cię widzę.

- Wzajemnie - odparła Lillian. - Co tu robisz?

- Mamy cotygodniowe zebranie. - Arizona zniżyła głos do poufnego szeptu. - Wprowadziłam ten zwyczaj kilka miesięcy temu, kiedy poznałam bliżej Heroldów i odkryłam, że nie są frajerami, którzy dają wodzić się za nos tym z instytutu. W przeciwieństwie do większości miejscowych oni rozumieją, co się tu naprawdę dzieje.

- Dobrze wiedzieć, że ktoś jeszcze rozumie - skomentował Gabe. Arizona wychyliła się z drzwi, obrzuciła wzrokiem salę, a potem skinęła na Lillian i Gabe'a.

- Chodźcie na zaplecze. Wy też powinniście być na bieżąco.

- Och, serdeczne dzięki. Arizono - zareagowała szybko Lillian. - Ale jesteśmy dzisiaj trochę zajęci. Prawda. Gabe?

- Nie wiem jak ty, ale mi nigdzie się nie spieszy. - Gabe położył pieniądze na ladzie.

- Nie? - Nigdy by nie pomyślała, że Gabe z własnej woli da nura do króliczej nory, prowadzącej do alternatywnej rzeczywistości Arizony Snow. Spojrzał na nią spod uniesionych brwi.

- No co? - spytał rozbawiony

- A nie musisz, hm... zadzwonić do firmy? To może poczekać.

Arizona spojrzała na Lillian znacząco, lekko mrużąc oczy.

- Hannah i Rafe też mieli w nosie, co działo się w instytucie, aż zrobiła się podbramkowa sytuacja.

Lillian wiedziała, kiedy się poddać. Próbowwała, nie wyszło. W głowie miała pustkę. Nie mogła wymyślić żadnej wymówki. Co więcej, Harte'owie i Madisonowie byli dłużnikami trochę zwariowanej Arizony Snow. Dzięki jej skrupulatnym zapisom w dziennikach Rafe i Hannah zidentyfikowali mordercę.

- Zdaje się, że możemy chwilę zostać - mruknęła Lillian zrezygnowanym tonem.

- Świadomość niebezpieczeństwa to połowa sukcesu. - Arizona odchyliła zasłonę.

- Święta racja - przyznał Gabe. Zabrał muffiny z kawą i przeszedł za ladę.

- Lillian wzięła croissanta z herbatą i niechętnie poszła za Madisonem.

Arizona opuściła za nimi zasłonę. Lillian zatrzymała się na widok trzech mężczyzn i dwóch kobiet zebranych wokół wielkiego, zasypanego mąką stołu. Wszyscy mieli długie szaty i „antyczną” biżuterię. Byli w różnym wieku. Najmłodszego chłopaka, z długimi włosami, zebranymi porządnie pod czepkiem ochronnym, Lillian oceniała na dwadzieścia pięć lat. Najstarsza była kobieta, siwowłosa, przy kości. Wysoki, postawny, ogolony na zero mężczyzna sprawiał wrażenie lidera grupy.

Heroldowie przypatrywali się Lillian i Gabe’owi z uprzejmym zainteresowaniem. Arizona stanęła u szczytu stołu, wbijając we wszystkich po kolei stalowe spojrzenie.

- Gabe. Lillian, pozwólcie, że wam przedstawię: Photon, Rainbow, Daybreak, Dawn i Beacon. Spojrzała znacząco na Heroldów. – Gabe i Lillian to moi przyjaciele. Możecie im ufać. Jak wszystkim Harte’om i Madisonom.

Lillian postanowiła być uprzejma.

- Dzień dobry.

Gabe pozdrowił zebranych swobodnym skinieniem głowy. Odstawił kubek na stół i wgrzył się w muffina.

- Naprawdę pyszne powiedział z uznaniem.

- Dziękuję - odezwał się Photon, ten z wygoloną głową. - Robimy, co możemy, żeby światło przyszłych wieków było we wszystkich naszych wyrobach. Ale jesteśmy tylko ludźmi. Czasami, mimo starań, do ciasta przedostają się nasze negatywne myśli.

- A więc to światło jest waszym sekretnym składnikiem.

Gabe nie przerywał jedzenia. Dla mnie rewelacja.

Arizona walnęła w stół dużym wałkiem do ciasta, żeby skupić uwagę zgromadzonych. Dostyc tych pogaduszek. Zebraliśmy się tu w konkretnej sprawie. Nie ma czasu do stracenia. Przyszłość miasta jest zagrożona, że nie wspomnę już o przyszłości kraju. Wszyscy posłusznie zbliżyli się do stołu. Arizona głośno odchrząknęła. No dobra. Kiedy poskładałam wszystko do kupy, zrozumiałam, dlaczego rozbudowują instytut. Oczywiście, oficjalnie mówi się, że w nowym skrzydle będą dodatkowe biura i sale konferencyjne. - Urwała, patrząc na całą gromadkę. - Ale to tylko ich kolejne kłamstwo.

Lillian przyglądała się mapie rozłożonej na stole, ukazującej wzgórze nad Eclipse Bay, gdzie znajdował się Instytut Studiów Politycznych. Po bokach leżały rozrzucone zdjęcia, zrobione aparatem z dużym zoomem. Przedstawiały plac budowy. Jakaś ciężarówka, materiały budowlane. Gabe nachylił się nad zdjęciami.

- Dobra robota, A.Z.

- Dzięki. Kobieta uśmiechnęła się z dumą. - Zrobiłam je moim nowym aparatem szpiegowskim. VPX 5000. Najnowszy model. Zastąpił te z serii 4000. Teleobiektyw, superszybka migawka, automatyczne wyzwalanie, sześć filtrów na dzień i na noc. A do tego bardzo fajny skórzany futerał.

- Nie chciałabym wyjść na kolejną naiwną - wtrąciła się Lillian - ale dlaczego uważasz, że nie będzie tam biur i sal konferencyjnych?

- Z wielu powodów. Arizona wskazała wałkiem na mapę. - Po pierwsze, w ostatnim półroczu znacznie zwiększył się ruch w tym sektorze.

- Czyli co, przyjeżdża więcej ludzi? - zapytał Gabe.

- Właśnie potwierdziła Arizona.

- Hm. - Gabe odgryzł kolejny kawałek muffina. - To rzeczywiście podejrzane.

- Zastanówcie się - powiedziała Lillian. - Przecież instytut cały czas się rozwija. Ciągłe organizują seminaria i wykłady. A kampania Trevora Thornleya? Nic dziwnego, że zwiększył się ruch.

Arizona zmrużyła oczy.

- Pozory i tyle. Seminaria to bardzo dobra przykrywka tego, co się tam naprawdę dzieje. Działania polityczne Thornleya minimalnie wpłynęły na liczbę przyjezdnych.

- Brzmi poważnie zgodził się Gabe. - Co jeszcze sugeruje tajną operację?

- Jezu - mruknęła Lillian, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

- Większość prac przy rozbudowie została zlecona specjalistom spoza miasta - obwieściła złowieszczo Arizona.

- Coś o tym słyszałem. - Gabe przyglądał się kolejnemu zdjęciu. - Brat wspominał, że Willisowie w ogóle nie zostali zaangażowani.

- No właśnie, a to powinno coś nam mówić, prawda? - zasugerowała Arizona.

- Co takiego? - zapytała ostrożnie Lillian.

- Nie chcą, żeby ktoś miejscowy zobaczył, co się tam dzieje - wyjaśniła Arizona.

- Pewnie doszli do wniosku, że nie będą mogli kupić milczenia Willisów, gdyby ci zauważyli coś podejrzanego - wywnioskował Gabe. - Wszyscy wiedzą, że Walter i Torrance to straszne gaduły.

Lillian miała wielką ochotę nadepnąć mu na palce, ale się powstrzymała.

- W sumie, co w tym dziwnego, że zatrudnili specjalistów z zewnątrz? - powiedziała szybko. - Willisowie mają pełne ręce roboty przy Dreamscape.

Towarzystwo zignorowało tę uwagę. Głos rozsądku w ogóle tu się nie liczył.

- Regularne, nocne dostawy także przybrały na sile - ciągnęła Arizona.

- Przez kilka dni obserwowałam rampę rozładunkową. Porobiłam zdjęcia. Zwożą niesamowite ilości sprzętu i materiałów.

- Coś z elektroniki? - zapytał Gabe.

- Żebyś wiedział. Całe tony.

Gabe uniósł wzrok znad fotografii.

- A co z urządzeniami grzewczymi, wentylacją, klimatyzacją? Też przywożą?

Lillian posłała mu piorunujące spojrzenie, ale nie zwrócił na nią uwagi. Nie mogła uwierzyć, że tak się wkręcił w tę historię i tak go to bawiło.

Arizona spojrziała na Gabe'a z aprobatą.

- Wyładowali w zeszłym tygodniu. Mam wszystko na zdjęciach.

Gabe pokręcił głową.

- Niedobrze.

Heroldowie wymienili między sobą pomruki, najwyraźniej zgadzając się z wnioskiem Madisona.

- O co tu chodzi? Lillian wiedziała, że podnosi głos, ale już nad tym nie panowała. Ogarnęła ją desperacja. - W każdym nowoczesnym obiekcie są komputery, klimatyzacja, ogrzewanie. To normalne.

Znów potraktowali ją jak powietrze.

- Teraz chyba jest pierwszy poziom zabezpieczenia - powiedziała Arizona. - Ogrodzili plac budowy.

- Co w tym niezwykłego? dociekała uparcie Lillian. - Wolą uniknąć procesu wytoczonego im przez

kogoś, kto potknął się o rurę.

- Jest ochrona? - zapytał Gabe.
- Tak. Udają zwykłych strażników - odparła Arizona. - Nie widziałam u nich broni. Pewnie uznali, że gdyby wystawili ochronę z prawdziwego zdarzenia, wzbudzałoby to zbyt duże zainteresowanie. Myślę, że dopiero kiedy zdecydują się na wielki krok, ogłoszą drugi poziom zabezpieczenia i uzbroją ochronę.
- Lillian ścisnęła nietkniętego croissanta.
- O czym ty mówisz? Jaki wielki krok?
- Wszyscy dobrze wiemy, co się tam dzieje - oświadczyła Arizona. - Brakuje nam tylko niepodważalnych dowodów. Ale nadal będę ich obserwować i w końcu zdobędę zdjęcia, które pokażemy mediom.
- Jesteś bohaterką, Arizono. - Photon patrzył na nią z nieskrywanym podziwem. - Gdyby nie ty, nie mielibyśmy o niczym pojęcia. Być może akcja „Transfer” nigdy nie zostałaby ujawniona.
- Lillian patrzyła zdumiona, jak Arizona się czerwieni.
- Spełniam tylko swój obowiązek.
- To ludziom takim jak ty nasz kraj zawdzięcza wolność i demokrację - dodał Gabe.
- Przepraszam. - Lillian podniosła rękę. - Jako przedstawicielka naiwnej, nieświadomionej społeczności Eclipse Bay chciałabym o coś zapytać.
- Śmiało, nie krępuj się - zachęciła Arizona.
- A.Z., co według ciebie dzieje się w instytucie? I o co chodzi z akcją „Transfer”?
- Arizona cmoknęła z dezaprobatą.

Heroldowie kręcili głowami, zasmuceni faktem, że Lillian nie rozumie rzeczy oczywistych. Kątem oka zauważyła, jak Gabe kryje uśmiech za kubkiem z kawą.

- Myślałam, że to jasne jak słońce - odparła Arizona. - Tajna agencja rządowa, której podlega Roswell i Strefa 51, uznała, że ściąga na siebie zbyt duże zainteresowanie. Kiedy w Internecie pojawiły się satelitarne zdjęcia strefy, stwierdzili, że sytuacja robi się niebezpieczna i czas podjąć działania.

Gabe pokiwał głową.

- Przeczuwałem, że te tajemnicze pożary w Nowym Meksyku nie były dziełem przypadku.
- Masz rację powiedziała Arizona. - W ich świecie nie istnieje słowo „przypadek”.
- Jakie działania? dopytywała się Lillian. Arizona kołysała się lekko z poważną miną.
- To chyba oczywiste, że muszą wywieźć ze Strefy 51 ciała kosmitów i szczątki ich statku. Przewiozą je do Eclipse Bay.

Rozdział 6

Gabe zajął fotel pasażera w samochodzie Lillian i zamknął drzwi. - Jak się zastanowić, to nawet ma sens.

- Co? - Lillian przekreśliła kluczyk i spojrzała we wsteczne lusterko.
- Przewiezienie tutaj kosmitów i ich statków. Przyszłoby ci do głowy, żeby szukać ich w Eclipse Bay?
- Wiedziałam. Świetnie się bawiłeś, prawda? Sam zachęcałeś A.Z. do opowiadania tych idiotyzmów.

- Cokolwiek bym powiedział, i tak by jej to nie zniechęciło. Przecież wiesz, że Arizona żyje we własnym świecie.

- Nie martwi cię, że się zaprzyjaźniła z Heroldami? - Lillian wrzuciła wsteczny i wycofała. Co innego, kiedy była jedyną która wierzyła w te bzdury. Teraz dołączyło do niej grono entuzjastów.

- Masz rację - przyznał ponuro Madison. - To poważny problem.

- Niech cię szlag, Gabe. - Oстрыm wirażem wyjechała z parkingu. - Bardzo cię to bawi, co?

- Spójrz na to z mojego punktu widzenia.

- Mianowicie?

- Zastanawianie się, czy rzeczywiście tajna agencja rządowa zamierza przewieźć kosmitów do Eclipse Bay, to ciekawa odmiana.

- Od czego?

- Od myślenia o szóstej randce, którą jesteś mi winna.

- Hm. - Skupiła się na pokonaniu zakrętu. - Nie pomyślałam. Ale teraz mam nadzieję, że wstąpisz w szeregi tropicieli spisków i zapomnisz, że w ogóle podpisywałeś umowę z Private Arrangements.

- Nie ma tak dobrze. Nic pozwalałam się wykiwać, jeśli za coś zapłaciłem. Ścisnęła kierownicę.

- Mówiłam przecież, że zwrócę pieniądze.

- Nie chodzi o pieniądze.

- Jasne. W twoim przypadku zawsze chodzi o pieniądze. Pokazałeś to już na początku. Nie znam nikogo innego, kto miałby aż taką obsesję na punkcie swojego majątku.

- Nie mam obsesji.

Akurat. Jesteś takim samym paranoikiem, jak A.Z. ze swoimi spiskami. Usadowił się wygodnie w fotelu i patrzył na szare wody zatoki. Nie jestem taki zły powiedział już bez rozbawienia i ironii w głosie.

Spojrzała na Gabe'a, próbując wyczytać z jego twarzy przyczyny nagłej zmiany nastroju. Ale siedział bokiem, a z surowego profilu nie dało się nic wywnioskować. Wkrótce zjechała z Bay view Drive w wąską, zrytą koleinami drogę do starego domu Buckley'ów. Sponiewierany przez sztormy domek stał przycupnięty na urwisku nad kamienistą plażą. Wyglądał na opuszczony. Małe podwórko było zarośnięte. Rolety w oknach pożółkły ze starości. Weranda przechyliła się lekko na prawo. Całość aż się prosiła o remont. Jedynym śladem życia był lśniący jaguar Gabe'a. Zatrzymała się przed zapadniętą werandą. Dzięki za przejażdżkę, odpiął pas. Drobnostka. Otworzył drzwi, ale nie wysiadał. Zapatrzył się w przednią szybę. - Naprawdę masz mnie za paranoika? - zapytał cicho.

Niedobrze. Gabe pogrążał się w tym swoim dziwnym nastroju. Cóż, lepiej byłoby, gdybyś się aż tak nie martwił, że jakaś kobieta wyjdzie za ciebie dla pieniędzy powiedziała delikatnie. Nie powinienem się martwić. No właśnie. - A ty się nie martwisz?

- Czym?

Że jakiś facet ożeni się z tobą ze względu na Harte Investments?

Wzięła głęboki oddech.

- Nie twierdzą, że w ogóle o tym nie myślę. Już ci mówiłam, że przewinęło się przez moje życie kilku mężczyzn, którzy mnie na to uczulili. Ale staram się kierować zdrowym rozsądkiem. Nie mam obsesji, że każdy facet z którym się spotykam, tak naprawdę jest zakochany w firmie Harte'ów.

- Ale nie wyszłaś za męża. Zaciśnięła zęby.

- Fakt, że nadal jestem singlem, nie świadczy jeszcze o paranoi - wycedziła.

- No dobrze, to dlaczego nadal jesteś singlem?

Zmarszczyła brwi.

- A co cię to obchodzi ?

- Masz rację. Nie moja sprawa. - Pchnął drzwi i wysiadł.

- Na razie.

- Gabe?

- Tak? - Nachylił się nisko i spojrzał na Lillian.

- Wszystko w porządku?

- Jasne. Czuję się świetnie.

- Co będziesz dziś robić?

- Nie wiem. Nie zastanawiałem się. Może jeszcze raz przespaceruję się plażą. Sprawdzę e-maile. Trochę pogrzebię w Internecie. - Urwał na chwilę.

- A ty?

- Zamierzam malować. W końcu po to tu przyjechałam.

- No tak. - Wyciągnął rękę, żeby zamknąć drzwi. Zawahała się. Nie chciała działać pod wpływem impulsu, ale nie udało się.

- Gabe, zaczekaj.

- Co znowu?

To głupie, pomyślała, ze względu na Hannah i Rafe'a nie musi przecież czuć się odpowiedzialna za Gabe'a. On znakomicie potrafił sam o siebie zadbać. Gdyby miała choć trochę oleju w głowie, w ogóle nie otwierałaby buzi. Ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że stało się coś złego. Gabe był taki ubawiony Arizoną i jej teoriami spiskowymi, i nagle całkowity spadek nastroju. Wypalenie zawodowe może skończyć się depresją, przypomniała sobie.

- Co z kolacją? - zapytała, zanim zdążyła to pomyśleć.

- A co ma być?

- Później pojedę do miasta po zakupy. Jeśli nie masz na wieczór żadnych planów, mogłabym wpaść do ciebie i razem byśmy coś przygotowali.

- Ostrzegam, jeśli chodzi o kuchnię, to daleko mi do Rafe'a.

- Niewiele ludzi ma jego talent, ale ja też nieźle sobie radzę. - To jak? Jesteś zainteresowany? Czy już coś zaplanowałeś?

- Nie, nic - odparł. A przy okazji, skoro wybierasz się do sklepu, możesz kupić mi masło orzechowe?

- Pewnie.

- Z kawałkami orzechów. Do zobaczenia. Zatrzasnął drzwi, wbiegł po schodach i zniknął w opuszczonym domu. A ona zastanawiała się, co zrobić z sytuacją, którą sama sobie stworzyła.

Zmierzało się, kiedy usłyszał samochód na podjeździe. Gdzieś w środku poczuł przyjemne podekscytowanie. Wyłączył laptop i wstał. Wyjrzał przez okno. Znad oceanu płynęły ciężkie, ołowiane chmury. Wieczorem czekał ich kolejny sztorm. Idealne wycucie czasu.

Wyszedł na werandę. Jego podniecenie zgasło na widok zbliżającego się samochodu. Najnowszy model mercedesa. Lillian jeździła hondą. Mercedes zatrzymał się przed schodami. Z samochodu od strony kierowcy wysiadła atrakcyjna, zgrabna kobieta. Jej miodowe włosy były modnie obcięte. Miała na sobie bardzo eleganckie spodnie i jasną, jedwabną bluzkę. W uszach dyskretnie połyskiwały srebrne kolczyki. Modny szal w delikatny, jasno-fioletowy wzorek owijał smukłą szyję. Pomyślał, że Marilyn Thorniey nie zmieniła się wiele, od kiedy nazywała się Marilyn Caldwell. Jeśli już, to z czasem stała się jeszcze bardziej przebojowa i pewna siebie. Było w niej coś, co sprawiało,

że przykuwała uwagę. Zorientowała się, że na nią patrzy, i posłała mu promienny uśmiech. Nie poczuł się wyróżniony. Zawsze się tak uśmiechała, kiedy wpadali na siebie podczas różnych wydarzeń towarzyskich, w których oboje musieli uczestniczyć. A on, jak mówił Rafe, miał coś, co politycy kochali najbardziej. Pieniądze. Marilyn całymi latami niestrudzenie pozyskiwała fundusze dla Trevora. A teraz zaczynała własną kampanię.

W tych okolicznościach jej wizyta nie była wielkim zaskoczeniem.

- Gabe. - Obeszła przód mercedesa długimi, zdecydowanymi krokami. Słyszałam, że jesteś w mieście.

Przyspieszyła kroku i niemal wbiegła po schodach.

W ostatniej chwili zrozumiał jej zamiary i cofnął się o krok. Ale nie dość szybko. Marilyn zarzuciła mu ręce na szyję i przechyliła głowę do pocałunku. Grabe'owi udało się zrobić unik. Odwrócił twarz. Zaskoczyła go. Nigdy wcześniej nie wrywała się do całowania. Ale, z drugiej strony, widzieli się po raz pierwszy od czasu, gdy ona i Trevor zdecydowali się na rozwód. Marilyn udała, że w ogóle nie zauważyła uniku. Polityk musi być odporny.

- Świetnie wyglądasz powiedziała.

- Ty też.

Spojrzała figlarnie.

- Jak na kobietę, którą mąż zrobił w bambuko i która akurat jest w trakcie rozwodu?

- Nie nudziłaś się w ostatnim czasie, co?

- Można tak powiedzieć. Przeżyłam ciężkie chwile. A jaki stres. - Otworzyła drzwi. Chodź do środka. Zimno jest. Znowu będzie sztorm.

Spojrzał na zegarek.

- Jestem umówiony.

- Z Lillian Harte?

Powinienem się domyślić, stwierdził w duchu. Marilyn roześmiała się gardłowo. Coś taki zdziwiony? Całe miasto już wie, że dziś z samego rana byłeś z nią w piekarni. Nie tak z rana. To coś poważnego? Sypiacie ze sobą?

Fakt, że zupełnie swobodnie zadała to osobiste pytanie, przypomniał mu, że kiedyś byli ze sobą bardzo blisko. Nagle poczuł, że chce chronić Lillian przed jakimś nieokreślonym zagrożeniem. Może tak został wychowany. Madisonowie nie chwalili się swoimi podbojami. Mitchell bardzo wcześnie wpoił tę zasadę jemu i Rafe'owi.

- Nie - powiedział. Tak się złożyło, że przyjechaliśmy do Eclipse Bay w tym samym czasie. Nie mieliśmy nic ciekawego do roboty. Uznaliśmy, że miło będzie zjeść razem śniadanie. Koniec historii. Marilyn puściła do niego oczko.

- Nie martw się, nie chcę ci wchodzić w paradę. Wpadłam się tylko przywitać ze starym przyjacielem.

Weszła do domu. Jeszcze raz spojrzął na drogę, ale nikt nie jechał. Niechętnie poszedł za Marilyn.

- Nie mogłeś znaleźć czegoś lepszego? - Z niesmakiem przyglądała się zniszczonemu wnętrzu. - To do ciebie w ogóle nie pasuje.

- Dopóki Rafe i Hannah me snu orzą Dreamscape, nie ma w czym wybierać. Mogłem zatrzymać się albo tu, albo u dziadka. - Drzwi zamknęły się za nim powoli. - z dziadkiem się nie dogadamy, więc jestem tutaj. Mam wszystko, czego mi potrzeba.

- Na przykład?

- Prywatność.

- Okay, rozumiem, i umówiłeś się na randkę z Lillian Harte, a ja zawracam ci głowę. - Z gracją królowej usadowiła się na oparciu zniszczonej sofy. - Obiecuję, nie będę długo. Chciałam tylko pogadać.

Nie usiadł. Wolał jej nie zachęcać. Oparł się o ścianę i założył ręce na piersi.

O co chodzi, Marilyn?

- Chyba nie muszę mieć specjalnego powodu, co? Trochę razem przeszliśmy. Łączy nas kawałek wspólnej historii.

- Nigdy nie miałem dobrych wyników z historii. Studiowałem zarządzanie.

- Słyszałam, że byłeś klientem Lillian.

- Skąd wiesz?

- Od Carole Rhoades. Poznałam ją w zeszłym roku, kiedy jej kancelaria prawnicza postanowiła wesprzeć finansowo Trevora.

Pamiętał Carole Rhoades. jedną z kobiet poleconych przez Lillian.

- No, proszę, jakie to Portland małe - mruknął. - Prawie jak Eclipse Bay.

- Wielkość miasta nie ma znaczenia, chodzi o wielkość świata, w którym się obracasz. Lekko bujała długą nogą. - Ludzie ze świecznika zwykle obracają się w tym samym kręgu.

- Chyba powinieneś częściej się gdzieś ruszać. Poszerzać horyzonty. Zachichotała.

- Podobno randka z Carole okazała się niewypałem.

- No, popatrz, a ja myślałem, że spędziliśmy bardzo miły wieczór.

- Przed dziesiątą była już w domu. a ty nawet nie próbowałeś wprosić się na drinka. Odniosła urażenie, że wolałbyś w tym czasie siedzieć za biurkiem.

- A niech mnie. To kobiety rozmawiają o takich rzeczach?

- No, ba!

- Muszę zapamiętać. Zerknął na zegarek. - Może powiesz w końcu, czemu zawdzięczam twoją wizytę?

? Nadal się uśmiechała, ale bardziej sztucznie.

- Zabrzmiało, jakby mogły mnie do ciebie sprowadzać tylko interesy.

- No, wiesz, ostatnio, kiedy się spotykaliśmy, zwykle namawiałaś mnie, żebym wspomógł kampanię Trevora.

- A ty zawsze odmawiałeś.

- Madisonowie nie angażują się w politykę. Wiem, że nigdy nie wsparłeś Trevora, ale teraz...

- Przerwało jej energiczne pukanie do kuchennych drzwi.

- Gabe poszedł otworzyć.

Na przeszklonym ganku stała Lillian, trzymając w ramionach wielką torbę zjedzeniem, Jeszcze nie padało, ale miała na sobie pelerynę przeciwdeszczową z kapturem, a pod nią czarne spodnie i czarny golf z turkusową błyskawicą.

- Myślałem, że przejedziesz samochodem - powiedział.

- Uznałam, że na piechotę będzie szybciej.

- Już prawie ciemno.

- Co z tego? Jesteśmy w Eclipse Bay, a nie w wielkim, groźnym mieście.

- Posłuchaj, twardzielko. Spacerowanie po zmroku na odludziu nie jest bezpieczne.

- Pomożesz mi z zakupami, czy będziesz stał jak kołek i się wymądrzał?

- Dobra, dawaj tę cholerną torbę. Widzę, że humor ci dopisuje.

- Mam nieproszonego gościa. Marilyn Thornley. Nie zostanie długo.
- To dobrze, bo jedzenia nie wystarczy dla trojga. Po ciężarze torby ocenił, że starczyłoby dla dziesięciorga, ale nie zamierzał o tym dyskutować. Bez słowa postawił zakupy na blacie.
- W drzwiach pojawiła się Marilyn. Obdarzyła Lillian tym samym promiennym uśmiechem, jakim wcześniej powitała Gabe'a. Lillian. Kopę lat. Miło cię widzieć.
- Witaj. Marilyn. Tak. minęło trochę czasu - odpowiedziała słodko Lillian. Nie chciałam wam przeszkadzać - zaczęła się tłumaczyć Marilyn. - Po prostu, kiedy dowiedziałam się, że Gabe jest w mieście, pomyślałam, że wpadnę i się przywitam.
- Rozumiem, że zbierasz fundusze? - zapytała gładko Lillian. - Słyszałam, że teraz, kiedy Trevor się wycofał, sama postanowiłaś spróbować sił w polityce.
- Przez chwilę panowała napięta cisza, ale żadna z kobiet nie przestała się uśmiechać.
- Właśnie rozmawialiśmy z Gabe'em o tym, jak szybko rozchodzą się wieści. - Marilyn trochę zirytowana próbowała zmienić temat.
- Spotkałam dziś w supermarkecie Pamelę McCallister - powiedziała Lillian. - Jej mąż, Brad, jest wykładowcą w Chamberlain College, ale dorabia w instytucie. Mówi, że już zorganizowałaś sobie sztab wyborczy, a szefową mianowałaś Claire Jensen.
- Znasz Claire?
- Tak. Jeszcze za czasów college'u pracowałyśmy latem w restauracji. Już wtedy chciała zajmować się polityką.
- Claire była w sztabie Trevora. Ciężko pracowała i zdobyła duże doświadczenie. Uważam, że zdoła poprowadzić kampanię.
- Słyszałam, że myślisz o fotelu senatora.
- Znowu chwila ciszy. Gabe pomógł Lillian zdjąć pelerynę.
- Owszem - potwierdziła w końcu Marilyn.
- Będzie trochę kosztować - mruknęła Lillian.
- Niestety. Polityka to kosztowne hobby. Lillian podeszła do blatu i wyjęła z torby brokuł.
- Pewnie niewiele zostało funduszy po Trevorze.

- Zgadza się.

- Jego kampania była bardzo nagłośniona przez media. Przypuszczam, że reklamy telewizyjne pochłonęły fortunę.

- To prawda, ale nie wygrasz wyborów bez telewizji. - Marilyn zamilkła na chwilę.

- A na koniec pojawiły się jeszcze dodatkowe, niespodziewane wydatki. - Gniew, który zabrzmiał w jej głosie, zaintrygował Lillian i Gabe'a. - Byliśmy tak blisko. Cholernie blisko - dodała gorzko Marilyn.

- Przykro mi, że nie wyszło powiedziała cicho Lillian. - Domyślam się, jaki to był dla ciebie cios.

- Na pewno słyszeliście o filmach - stwierdziła Marilyn. - Nie musicie udawać, że nic nie wiecie.

- Gabe i Lillian spojrzeli po sobie. Do obojga dotarła informacja o kasetach wideo, które przepadły kilka miesięcy temu, kiedy został aresztowany redaktor naczelny „Eclipse Bay Journal”. Podobno na zaginionych filmach Trevor Thornley paradował w szpilkach i damskiej bieliźnie.

- Podobno kasety, o ile w ogóle istniały, zostały zniszczone - zauważył Gabe. - - - Nikt z moich znajomych ich nie widział.

- Ten drań, Jed Steadman, kłamał, że zniszczył taśmy bez oglądania. Porobił kopie.

- Głos Marilyn był szorstki z tłumionej wściekłości. - Szantażował Trevora z więzienia. Twierdził, że potrzebuje pieniędzy na adwokata.

- Gabe powoli wypuścił powietrze.

- A więc te niespodziewane wydatki miałaś na myśli. Chodziło o forszę dla Steadmana, żeby siedział cicho.

- Steadman jest cwany. Nie zwrócił się do mnie - powiedziała Marilyn. - Skontaktował się z Trevorem. A ten idiota mu zapłacił. Nie mogłam uwierzyć. Kiedy odkryłam szantaż, wiedziałam, że już po kampanii. Ale Trevor uważał, że wszystko da się zatuszować. Nie rozumiał powagi sytuacji.

- Odeszłaś i Trevor musiał wycofać się z wyborów - dokończyła Lillian.

- Nie miałam innego wyjścia. Trevor szedł na dno, aleja nie zamierzałam mu w tym towarzyszyć. - Marilyn spojrzała na Gabe'a. - W polityce jest jak w biznesie. Musisz wiedzieć, kiedy się wycofać.

- Jasne - powiedział Gabe. - Widzę podobieństwo.

Marilyn zamrugwała gwałtownie, uświadamiając sobie, że się zagalopowała.

- To tyle, jeśli chodzi o moje życie osobiste. Robi się późno. Zostawię was samych. Miło było się z wami spotkać. - Ruszyła do drzwi.

Gabe spojrzał na Lillian. Uniosła brwi, ale nic nie powiedziała.

- Odprowadzę cię do samochodu - zawołał za Marilyn.

Dogonił ją i razem wyszli na werandę. Całe niebo było zasnuwane chmurami. Gabe zapalił światło. Wzmógł wiatr szarpał gałęzie jodeł. Marilyn wypielegnowaną dłonią przytrzymała włosy. Nie patrzyła na Gabe'a, tylko na swojego mercedesa.

- Zastanawiałeś się kiedyś, co by było, gdybyśmy się nie rozstali? - zapytała w zamyśleniu.

- Nigdy nie oglądaj się za siebie. To nasze rodzinne motto.

- Nie ożeniłeś się.

- Byłem zajęty.

- Tak, wiem. Ja też. Podoba mi się to motto. - Wydeła usta. - Kiedy pomyślę, ile czasu straciłam przez Trevora, to mnie aż trzęsie. Nie do wiary, że popełniłam taki błąd. Jak mogłam być taka głupia?

- Zawsze staramy się wybrać jak najlepiej, ale pewności nigdy nie ma. Wszystko okazuje się po

czasie.

- Nasze drogi się rozeszły - powiedziała. - Ale znowu się przecięły. Niczego w życiu nie przewidzisz.

- Tak.

Delikatnie dotknęła palcami jego policzka.

- Bawcie się dobrze z Lillian.

- Dzięki.

- Gdyby kiedyś ktoś mi powiedział, że będziesz nią zainteresowany, to bym go wyśmiała. Ale po rozpadzie mojego małżeństwa inaczej patrzę na związki damsko-męskie. Widzę je w zupełnie innym świetle.

- Ciekawe. Wiesz, że Heroldowie dodają światło do ciasta, żeby polepszyć wypiek?

- Rozumiem, czemu Lillian cię pociąga.

- Uważaj, zanim dojedziesz do głównej trasy. Po ostatnich ulewach droga jest rozmyta.

- Wasze rodziny łączy wspólna przeszłość.

- Chyba dzwoni moja komórka. - Poklepał się po kieszeniach.

- Nie zapominaj, jak długo się znamy. Dobrze pamiętam twoje aspiracje, żeby osiągnąć sukces na miarę Harte Investments. Poślubienie Lillian pewnie jest dla ciebie bardzo kuszącą perspektywą. Mógłbyś wtedy przyłączyć jedną trzecią rodzinnej firmy Harte'ow do Madison Commercial. Odniosłbyś ostateczny triumf, prawda?

- Chyba zostawiłem telefon w domu. - Cofnął się w stronę uchylonych drzwi.

- Wiem, że raczej nie zainteresuje cię moja rada - ciągnęła Marilyn ale ze względu na to, tu nas kiedyś łączyło, i tak ci jej udzielę. Nie żęń się, żeby coś sobie udowodnić ani żeby przejąć część Harte Investments. Ja wyszłam za Trevora z powodów, które nie miały nic wspólnego z miłością. To był największy błąd mojego życia. Zeszła z werandy, wsiadła do samochodu i odjechała. Patrzył za oddalającymi się tylnymi światłami, dopóki nie zniknęły i wsłuchiwał się w wiatr. Nadciągał sztorm.

- Wesprzesz jej kampanię? - zapytała Lillian.

Odwrócił się powoli, zastanawiając się, jak długo stała za przeszkłonymi drzwiami.

- Nie sądzę. - Wszedł do ciepłego domu. - Możemy zająć się kolacją?

- Jasne. Przez większość dnia urządziłam sobie pracownię w pokoju gościnnym. Konam z głodu, zniknęła w kuchni.

- Czy Lillian słyszała, co mówiła Marilyn? Że mógłby się ożenić ze względu na Harte Investment?

Stanął w drzwiach. Na blacie pełno było warzyw, a oprócz tego kawałek parmezanu i paczka makaronu.

- Czeka nas prawdziwe wyzwanie - stwierdził.

- Oboje jesteśmy inteligentni. Poradzimy sobie. - Zaczęła kroić żółtą paprykę.

- Może nalejesz wina? Łatwiej nam pójdzie.

- Dobry pomysł. - Wyciągnął z szuflady korkociąg.

Lillian skoncentrowała się na papryce. Pomyślał, że pewnie powinien coś powiedzieć. Ale nie wiedział, czego od niego oczekiwała. Ani jak dużo usłyszała.

- Marilyn zjawiała się dosłownie kilka minut przed twoim przyjściem - odezwał się po chwili. - Zaskoczyła mnie.

- Jeszcze wróci. Jesteś dla niej interesujący.

- Wiem. Bo mam pieniądze. Nie ty pierwsza mnie ostrzegasz. Lillian wrzuciła paseczki papryki do

miski.

- Nie o to chodzi.

- A o co? Potrzebuję forsy na kampanię.

- Nie mówię, żeby jej się nie przydały. Ale najbardziej potrzebuje kogoś, komu mogłaby całkowicie zaufać. Faceta, przy którym realizowałaby swoje ambicje, który by ją wspierał. A jego cele życiowe byłyby zupełnie inne, w związku z czym, nie musieliby ze sobą rywalizować.

Korek wyskoczył z butelki z cichym pyknięciem.

- I wiesz to wszystko po pięciu minutach rozmowy z Marilyn?

- Pewnie. Jeszcze nie tak dawno byłam swatką.

- Och, no tak. Ciągle zapominam o twojej sławnej intuicji.

- Śmiało, nabijaj się ze mnie, obyś tego nie żałował. Ja ci tylko uświadamiam, że z punktu widzenia Marilyn, byłbyś idealnym mężem. - Lillian lekko przechyliła głowę. - I wiesz co?

- Co?

- Ona spełnia większość twoich oczekiwań, o których pisałeś w kwestionariuszu. Więc może aż tak bardzo nie kłamałeś.

Nalał do kieliszków caberneta zadowolony, że nawet nie drgnęła mu ręka.

- Marilyn i ja już próbowaliśmy. Nie wyszło.

- Zastanów się. - Lillian odłożyła nóż i wzięła kieliszek. - Marilyn odpowiada większości twoich wymagań. Pochodzi z zamożnej rodziny. Któregoś dnia odziedziczy pokaźną fortunę. Nie jest ani nadętą intelektualistką, ani wyznawczynią New Age. - Urwała na moment. - No i nie jest artystką.

Oparł się o lodówkę i zakręcił winem w kieliszku.

- Myślisz, że mogłoby nam wyjść, gdybyśmy spróbowali jeszcze raz? Sięgnęła po makaron.

- Nie.

- Co za zdecydowanie. Podoba mi się. A dlaczego tak uważasz?

- Bo kłamałeś w kwestionariuszu.

- To twoje zdanie.

- Ale ono się liczy powiedziała spokojnie. - Przecież to ja jestem profesjonalistką.

Rozdział 7

Sztorm zaczął się krótko po dziesiątej. Czas się zbierać, pomyślała Lillian. Cały wieczór towarzyszyła im intymna atmosfera, która teraz zaczęła się niepokojąco zagęszczać. Lillian nie mogła dłużej ignorować iskrzenia. Jeśli przeciągnie wizytę, to jeszcze zacznie dobierać się do Gabe'a. Wyłożyła karty. Remik.

- Cholera. Znowu? Gabe rzucił karty na poduszkę między nimi. Rozciągnął się na sofie i spojrzał wilkiem na Lillian.

- Nie wiedziałem, że masz takiego ducha rywalizacji.

- Nazywam się Harte, zapomniałeś? U nas to rodzinne. Poza tym, ty chciałeś grać w remika.

- Nie skupiłem się. Myślałem o czymś innym.

- Tak, oczywiście. Każdy przegrany tak mówi. - Spojrzała w okno, za którym królowała nieprzenikniona ciemność.

- Lepiej już pójdę. Zaraz rozpada się na dobre.

Wygramolił się z zapadniętej sofy. Odwiozę cię.

Nie musiał być aż taki chętny, żeby się mnie pozbyć, pomyślała. Ale cóż, przynajmniej poprawiłam mu nastrój. Cel osiągnięty.

- Dzięki. - Wstała szybko.

Za długo siedziała. Powinna wyjść już dawno. Nie była pewna, kiedy i jak to się stało, ale nagle zaczęła mocno odczuwać zmysłowość spotkania. Intensywność doznań pojawiła się niepostrzeżenie. Lillian zastanawiała się, czy Gabe też coś czuł. Jeśli tak, świetnie to ukrywał.

Stał już przy drzwiach z peleryną przeciwdeszczową w ręce. Najwyraźniej tylko na mnie działała ta energia sztormowa, gromadząca się w pokoju, pomyślała Lillian. Najlepiej szybko wrócić do domu, do własnego łóżka. Podparła się na moment o krzesło, wzięła głęboki oddech i ruszyła do Gabe'a.

- Jest coś, co nie daje mi spokoju - powiedział, kiedy podeszła. Stała do niego tyłem, żeby pomógł jej założyć pelerynę.

- Co takiego?

- Wprosiłaś się na kolację, bo uznałaś, że potrzebuję pocieszenia, czy może chodziło ci po głowie coś innego?

Znieruchomiała, z lekko uniesionymi rękami.

- Nie żebym nie doceniał zwykłej sąsiedzkiej życzliwości - dodał.

- Oboje nie mieliśmy planów na wieczór. - Teraz była zirytowana. - I owszem, jesteśmy sąsiadami. Rano wydałeś mi się markotny. Pomyślałam, że wspólna kolacja to dobry pomysł. Ale jeśli widzisz problem, nie martw się, więcej się to nie powtórzy.

- Au. Ma się te pazurki, co?

- Jak to Harte.

- Jasne. Chciałem tylko powiedzieć, że nie potrzebuję pocieszenia. Wolałbym, żeby chodziło o coś innego.

Kiedy naciągnął pelerynę na ramiona Lillian, nie cofnął rąk ani się nie odsunął. Został tak blisko, że czuła jego ciepło. Trzymał dłonie na jej ramionach.

- Coś innego? Szarpnęła za pelerynę, a potem zaczęła ją poprawiać, żeby ukryć zmieszanie. No tak, zawsze moglibyśmy się zastanowić, jak pomóc A.Z. w udowodnieniu, że tajna agencja rządowa zamierza przewieźć do instytutu zamrożonych kosmitów.

Zacisnął dłonie na jej ramionach.

- Myślałem raczej o tym, że mogłabyś mnie uwieść.

Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

- No, żeby poprawić mi humor. - Miał lekko ochrypy głos. Robiło się niebezpiecznie. To jak z wprośzeniem się na kolację. Zwykły przejaw życzliwości.

- Bez przesady.

- To tyle, jeśli chodzi o sąsiedzką troskę.

Odsunął jej włosy na bok i pocałował w kark. Poczowała mrowienie. Pokój zawirował tysiącem kolorów. Znalazła się wewnątrz tęczy. Gabe.

- A ja myślałem, że jest ci mnie szkoda - mruknął z ustami przy jej karku. - Że naprawdę przejmujesz się moim wypaleniem zawodowym.

- Posłuchaj, Gabe...

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział.

- Daruj sobie.

- Nie mogę. Dręczy mnie od kilku tygodni. Muszę wiedzieć. Czy wypełniłaś kiedyś kwestionariusz,

żeby sprawdzić, kto byłby dla ciebie idealnym partnerem?

Pytanie zupełnie zaskoczyło Lillian. I rozdrażniło. Opanowała się z wysiłkiem.

- Nagle zrobiłeś się bardzo rozmowny - zauważyła.

- Nie odpowiedziałas. Czują, jak jej twarz oblewa gorąco. Cholera.

- Nie muszę.

- A więc sprawdzałaś. Tak czułem. Kto by się oparł? Miałaś program i listę facetów do wzięcia. No i co? Wśród twoich klientów nie znalazłaś nikogo odpowiedniego? Nie chce mi się wierzyć.

- Mówiłam ci, program nie jest doskonały.

- Ale za to bardzo precyzyjny. Zapewniałaś mnie o tym przy podpisywaniu umowy. No więc, o co chodzi? Nie podobali ci się zaproponowani kandydaci? Zacisnęła palce na gałce od drzwi.

- Odwieź mnie do domu, Gabe.

- A może opuściła cię odwaga? Zawsze to co innego pomagać innym w podejmowaniu życiowych decyzji, kierując się intuicją i odpowiedziami z kwestionariusza. Obrócił ją powoli twarzą do siebie.

- A co innego, jeśli chodzi o własne życie.

- Gabe...

- Chyba niepotrzebnie wybiegałaś tak daleko w przyszłość. Cholera, może to i mój błąd. Nie powinniśmy aż tak się koncentrować na przyszłości, a bardziej żyć chwilą. Przełknęła.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zaczniemy od dzisiejszej nocy. - Pocałował ją w szyję. - A rano o tym pomyślimy.

Zesztywniała.

- Nie bawią mnie jednonocne przygody.

- No widzisz, znowu niepotrzebnie myślisz naprzód.

Nie bierz mnie pod włos ostrzegła. - Nie reaguję na takie tanie chwytły.

- Oczywiście, że nie. W końcu nazywasz się Harte.

- Zbliżył twarz do jej twarzy. Kciukiem obwiódł linię brody. - A na co reagujesz?

Wzięła głęboki oddech, czerpiąc siłę ze sztormowej energii.

- Przyznaj, że oszukiwałeś w kwestionariuszu - powiedziała.

- Do diabła, co on ma wspólnego z tym, co dzieje się między nami?

- Dane z twojego kwestionariusza porównałam ze swoimi wynikami. Jeśli nie kłamałeś, to wiedz, że absolutnie do siebie nie pasujemy.

Przez chwilę trwał w bezruchu.

- A jeśli nie byłem do końca szczery? - zapytał.

- Wtedy ten wniosek okazałby się błędny.

Na jego usta powoli wypłynął uśmiech.

- Kłamałem w większości odpowiedzi. Dotknęła koniuszkiem języka swojej dolnej wargi.

- Słowo?

- Słowo Madisona - powiedział z ustami przy jej wargach.

- Wiedziała. - Czują satysfakcję. Objęła rękami jego szyję. - Byłam tego pewna. Nawet w tym pytaniu o...?

Zamknął jej usta pocałunkiem - długim, mocnym i namiętym. Lillian zapomniała o całym świecie.

Tęcza zrobiła się wyraźniejsza, kolory były niemal boleśnie intensywne. Musiała zamknąć oczy przed tym oślepiającym blaskiem. Oddała Gabe'owi pocałunek, pochłaniając jego ciepłe, niewiarygodnie namiętne usta. Dawała z siebie wszystko, jak wtedy, kiedy malowała: chwytając moment, próbując

przenieść na płótno ulotne piękno.

Deszcz bębnił o dach, wiatr smagał okna. W powietrzu czuć było napięcie. Noc budziła się do życia, Lillian też. Ledwo zauważyła, że peleryna ześliznęła się jej z ramion. Potem uświadomiła sobie, że nie dotyka już stopami podłogi. Gabe porwał ją w ramiona. Przyłgnęła do Gabe'a, delektując się jego siłą i zapachem. Przejechała dłonią po umięśnionym torsie.

Zaniósł ją do małej sypialni i położył na staromodnym łożu z baldachimem. Stary dywan stłumił stukot spadających na podłogę butów. Gabe wyprostował się, ściągnął sweter i odrzucił go na bok. Nie odrywając od niej oczu, pozbył się spodni i slipów. Szybko i sprawnie. Widok jego erekcji natychmiast podziałał na jej ciało. Poczwała, jak płonie i wilgotnieje.

Otworzył szufladę szafki nocnej, Lillian usłyszała dźwięk rozdieranej folii. A potem zamknął ją w ramionach. Stare łóżko skrzypiało pod ich ciężarem. Gdyby miała go teraz naszkicować, byłyby to kompozycja mrocznego światła, wyrazistych cieni i tajemniczych plam. Ściągnął Lillian golf, rozpiął satynowy stanik. Kiedy dotknął jej piersi, zalała ją kolejna fala oślepiających kolorów. Ledwo mogła oddychać. Miała maksymalnie wyostrome zmysły.

Wsunął nogę między jej uda. Znow zaczął całować jej usta - głęboko, oszłamiająco. Ścisnęła jego nagie ciało. Przesłaniał sobą tę odrobinę światła wpadającą przez otwarte drzwi z salonu. Słyszała szalejący na zewnątrz sztorm; był jak magiczne pole siłowe, odcinające ich od reszty świata. Przynajmniej na razie.

Ściągnął jej spodnie, chwilę później majtki. Przesunął dłoń w dół brzucha, między uda. Była gorąca, mokra i nabrzmiała. Pieścił z taką pasją, z jaką malarz tworzy dzieło sztuki. Chciała, żeby zwolnił. Potrzebowała czasu, żeby oswoić się z intensywnością fizycznych doznań. Pragnęła rozkoszować się bogactwem kolorów tej niesamowitej tęczy.

Ale nie panowała nad ciałem, nie panowała już nad niczym. Kiedy znowu jej dotknął, nie wytrzymała. Krzyknęła. Ciało napreżyło się gwałtownie. Tęcza pulsowała. Cienie ustąpiły miejsca światłu, jaskrawym żółciom, połyskującym błękitom i pysznym, płonącym czerwieniom. Nie mogła myśleć; nie była w stanie ogarnąć wrażeń i emocji.

Wtedy w nią wszedł. Na płótnie pojawiły się zupełnie nowe barwy. Tajemnicze, nienazwane odcienie, które widywała tylko w snach. Czwała, jak napinają się mięśnie Gabe'a. On też już nad sobą nie panował. Jego orgazm wstrząsnął nimi obojgiem. Po przebudzeniu najpierw zauważyła, że nie może się ruszyć. Gabe przygwoździł ją do łóżka. W pasie obejmował ciężką ręką, przez udo przerzucił muskularną nogę.

Dopiero potem zorientowała się, że ucichł sztormowy wiatr. Nadal słyszała delikatne bębnienie deszczu o dach. Za oknem wciąż było ciemno. Ale świat na zewnątrz wyciszył się i uspokoił. Leżała nieruchomo, po części dlatego, żeby nie obudzić Gabe'a, bo nie była pewna, czy tego chce. Jeszcze nie teraz. Powinna przemyśleć kilka rzeczy i wolała, żeby nic jej nie rozpraszało.

Teraz, kiedy burza namiętności się uspokoiła, Lillian musiała trzeźwo spojrzeć na to, co zaszło między nią a Gabe'em. Ale nie mogła się skupić. Najpierw chciała przyswoić dziesiątki wrażeń, których nie ogarnęła w szalonym wirze namiętności. Pragnęła się nimi nacieszyć.

Wspomnienia poruszyły jej zmysły. Seks z Gabe'em był cudownie podniecający i oszłamiający. Przypominał przyływ olśnienia, którego doświadczała czasem podczas przekładania swoich wizji na płótno. W chwilach natchnienia wyraźnie widziała cały obraz w głowie. Ale obrazy pojawiały się i znikwały tak szybko, że ręka by za nimi nie nadążyła. Lillian nauczyła się koncentrować na najważniejszych elementach, wiedząc, że później może wrócić do mniej istotnych szczegółów.

Teraz robiła to samo. Przywoływała detale, które umknęły w amoku pożądania. Myślała o tym, jak zacisnął palce na jej udzie. Jak drażnił zębami sutek. Jak jego język...

- Nie śpisz? - zapytał Gabe.

- Nie.

Przesunął się, żeby było jej wygodniej.

- O czym myślisz? Uśmiechnęła się. Delikatnie skubnął jej ramię. Powiedz.

- Zastanawiałam się, dlaczego kłamałeś w kwestionariuszu.

- Nie odpuścisz, prawda?

- Nie.

- Ciągłe będziesz się tego czepiać?

- Tak.

- No dobra, jak myślisz, dlaczego kłamałem?

Podparła się na łokciu i patrzyła na niego z góry, bezskutecznie próbując odczytać w mroku wyraz jego twarzy.

- Zrobiłeś to, bo podświadomie wolałeś, żebym ci nikogo nie znalazła. Tak sądzę.

- Ale przecież właśnie za to ci zapłaciłem. Żebyś mi kogoś znalazła. Położyła dłoń na jego nagim torsie.

- Pewnie masz to w genach. Kiedy przychodzi co do czego, twój organizm zaczyna wytwarzać przeciwciała. Broni się przed racjonalnym podejściem do związku z kobietą.

- Myślisz, że mam dziedziczne skłonności do utrudniania sobie życia?

Przejechała koniuszkami palców po kędzierzawych włoskach.

- Jesteście z tego znani.

- Fakt. - Poglądził ją po głowie. - Chciałbym coś ustalić, zanim wstaniemy na śniadanie.

- Co takiego?

- To nie była moja szósta randka. Nie od razu zrozumiała.

Ale kiedy mózg przetworzył już komunikat, wrywając ją z sennego błogostanu, poderwała się i usiadła. Dłoń Gabe'a ześliznęła się na jej biodro. I uświadamiając sobie, że jest naga, złapała za przykrycie i naciągnęła na piersi.

- Bardzo ciekawe - rzuciła. - Zjedliśmy kolację, a potem uprawialiśmy seks. Według ciebie to nie randka? W takim razie, co uważasz za randkę? Bo ja już od dawna w żadną się aż tak nie zaangażowałam.

- Przyszłaś, żeby mnie pocieszyć. Sąsiedzka wizyta to jeszcze nie randka.

Nagle ogarnął ją gniew. Czowała ból i wściekłość. Miała wrażenie, że stoi na krawędzi niewidzialnego urwiska emocji, które dopiero teraz zauważyła.

- Na pewno nie przespałam się z tobą, żeby poprawić ci humor.

- Ale podziałało. - Delikatnie zacisnął dłoń na jej biodrze. - Czuję się znacznie lepiej.

- Cholera, Gabe, nie wmawiaj mi, że pójście do łóżka nie różni się niczym od... partyjki remika. Jedno jest grą. Drugie nie jest.

Na chwilę zapadła cisza. Czyżby zastanawiał się nad tym, co powiedziała? Lillian zrobiło się zimno. A może nie dostrzegł różnicy między seksem a remikiem. Jedno i drugie po prostu uważał za przyjemne urozmaicenie czasu. A może była idiotką.

- Jedno jest grą. Drugie nie jest - powtórzył powoli Gabe. To jakiś test?

- Tak - wycedziła przez zęby. - I jeśli nie zaliczysz, już po tobie.

- Okay, okay, daj mi chwilę, - Wyglądał jak uczestnik quizu telewizyjnego, który ma szansę wygrać sto tysięcy dolarów. Pełne skupienie i powaga. - Jedno jest grą. Drugie nie jest. Jedno jest grą. Drugie...

- Gabe. błagam...

- Myślę, myślę.

Dzwoniło jej w uszach. Nie mogła być na tyle głupia, żeby przespać się z facetem, dla którego seks to po prostu fajna rozrywka na deszczowy wieczór. Nie mogła się aż tak pomylić co do Gabe'a Madisona. W końcu profesjonalnie zajmowała się swataniem. Pogłaskał ją po biodrze i przyciągnął do siebie. Jej noga znalazła się między udami Gabe'a. Lillian poczuła, że znów się podniecił. Położył rękę na jej pośladku.

- Jestem gotowy.

Jego rozbawiony głos sprawił, że wróciła do rzeczywistości. Drażnił się z nią. A ona przesadnie reagowała. Pora się opamiętać. Wykazać rozsądkiem. I dojrzałością. Zebrała się w sobie. Dzwonienie w uszach ustało. Wzięła głęboki oddech i chłodno się uśmiechnęła.

- Czekam - ponagliła.

- Grą jest remik, prawda?

- Gratuluję. Poprawna odpowiedź.

Przejechał opuszkami palców wzdłuż rowka jej pupy. Znienacka przetoczył Lillian na plecy i przygniótł swoim ciężarem.

- Co ty wyprawiasz? - szepnęła.

- Odbieram nagrodę.

Ocknęła się dużo później.

- Wiesz, zdecydowałam się zostać jeszcze z jednego powodu - powiedziała.

Uśmiechnął się w ciemności. Pogładził jej włosy.

- Jakiego? - zapytał.

- Byłam ciekawa, co robisz z masłem orzechowym.

- Pokażę ci.

- Teraz?

- A czemu nie. Zgłodniałem.

Rozdział 8

Obudził go pomruk mocnego silnika. Otworzył oczy. Przez okno wpadało szare światło deszczowego poranka. Leżąca obok niego Lillian nie poruszyła się. Najbardziej na świecie pragnął zostać tu, gdzie był, przy kształtnym tyłeczku Lillian, wtulonym w jego podbrzusze. Ale nie miał wyboru. Z wielkim żalem odsunął się ostrożnie od ciepłego smukłego ciała. Poruszyła się lekko, jakby protestując. Pocałował jej ramię. Westchnęła i przytuliła się do poduszki.

Przyglądał się Lillian, zakładając spodnie. Bardzo dobrze wyglądała w jego łóżku. Jakby tu było jej miejsce. Samochód zatrzymał się. Umilkł silnik. Gabe zamknął drzwi sypialni i poszedł do salonu. W drodze do drzwi wejściowych sprawdził szybko, czy nie ma gdzieś śladów obecności Lillian. Jego spojrzenie przykuł przedmiot połyskujący na podłodze. Podniósł pelerynę przeciwdeszczową i wepchnął do szafy w przedpokoju.

Zanim otworzył drzwi i zobaczył znajomego SUV-a, dziadek był już na werandzie.

- Może mi powiesz, co tu się dzieje? - ryknął Mitchell. Walnął w podłogę laską, żeby podkreślić

swoje wzburzenie. - Co ty knujesz, Gabe?

Cholera. Szybko ocenił sytuację. Lillian była pieszko. Na podjeździe nie stał jej samochód. Mitchell nie wiedział więc, że spędziła z nim noc. A może?

Małe miasteczka mają poważną wadę - trudno w nich o prywatność. W razie wątpliwości graj na zwłokę.

- Też się cieszę, że cię widzę powiedział swobodnie. - Kiedy wróciliście?

- Wczoraj. Późnym wieczorem.

- Gdzie Bev?

Od kilku miesięcy Mitchell spotykał się z Bev Bolton, wdową po byłym naczelnym „Eclipse Bay Journal”. Razem wyjechali na Hawaje. Bev mieszkała w Portland. Mitchell nie afiszował się z tym związkiem, a jego dyskrecja sprawiła, że przez kilka stresujących tygodni Gabe i Rafe bali się, że regularne wyjazdy dziadka do Portland oznaczają wizyty u lekarza. Doszli do wniosku, że Mitchell cierpi na poważną chorobę, ale chce oszczędzić rodzinie zmartwienia. Kiedy zaskakująca prawda wyszła na jaw. odczuli wielką ulgę.

- Bev pojechała do wnuków do Kalifornii - wyjaśnił Mitchell. - A teraz mi wytłumacz, co się tutaj dzieje.

- Niewiele. - Ziewnął i w zamyśleniu potarł tors. Na dworze było zimno. Żałował, że nie wziął koszuli. Dużo padało.

- Nie zmieniaj tematu. To ja twój dziadek. Idę sobie rano na kawę i czego się dowiaduję? Podobno wczoraj wieczorem skręcał do ciebie samochód Marilyn Thornley. Gabe powoli zaczerpnął powietrza. Kamień spadł mu z serca. Ustąpiło napięcie. Mitchell nie wiedział nic o Lillian. Przyjechał z powodu Marilyn.

- Ale już go nie ma - powiedział z naciskiem.

Wyszedł dalej na werandę, zamykając za sobą drzwi. Z krawędzi dachu spływał ciurkiem deszcz. Było nie więcej niż dziesięć stopni. Starał się ignorować zimno. Ile trzeba czasu, żeby nabawić się hipotermii?

Musiał wytrzymać. Nie mógł wrócić po ubranie. Mitchell poszedłby za nim, hałas obudziłby Lillian. Wyszłaby z sypialni, zobaczyć, co się dzieje, a wtedy rozpętałoby się piekło. Musiał coś wymyślić. I to szybko.

Trzeba ustalić priorytety Po pierwsze, pozbyć się Mitchella.

Spojrzał na SUV-a i pozdrowił ręką wiernego sługę Mitchella, Bryce'a, który ze stoickim spokojem czekał za kierownicą. Bryce skinął głową z wojskową powściągliwością.

Gabe znów skupił się na Mitchellu.

- To jak było na Hawajach?

- W porządku. - Mitchell skrzywił się. - Jak to na Hawajach. Nie przyjechałem tu, żeby rozmawiać o wakacjach.

- Ja tylko chciałem być uprzejmy.

- Akurat. Próbujesz się wymigać. Ale nie trać czasu. Nie urodziłem się wczoraj. Chcę wiedzieć, co jest między tobą a Marilyn Thornley.

- Absolutnie nic. - Gabe skrzyżował ręce na piersi. Nie ma to jak czyste sumienie w kontaktach ze staruszką.

Nie zawsze ich wzajemne stosunki były tak napięte. Gabe nie potrafił dokładnie określić, kiedy się pogorszyły, ale na pewno w ciągu dwóch ostatnich lat. Sytuacja zaostrzyła się od czasu, kiedy Rafe

się ożenił. Dawniej, kiedy po śmierci rodziców on i Rafe mieszkali u Mitchella, między nim i dziadkiem rzadko dochodziło do konfliktów. To Rafe był zbuntowanym dzieciakiem, który przy każdej okazji stawiał się Mitchellowi.

Gabe obrał przeciwną strategię, nie dlatego, że chciał zadowolić Mitchella, ale dlatego, że już wtedy był skoncentrowany na swoim celu. Zależało mu na udowodnieniu, że Madison może odnieść sukces. Cały plan opracował jeszcze w szkole. Wymyślił, jak dotrzeć do celu, i nie zbaczał z obranego kursu. Pilnie się uczył, trzymał się z dala od kłopotów i poszedł do college'u. Tak robili Harte'owie, a on brał z nich przykład. Już jako młody chłopak wiedział, że tradycyjne podejście do życia Madisonów przynosi kiepskie rezultaty.

W końcu dopiął swego. Zbudował prężną firmę. Któregoś dnia Madison Commercial przyćmi konkurencję. W tym Harte Investments. Nie budował Madison Commercial, żeby zadowolić dziadka, ale aprobata Mitchella dawała mu dodatkową satysfakcję. I był czas, kiedy przyjmował ją za pewnik. Kiedy uświadomił sobie, że wszystko, co osiągnął, przestało mieć dla Mitchella znaczenie, poczuł osobliwą pustkę. Dziś zdał sobie sprawę, że jej miejsce zaczął zajmować gniew. Jakim prawem staruszek udzielał mu rad, jak żyć?

Mitchell zmrużył oczy, przypatrując się twarzy Gabe'a. Cokolwiek z niej wyczytał, chyba go to uspokoiło. Marilyn nie została na noc.

- Nie, zaraz pojechała odpalił spokojnie Gabe.

- Bo wiesz, ona i Thorn się rozwodzą - zauważył Mitchell.

- Słyszałem.

- Podobno teraz Marilin będzie robić karierę w polityce.

Gabe opuścił ręce i zacisnął dłonie na mokrej barierce. Cholera, ale zimno. Jeszcze kilka minut i zaczną dzwonić mu zęby.

- Tak, mówiła wczoraj. Pewnie świetnie jej pójdzie.

- Wiesz, za czym ona się rozgląda, prawda?

- Jasne. Spokojna głowa. Mitch. Ja też nie urodziłem się wczoraj. Zdaję sobie sprawę, że potrzebuje pieniędzy na kampanię.

- Słyszałem, że stary Caldwell jest wkurzony, bo kampania Thornley'a pochłonęła kupę pieniędzy. Podobno odechciało mu się polityki, nawet jeśli tym razem do wyborów staje jego własna córka.

- Caldwellowie w końcu zmiękną. Jak zawsze. Mitchell skinął głową.

- Marilyn umiała dopiąć swego już jako mała dziewczynka. Ale polityka to bardzo kosztowna rozrywka. Przydałby się bogaty mąż z koneksjami. A ty znowu jesteś w zasięgu jej radaru.

- Nie interesuje mnie małżeństwo z kobietą politykiem. Jeśli się jeszcze nie zorientowała, to się zorientuje. Nie jest głupia.

- Kiedyś byliście razem. Może liczy, że zdoła rozniecić dawny ogień?

Gabe wzruszył ramionami

- Cokolwiek nas łączyło, to już historia.

Nie licz, że ona tak łatwo się podda.

- Dobrze, będę pamiętać.

Na jastrzębiej twarzy Mitchella pojawiła się przebiegłość.

- Szkoda, że nie masz żony.

Gabe tylko zacisnął mocniej dłonie na barierce.

- Wtedy Marilyn Thornley nie nachodziłaby cię wieczorami – ciągnął Mitchell.

Gabe spojrzał na dziadka.

- Nie zaczynaj.

- Do diabła, ja w twoim wieku miałem żonę.

- To była Alicia czy Janine? Nie, czekaj, Alicie poślubiłeś jako trzecią z kolei, zgadza się? A może Susan? No bo nie Trish. O ile sobie przypominam, mówiłeś kiedyś, że Trish była twoją pierwszą żoną. A więc to musiała być Janine.

Mitchell uderzył laską w podłogę.

- Nieważne z kim. Ważne, że żonaty.

- I rozwiedziony. Dwa razy. W każdym razie wtedy. Miałeś za sobą dwa rozwody, a przed sobą kolejne dwa.

- No dobra, spieprzyłem sprawę raz czy dwa.

- Dokładnie cztery razy.

- Do diabła. - Mitchell podniósł głos. - A więc powinieneś uczyć się na moich błędach.

- Madisonowie nigdy nic uczą się na błędach. Rodzinna tradycja. Mitchell wycelował w niego laskę jak rapier.

- Wiesz, w czym problem? Ty źle do tego podchodzisz. Do małżeństwa.

- Ty za to jesteś niekwestionowanym autorytetem w tej dziedzinie. Mitchell prychnął.

- Powinieneś wiedzieć, że kobieta to kobieta, nie nowa inwestycja Madison Commercial. Kobiety szuka się inaczej.

- Wyobraź sobie, że to wiem. Dlatego poszedłem do Private Arrangements.

- Do diabła, i czego ty się spodziewasz? - odparował Mitchell. - Nie odmawiam Lillian inteligencji. Harte'owie nie są głupi. Pewnie zna się na swojej robocie. Ale komputer nie znajdzie ci żony.

Zapomnij.

- Dlaczego?

- Bo jesteś Madisonem. Jeśli chodzi o kobiety, Madisonowie kierują się instynktem, nie rozumem.

- I spójrz na skutki mruknął Gabe. - Trzy pokolenia nieudanych związków.

- Rate przełamał fatum. Mitchell opuścił laskę z surowym dostojeństwem. - Spodziewam się, że pójdziesz w jego ślady. Ale na jakiś czas musisz przestać bawić się w biznesmena i skupić się na tym, co naprawdę ważne.

- Tego już za wiele.

Gniew przeszył ciało Gabe'a jak błyskawica. Uwolnił się z głębokich czeluści, gdzie był przetrzymywany jak zakładnik, w imię osiągnięcia całkowitej samokontroli.

Gabe puścił barierkę i odwrócił się do Mitchella.

- Mam przestać bawić się w biznesmena? Według ciebie właśnie to robiłem przez ostatnie lata? Bawiłem się w biznesmena?

Mitchell zamrugnął. Troska pogłębiła zmarszczki wokół jego oczu. Uspokój się, synu. Ja tylko próbuję z tobą rozsądnie porozmawiać.

- Bawiłem się w biznesmena? Zabawą nazywasz zbudowanie poważnej firmy, która w zeszłym roku miała obroty rzędu kilkuset milionów dolarów?

- Posłuchaj, Gabe, nie o to...

- A może nie zauważyłeś, że posiadane przez ciebie akcje Madison Commercial to główne źródło twoich dochodów?

- Cholera, pieniądze nie są najważniejsze.

- Nie? Jako dzieciak ciągle wysłuchiwałem o upadku Harte-Madison, bo ty i Sullivan Harte skoczyliście sobie do gardeł z powodu kobiety. Ile razy opowiadałeś mi, jak zostałeś finansowo zrujnowany, bo Claudia Banner postanowiła sobie z was zadrwić? Kilka tysięcy?

- To, co stało się z Harte-Madison, nie ma tu nic do rzeczy.

- Harte'owie stanęli na nogi. bo byli zaradni i skoncentrowani na biznesie. Ty mogłeś zrobić to samo, ale nie, wolałeś się ożenić. Raz, drugi, trzeci...

- Nie zapominaj, z kim rozmawiasz. Okaż trochę szacunku. Gabe zacisnął dłonie w pięści.

- Udowodniłem tobie i całemu cholernemu światu, że Madison też może odnieść sukces. Nie mniejszy niż Harte.

- Ja ci nie odmawiam sukcesu. Ale fakt, że Madison Commercial przynosi zyski, nie jest tu najważniejszy.

- Przypomnij mi to. kiedy następnym razem zgłosisz się po kwartalną dywidendę.

- Przestań ciągle gadać o pieniądzach. - Mitchell walnął laską w słupek. - Mówimy teraz o właściwym ustaleniu priorytetów.

- Odniosłem sukces właśnie dlatego, że od początku właściwie ustaliłem priorytety,

- Gdyby tak było, to do tej pory miałbyś już żonę. A ja prawnuki.

- Nie mów mi, jak kierować swoim życiem, Mitch.

- Ktoś musi.

- I myślisz, że jesteś odpowiednią osobą? Otworzyły się drzwi.

Gabe znieruchomiał. Jak przez mgłę widział, że Mitchell też zdrętwiał.

- Dzień dobry, panowie - powiedziała Lillian. - Ładny mamy dzień, prawda?

Gabe przeczesał palcami włosy. Tylko tego mu brakowało.

Mitchell milczał. Stał jak skamieniały i wpatrywał się w Lillian, jakby była syreną, która właśnie wyłoniła się z zatoki.

Gabe poddał Lillian szybkim oględzinom. Miała na sobie to samo co wczoraj: czarne spodnie i golf z turkusową wstawką. Trochę za bardzo odstawiona jak na tak wczesną porę, ale może Mitchell nie zauważy, bo raczej nie przywiązywał uwagi do strojów. Włosy zebrała w węzeł. Nie miała makijażu, ale nie było w tym nic niezwykłego. Z tego co zauważył, nigdy przesadnie się nie malowała.

Przy odrobinie szczęścia Mitchell uzna, że Lillian wpadła na śniadanie. Patrzyła na dwóch oniemiałych mężczyzn, zaciekawiona, może trochę rozbawiona.

- Czyżbym przeszkodziła? - zapytała grzecznie. Żaden się nie odezwał.

- Trochę tu chłodno stwierdziła lekko. - Może wejdziecie do środka? Robię kawę. Odwróciła się. - I zaproście Bryce'a - dorzuciła przez ramię.

Szofer zabrał kubek z kawą, rzucił szorstkie „dziękuję” i wrócił do samochodu.

- Bryce nie jest zbyt towarzyski - wyjaśnił Mitchell. Lillian opadła na sofę.

- Widzę.

Przyglądała się jakby od niechcienia Gabe'owi, który stał przy oknie, ściskając w rękach kubek. Kiedy nalewała kawę, zniknął w sypialni. Wrócił po kilku minutach w ciemnej flanelowej koszuli z podwiniętymi rękawami odsłaniającymi jego silne przedramiona. Pod spodem miał czarny T-shirt. Pomyślała, że Gabe musiał porządnie zmarznąć na dworze.

W małym salonie wyczuwało się napięcie, pozostałość po kłótni, w której przeszkodziła.

Kiedy obudziła ją zażarta wymiana zdań, w pierwszym odruchu chciała się szybko ubrać i wymknąć kuchennymi drzwiami. Była pewna, że Gabe by tak wolał. Wszyscy uniknęliby niezręcznej sytuacji.

Ale już na korytarzu usłyszała Gabe'a.

- „Według ciebie właśnie to robiłem przez ostatnie lata? Bawiłem się w biznesmena?”

Jego słowa przepełniały ból i frustracja. Postanowiła zostać. Mitchell przyglądał się Lillian.

- Słyszałem, że jesteś w mieście. Przyjechałaś na dłużej? Upiła łyk kawy.

- Tak.

- Dom twoich rodziców jest niedaleko stąd.

- Owszem. Chwila spacerkiem. Mitchellowi coś zaświtało w głowie.

- Przyszłaś na kawę?

- No, przyszłam - odparła Lillian.

Gabe lekko się spiał, jakby szykował się do walki.

Lillian udawała, że nie zwraca na niego uwagi. Na razie mówiła Mitchellowi prawdę. Owszem, darowała sobie drobne szczegóły, ale co tam. Mitchell chciał robić dochodzenie, jego sprawa. Ona nie musiała mu się ze wszystkiego spowiadać. Mitchell wskazał brodą szarą mgłę za oknem i zrobił zatroskaną minę.

- Nie za mokro jak na spacer?

- Tak, trochę wilgotno przyznała. - Ale czego można się spodziewać o tej porze roku?

Gabe napił się kawy. Milczał, ale wiedziała, że przesłuchiwanie jej przez Mitchella działało mu na nerwy. Miała tylko nadzieję, że drugi raz Gabe nie da ponieść się emocjom. Ciekawy zbieg okoliczności, że oboje postanowiliście przyjechać do Eclipse Bay w tym samym czasie - zauważył.

- Zdarza się - powiedziała Lillian.

- Jak długo zostaniesz? - zapytał Mitchell.

- A co cię to obchodzi? - wtrącił się wreszcie Gabe. Mitchell popatrzył na niego wilkiem.

- Po prostu staram się nawiązać uprzejmą rozmowę.

- Jasne - mruknął Gabe. Cały ty. Chodząca uprzejmość.

Lillian odchrząknęła.

- No, trochę tu zabawię, bo właśnie zamknęłam firmę. Mitchell znów skupił na niej swoją uwagę.

- Zamknęłaś biuro matrymonialne?

- Tak. Zamyślił się.

- A więc to będziesz ty - stwierdził.

- Słucham? Wzruszył ramionami.

- Ciebie ojciec przysposobi do przejęcia Harte Investments. Nigdy bym nie przypuszczał. Bez urazy, ale zawsze wydawałaś mi się trochę ekscentryczna.

- No proszę, a myślałam, że moja ekscentryczność jest pilnie strzeżoną rodzinną tajemnicą.

Mitchell zignorował jej słowa, pochłonięty swoją teorią.

- No cóż, jak się nad tym zastanowić, to całkiem logiczne. Zdaje się, nie było innego wyboru. Twój brat odszedł z firmy, żeby pisać kryminały, a Hannah zajmie się z Rafe'em hotelem.

- Właściwie ja też nie zamierzam pracować u ojca. Zamknęłam Private Arrangements, żeby malować.

- Co malować? - spytał Mitchell skonsternowany. - Domy? Samochody?

- Obrazy.

- Obrazy. Teraz był zupełnie zbity z tropu. - Jakie obrazy? Takie jak w muzeum?

- O, dobrze by było. Lillian bębniła palcami w kubek, świadoma tego, że Gabe przygląda się jej z dziwnym wyrazem twarzy. - Za kilka tygodni mam wystawę w Portland. Olivia Brightwell mi organizuje.

Mitchell pokręcił głową.

- A niech mnie. Założę się, że twoi rodzice i dziadek już chodzą po ścianach. Nie dość, że mają pisarza w rodzinie, to teraz doszła kolejna artystka.

- Nie mówiłam im jeszcze, że chcę się poświęcić malarstwu - powiedziała ostrożnie Lillian. - Właściwie nie wiedzą nawet, że zamknęłam Private Arrangements.

- Nie martw się. nie zdradzę im tajemnicy - obiecał. - Ale dałbym wiele, żeby widzieć ich miny, kiedy usłyszą, że rezygnujesz z pracy w firmie, bo chcesz malować.

Lillian spięła się.

- Zrozumieją.

Może tak, ale z pewnością nic będą zachwyceni. - Mitchell omal nie zachichotał. - Sullivan wypruwał z siebie flaki, żeby wyszło mu z Harte Investments, po tym, jak rozpadła się nasza spółka. Twój ojciec poświęcił tej firmie całe swoje życie. Wszyscy myśleli, że któreś z waszej trójki przejmie firmę, a potem przekaze ją kolejnemu pokoleniu. Ale wy wykruszyliście się jedno po drugim, żeby zająć się własnymi sprawami.

Miał rację, pomyślała. Ale nie zamierzała dopuścić, by wzbudził w niej poczucie winy.

- Może Carson, syn Nicka, zainteresuje się biznesem, kiedy podrośnie - zasugerowała.

Mitchell prychnął.

- Ale mały ma dopiero... no, ile? Cztery? Pięć lat?

- Pięć.

- Minie co najmniej dwadzieścia lat, zanim ewentualnie będzie gotów pokierować Harte Investments. Zakładając, że w ogóle będzie go to interesować. - Mitchell zmrużył oczy. Twój ojciec jest już po sześćdziesiątce. Nie może czekać tak długo z przekazaniem firmy.

- Tata planuje niedługo przejść na emeryturę - przyznała. - Chcą założyć z mamą fundację, która pomoże młodym ludziom wystartować z własną firmą.

- A więc będzie musiał sprzedać firmę Harte Investments. Albo pomyśleć o fuzji. - Mitchell zacisnął usta. - Nie przeczę, nieźle na tym zarobi, ale praktycznie to będzie koniec Harte Investments.

- To tylko firma - wyrzuciła z siebie Lillian.

- Ha! Dobre sobie. - Mitchell napił się kawy, a potem powoli odstawił kubek. - Mówimy o Harte Investments.

Gabe odwrócił się od okna i przyglądał się Lillian w skupieniu. Spojrzała na niego, a potem znów na Mitchella. Mieli identyczne zielone oczy. Przeszedł ją dreszcz. Zrozumiała, że przez te wszystkie lata sukces Harte Investments był cierniem w boku Madisonów, większym, niż ktokolwiek z jej rodziny przypuszczał.

Dziesięć minut później Gabe i Lillian stali na werandzie i patrzyli, jak Mitchell gramoli się do SUV-a. Bryce odpalił maszynę i skierował się do głównej trasy. Przez chwilę przygadali się deszczowi. Myślę, czy ci nie odpuścić - odezwał się w końcu Gabe. Lillian założyła ręce na piersi.

- Czego?

- No wiesz, tej szóstej randki.

- Ciągle ta szósta randka. To jakaś obsesja. Zapomnij o tym.

- Mówię poważnie.

- Ja też.

Patrzył, jak SUV znika między drzewami. Pamiętasz, jak wspominałem o bankiecie przy kolacji? Tym na cześć mojego dawnego wykładowcy. Potrzebuję osoby towarzyszącej. Jesteś wolna? Patrzyła na

niego z nieokreśloną miną. Czy to jest może twój pomysł na randkę? Oficjalna kolacja z gumowatym kurczakiem, a do tego długie, nudne przemówienia?

- Sam będę wygłaszał jedno z tych długich, nudnych przemówień. Pójdiesz ze mną czy nie?

- Zastanowię się.

- Byle szybko. Jadę do Portland już w poniedziałek rano, bo chcę najpierw wpaść do firmy. Powrót planuję we wtorek.

- Hmm.

- Co to miało znaczyć? Wzruszyła ramionami.

- Myślę o ewentualnych korzyściach. Jeśli pojedę do Portland, będę mogła zabrać kilka rzeczy z pracowni.

- Okay, zrozumiałem. Przyznaję, zaproszenie nie było zbyt romantyczne.

- Trudno. Ale z góry zaznaczam: to nie będzie twoja szósta randka.

- Nazywaj to, jak chcesz.

- Dzięki - powiedziała szorstko, otwierając drzwi. - Aha, jeszcze jedno.

- Co takiego?

- Uważam, że powinniśmy dać sobie trochę czasu i przemyśleć, w jakim kierunku zmierza nasza znajomość.

Znieruchomiał.

- Do diabła, o czym ty mówisz?

- Mam mówić prościej?

- Tak, najlepiej sobie radzę z prostymi komunikatami.

- Nie będzie więcej seksu, przynajmniej na razie. Chcę przemyśleć, co się między nami dzieje. I uważam, że ty też powinienesś.

Patrzył na nią w milczeniu.

- Czy to dla ciebie problem? zapytała. Ależ. nie. Umiem myśleć. Ciągle to robię. Czasami nawet ze trzy razy dziennie.

- Wierzyłam, że dasz sobie radę.

- Teraz na przykład myślę, że pomysł, by na razie zrezygnować z seksu, ma związek z wizytą Mitchella.

Wahała się.

- Może rzeczywiście pomogło mi to spojrzeć na pewne sprawy z odpowiedniej perspektywy. Ale nie miej do niego pretensji. Powinnam zrobić to już wczoraj.

- Ale o jakiej perspektywie mówisz?

- Wszystko musisz tak drażnić?

- Po prostu lubię wiedzieć. Oparła się dłonią o drzwi.

- Chcę, żebyśmy oboje się upewnili, że wiemy, co robimy.

- To znaczy, że nie wiesz, co robisz? A może myślisz, że ja nie wiem?

- Przyjechałam do Eclipse Bay malować. Ty zamierzasz dojechać do siebie, bo się wypaliłeś zawodowo. Żadne z nas nie planowało... wspólnych spotkań.

Nagle zrozumiał.

- Przestraszyłaś się. prawda? - zapytał łagodnie. Wczepiła się palcami w drzwi.

- Może ty też powinienesś.

- Jeśli martwisz się Mitchellem, to wyluzuj. Na pewno uwierzył, że byłaś na spacerze i wstąpiłaś na

kawę. Nie wie, że tu spałaś.

Zapatrzyła się na drogę, gdzie zniknął samochód Mitchella.

- On wie - powiedziała z przekonaniem.

- Gdzie ten cholerny telefon? - ciskał się Mitchell.

Bryce zdjął jedną rękę z kierownicy i sięgnął między siedzenia. Wyjął telefon i bez słowa podał swojemu chlebodawcy.

Mitchell wyjął okulary do czytania i notes. Przerzucił kilka kartek, aż znalazł potrzebny numer.

Ostrożnie wciskał kolejne cyfry, wpatrując się uważnie w wyświetlacz, żeby mieć pewność, że trafił w odpowiednie przyciski. Nie było to łatwe. Artretyzm bardzo utrudniał mu życie.

- Dlaczego te cholerne guziki muszą być takie małe? - warknął.

- Ludzie lubią małe telefony - odparł Bryce. - Małe telefony mają małe guziki.

- Słyszałeś kiedyś o pytaniu retorycznym? - Mitchell wsłuchiwał się w sygnał. - Nie oczekiwałem odpowiedzi.

- Pytał pan, to odpowiedziałem - upierał się Bryce.

- Myślałby kto, że sam tego nie wiem.

- Tak, sir, mój błąd. Trzeci sygnał.

- Cholera zaklął znów Mitchell. - Lepiej, żeby tam był. Nie mam czasu...

Czwarty sygnał urwał się w połowie.

- Słucham? - odezwał się Sullivan Harte.

Mitchell chrząknął usatysfakcjonowany, słysząc chłodny, szorstki głos. On i Sullivan nie mieli ze sobą zbyt wiele wspólnego od czasu upadku Harte-Madison i ich niesławnej bójki przed supermarketem Fulton. Aż do ślubu Hannah i Rafe'a nawet ze sobą nie rozmawiali. Ale pewnych rzeczy się nie zapomina, pomyślał Mitchell. Jedną z nich był głos człowieka, z którym walczyło się na wojnie, w zielonym piekle dżungli.

- Mówi Mitch.

- Co się stało? - zapytał natychmiast Sullivan.

- Twoja wnuczka żyje z moim wnukiem. Chwila ciszy.

- Mam dla ciebie niespodziankę, Mitch. - Sullivan zaśmiał się głośno. - Wolno im, są małżeństwem.

- Nie chodzi mi o Hannah i Rafe'a. Znowu chwila ciszy.

- A o kogo, do diabła? Sullivan nie był już ani trochę rozbawiony.

- O Lillian i Gabe'a.

- Sukinsyn - mruknął Sullivan.

- Mówisz o mnie czy moim wnuku?

- Sukinsyn.

- No dobrze, to już wszystko jasne - powiedział Mitchell. - A teraz, co zamierzasz z tym zrobić?

- Gabe jest twoim wnukiem.

- A Lillian twoją wnuczką. Ostatnim razem ja wszystko załatwiłem.

- Załatwiłeś? Dobre sobie. Do diabła, o czym ty w ogóle... Mitchell rozłączył się, przerywając Sullivanowi w połowie zdania. Spojrzał na Bryce'a i uśmiechnął się szeroko.

- No, to będzie ubaw - powiedział.

Rozdział 9

Claire Jensen rzuciła wypchaną, skórzaną aktówkę na winylowe siedzenie naprzeciwko Lillian i

usiadła przy stoliku. Była zaczerwieniona i zdyszana. Przepraszam za spóźnienie wysapała. - Marilyn chciała jeszcze raz przejrzeć zagadnienia do wywiadu, którego jutro udziela. A do tego musiałyśmy w ostatniej chwili zmienić plan imprezy Liderów Jutra. Świetnie wyglądasz, Lii.

- Dzięki. Ty też. Cieszę się z naszego spotkania. Długo się nie widziałyśmy.

- Za długo.

Claire roześmiała się i Lillian odniosła wrażenie, jakby czas zatrzymał się w miejscu. Z Claire zawsze było wesoło. Pogodna, energiczna dziewczyna z głową pełną pomysłów i planów.

- Masz rację - powiedziała Lillian. O wiele za długo. Kiedy to zleciało?

- No, bywa. Po prostu obie byłyśmy bardzo zajęte.

Poznały się, kiedy Claire uczęszczała do Chamberlain College. Lillian studiowała w Portland, ale wakacje zawsze spędzała z rodziną w Eclipse Bay. Któregoś lata obie zatrudniły się jako kelnerki w restauracji na nabrzeżu. Claire chciała zarobić. Lillian nie potrzebowała pieniędzy, ale potrzebowała pracy. Harte'owie wierzyli w wychowanie przez pracę. Wszyscy młodzi Harte'owie zarabiali w wakacje. Tego od nich oczekiwano.

Początkowo ona i Claire nie miały ze sobą wiele wspólnego, ale długie godziny spędzone na obsłudze klientów, którzy nie zawsze dawali napiwki, a czasami byli wręcz chamscy, sprawiły, że wytworzyła się między nimi więź. Spotykały się po pracy i dużo gadały o ważnych rzeczach: facetach, planach na przyszłość.

Claire była pierwszą i przez długi czas jedyną osobą, której Lillian zwierzyła się ze swojego marzenia: chciała zostać artystką. Dużo o tym myślała, ale dobrze znając poglądy swojej rodziny, nie poruszała tego tematu. Cieszyła się, że może podzielić się sekretem z kimś, kto ją rozumiał.

Claire też snuła marzenia. Chciała spróbować sił w polityce.

- Nic się tu nie zmieniło stwierdziła Claire. - Jest tak samo, jak za czasów, kiedy tu pracowałyśmy.

Wystrój Snow's Cafe to odzwierciedlenie unikalnego postrzegania świata przez Arizonę Snow, pomyślała Lillian. Ściany były oblepione wyblakłymi plakatami zespołów rockowych oraz powiększonymi zdjęciami satelitarnymi terenów wokół Strefy 51 i Roswell. Klientami Arizony byli głównie studenci pobliskiego college'u.

- A menu? - zapytała Claire. - Też ciągle to samo?

- Zobaczmy. - Lillian wyłuskała laminowaną kartę spomiędzy serwetnika i małego, obrotowego stojaka z przyprawami. Przejrzała propozycje. - Nadal królują wegetariańskie hamburgery, frytki i kawa.

- Trzy główne składniki diety studentów. Arizona zna swoją klientelę - przyznała Claire. Tak się cieszę, że zadzwoniłaś. Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać? Ja nawet nie miałam pojęcia, że jesteś w Eclipse Bay.

- Spotkałam w Fultonie Pamelę McAlister. Mówiła, że zaczepiłaś się w instytucie i przygotowujesz kampanię Marilyn Thornley. I jak? Pójdzie w ślady Trevora?

- Oczywiście - odparła Claire. - I na pewno się nie potknie.

- To znaczy?

- Nie słyszałaś plotek po wycofaniu się Trevora? - Claire nachyliła się do przodu i zniżyła głos. - Podobno lubił przebierać się w szpilki i damską bieliznę.

- Ach, te plotki. Claire wyprostowała się, potem znów opadła na oparcie.

- Poszła fama, że musiał zrezygnować, bo był szantażowany starymi nagraniami wideo, na których paradował we frywolnej bieliźnie. Mówię ci, totalny szok?

- Nikt w sztabie niczego się nie domyślał? Claire westchnęła.
- Oczywiście, że nie. Sztab zawsze dowiaduje się ostatni.
- Dlaczego Marilyn postanowiła kandydować?
- Zawsze była bardzo ambitna. Ale do niedawna widziała siebie w roli żony kandydata, Władza z za tronu. I tak było.
- Słyszałam, że kampania Trevora kosztowała ją sporo rodzinnych pieniędzy.
- Zgadza się. Claire skrzywiła się. - Tak między nami, kiedy Trevor dał plamę, Marilyn się wściekła. Jeszcze nigdy nie widziałam nikogo w takiej furii. Któregoś popołudnia przypadkiem usłyszałam ich kłótnię. Wykrzyczała Trevorowi, że ona lepiej się do tego nadaje i zamierza to udowodnić. Wypominała mu, ile czasu przez niego straciła i takie tam. A następnego dnia ogłosiła w sztabie, że się rozwodzą.
- Jak zostałaś szefem jej kampanii?
- Znalazłam się we właściwym miejscu w odpowiednim czasie. Razem pracowałyśmy przy kampanii Trevora. Znała mnie. Wiedziała, co potrafię. A przede wszystkim potrzebowała kogoś zaufanego. Kiedy zaproponowała mi pracę, skwapliwie skorzystałam z okazji. Marilyn daleko zajdzie.
- A ty razem z nią, co? Claire roześmiała się.
- No jasne. - Zamyśliła się. Wiesz, to zabawne. Dawno temu, kiedy dopiero marzyłam, żeby zająć się polityką, widziałam siebie jako dynamiczną panią senator ze wspianiałego Oregonu. A potem zorientowałam się, ile trzeba mieć kasy, żeby wygrać wybory na zwykłego hycła, nie wspominając już o poważniejszym stanowisku. Jeśli nie znajdziesz Sobie bogatego partnera, tak jak Trevor, nie masz zbyt wielkiego wyboru dlatego postanowiłam rozwijać się zakulisowo.
- Nadal marzysz o tym, żeby kandydować? Claire zaprzeczyła stanowczym ruchem głowy.
- Już nie. Lubię to, co robię. Prowadzenie kampanii jest bardzo ekscytujące i daje władzę. A przy tym nie ponosisz tak dużego ryzyka, jak przy kandydowaniu. W razie porażki kandydat może być skończony, ale dobry strateg po prostu zabiera się za nową kampanię. Kogoś innego.
- Cieszę się, że ci się udało, Claire.
- Obu nam się udało. Powiedz, długo zostaniesz w mieście?
- Miesiąc.
- Cały miesiąc? Claire była zaskoczona.
- W końcu się odważyłam. Zamknęłam Private Arrangements. Zamierzam całkowicie poświęcić się malarstwu i zobaczyć, co z tego wyjdzie.
- Claire aż rozchyliła usta ze zdziwienia.
- I bardzo dobrze. Nie ryzykujesz, nie zyskujesz. Zawsze to powtarzam. Zatrzymałaś się w domu rodziców?
- Tak.
- To ciekawe, jak Harte'ów i Madisonów przyciąga Eclipse Bay - zauważyła Claire. Hannah i Rafe osiedli tu na dobre.
- Są zachwyceni.
- Nie możemy się już doczekać w instytucie, kiedy otworzą Dreamscape. Na razie musimy umieszczać naszych gości w tandetnych motelach przy autostradzie.
- Planują otworzyć hotel na wiosnę. Oczywiście pod warunkiem że bracia Willisowie wywiążą się z umowy.
- Claire uśmiechnęła się.

- Niezły z nich cud. Kiedyś niemal musiałam błagać ich na kolanach, żeby przyszli i łaskawie przetkali toaletę. A jaki wystawili rachunek! Ale nie miałam wyboru, o czym oczywiście dobrze wiedzieli.

Rozdział 10

W poniedziałek tuż przed dziesiątą Gabe podrzucił Lillian pod dom. - Przyjadę po ciebie o siódmej - powiedział, kiedy wysiadła z jaguara.

Patrzyła na niego przez otwarte drzwi. Ścisnęło ją w dołku. Miał na sobie swoją legendarną zbroję: stalowoszary garnitur, grafitowo-szarą koszulę, srebrne spinki do mankietów z onyksami i krawat w srebrno-czarne pasy. Kiedy położył lewą rękę na kierownicy, przesunął się mankiet koszuli, odsłaniając błyszczący zegarek z nierdzewnej stali. Świetnie wyglądał. Ekscytująco. Była w nim siła drapieżnika i absolutne opanowanie. Nikomu by nie przyszło do głowy, że przechodzi ciężki przypadek wypalenia.

- Okay. Będę gotowa.

Podeszła do drzwi i wystukała kod. Gabe zaczekał, aż zniknęła w holu, dopiero wtedy odjechał do swojego biura w centrum. Nie miał racji, że wystraszyła się tego, co zaszło, myślała kilka minut później, wkładając klucz do zamka. Po prostu próbowała mu wyjaśnić, co czuła, i była z nim szczerą. Oboje musieli wszystko przemyśleć. Chwilowo żadne z nich nie mogło zawierzyć swojej ocenie sytuacji.

Wypalony facet raczej nie podejmuje rozsądnych decyzji odnośnie do własnego życia osobistego. Ona znalazła się na życiowym zakręcie. Romans z facetem, który przechodził kryzys emocjonalny, był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała.

Chyba najlepiej uznać tę noc za niezbyt rozsądną, jednorazową przygodę. Wydawało się to logiczne. Tylko dlaczego była przygnębiona? Otworzyła drzwi i weszła do mieszkania. Miała przed sobą prawie cały dzień, żeby uporządkować sprawy, które jej umknęły, kiedy wyjeżdżała w pośpiechu z Portland. Czeką ją kilka bojowych zadań, musiała między innymi zadecydować, w czym wystąpi na wieczornym bankiecie.

W środku zrobił się zaduch, jak zwykle, kiedy mieszkanie jest przez jakiś czas nieużywane. Postanowiła przewietrzyć. Najpierw otworzyła okna w salonie, potem poszła do sypialni. Przystanąła w drzwiach. Poczowała dziwny niepokój i mrowienie. Coś było nie tak. Obrzuciła pokój swoim artystycznym okiem, rejestrującym najmniejsze szczegóły: posłanie nietknięte, szafa zamknięta, szuflady komody wsunięte. Szafa zamknięta. Całkiem.

Wpatrywała się przez dłuższą chwilę w przesuwane drzwi. Była pewna, że zostawiła je uchylone, bo zamknięte do końca się zacinały. Prawie pewna. W dniu wyjazdu do Eclipse Bay bardzo się spieszyła. Może z rozpędu przesunęła skrzydło do końca.

Podeszła do szafy, złapała za uchwyt i pociągnęła. Nic. Drzwi zacięły się, jak zwykle od dwóch miesięcy. Chwyciła mocniej, zebrała się w sobie i szarpnęła. Skrzydło opierało się jeszcze chwilę, aż w końcu ustąpiło. Zrobiła krok w tył i przyglądała się zawartości szafy. Ubrania wisiały w takim samym porządku, w jakim je zostawiła. Pudła na dole też stały nietknięte.

To było niedorzeczne. Dawała ponieść się wyobraźni. Wyciągnęła rękę, żeby zamknąć drzwi. Przeszyło ją zimno, kiedy zauważyła na ich lustrzanej powierzchni smugę, z boku, tuż przy metalowej framudze. Przesunęła dłoń, przypasowując ją do smugi. Dokładnie w tym miejscu oparłaby się

krawędź dłoni, gdyby ktoś złapał za framugę, próbując siłą odsunąć drzwi. Ale nie, ona chwyciłaby za framugę trochę niżej. Na tej wysokości mogła wylądować ręka kogoś wyższego od niej.

Odsunęła się szybko. Ktoś tu był. Oddychaj głęboko. Myśl logicznie. Włamanie. Obróciła się, jeszcze raz skanując wzrokiem pokój. Niczego nie brakowało. Popędziła do salonu i otworzyła na oścież drzwi szafki z kinem domowym. Wszystko było na swoim miejscu. Ostrożnie poszła do małego pokoju, gdzie urządziła sobie gabinet. Z progu przyglądała się wnętrzu. Najcenniejszym trzymanym tam przedmiotem był szklany wazon, zesłoroczny prezent urodzinowy od rodziców. Ale wazon pysznił się pomarańczom i czerwienią na półce obok biurka.

Reagowała zbyt mocno. Może była zestresowana sprawą z Gabe'em. Oddychaj spokojnie. Pomyśl nad innymi możliwościami. Ekipa sprzątająca. Zrezygnowała z ich cotygodniowych usług aż do odwołania. Ale przecież mogło się im coś pomylić. Mieli klucz, może przyszli w zeszły piątek, tak jak zwykle.

To prawdopodobne. Sprzątaczką zasunęła niedomknięte drzwi. Ale nie wytarłaby zostawionej na lustrze smugi? Chyba że się spieszyła i nie zauważyła. Mrugające światełko telefonu wyrwało ją z zamyślenia. Uświadomiła sobie, że od czasu wyjazdu nie sprawdzała wiadomości. Podeszła do biurka i wstukała kod.

Były dwa połączenia. Oba przedwczoraj, między dziesiątą a jedenastą wieczorem. W obu przypadkach dzwoniący zaczekał, aż włączy się sekretarka, ale nie zostawił żadnej wiadomości. Lillian przeszedł dreszcz. Wsłuchiwała się w ciszę i wydawało się jej, że słyszy oddech anonimowego dzwoniącego. Myśl logicznie.

Dwie pomyłki z rzędu. Ludzie rzadko się nagrywali, kiedy wybrali zły numer. To szaleństwo. Musiała wziąć się w garść. I to szybko. Złapała słuchawkę i wystukała numer firmy sprzątającej. Zaraz też poznała odpowiedź na swoje pytanie.

- Tak, wysłaliśmy w piątek ekipę - oznajmiła sekretarka. - Proszę nam wybaczyć pomyłkę. Jako rekompensatę, proponujemy sprząkanie gratis, kiedy znów zacznie pani korzystać z naszych usług.

- Nie, nic się nie stało, naprawdę. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy ktoś był w moim mieszkaniu. Odłożyła słuchawkę i czekała, aż przestanie walić jej serce. Zabrało to chwilę. Zdecydowała się na małą czarną.

Przyciemniona sala bankietowa hotelu była wypełniona po brzegi przedstawicielami świata biznesu i nauki. Siedziała u szczytu stołu, obok żony gościa honorowego, i zafascynowana słuchała przemowy Gabe'a. Wiedziała, że ten wieczór był dla niego ważny, ale nie spodziewała się usłyszeć z jego ust tak szczerzej serdeczności.

- ...Podobnie jak na wielu z was, tak i na mnie doktor Montoya wywarł wielki wpływ...

Stał swobodnie przed tłumem, opierając się rękami o mównicę. Przemawiał bez notatek.

- ...Nigdy nie zapomnę, jak na ostatnim roku doktor Montoya poprosił mnie do gabinetu, żeby przedyskutować mój pierwszy pięcioletni plan, który z całą wrodzoną skromnością mogę określić jako wizjonerski...

Na chwilę przerwały mu wybuchy śmiechu.

- ...Gabe, powiedział doktor Montoya, z takim planem, to ja szczerze wątpię, czy uda ci się pozyskać kapitał na zwykłą budkę z lemoniadą...

Publiczność ryczała ze śmiechu. Korzystając z okazji, Dolores Montoya, energiczna kobieta ze szpakowatymi włosami, nachyliła się i szepnęła Lillian do ucha:

- Tak się cieszę, że komitet wybrał Gabe'a do wygłoszenia mowy wstępnej. Zwykle na tego typu imprezach połowa gości już drzemie, zanim gość honorowy dotrze na mównicę.

Lillian nie odrywała wzroku od Gabe'a.

- Proszę mi wierzyć. Gabe nie dopuści, żeby ktokolwiek zasnął. To dla niego bardzo ważna uroczystość. Aż do teraz nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo.

- Mąż nieraz mi mówił, że Gabe był najbardziej zdeterminowanym studentem, jakiego kiedykolwiek miał pod opieką - powiedziała Dolores. Na podium Gabe kontynuował swoje przemówienie.

- ...Jestem bardzo szczęśliwy, że ostatecznie moja budka z lemoniadą stanęła i dobrze funkcjonuje...

To stwierdzenie wywołało jeszcze większą salwę śmiechu. Porównywanie Madison Commercial do budki z lemoniadą było mniej więcej jak zestawianie łódki wiosłowej z nuklearnym okrętem podwodnym.

- ...co w dużej mierze zawdzięczam temu, czego nauczyłem się od doktora Montoyi. Z perspektywy czasu widzę, że z jego wykładów wyniosłem nie tylko szczegółową wiedzę na temat tego, jak przetrwać załamanie rynku czy poradzić sobie z nerwowymi inwestorami. - Gabe urwał na moment. - Dał mi coś o wiele bardziej cennego i istotnego. Nauczył mnie perspektywicznego myślenia...

Tłum słuchał w skupieniu.

- ...Dzięki doktorowi Montoyi zrozumiałem nie tylko zasady rządzące rynkiem w wolnym kraju, ale też co my, ludzie żyjący z tego rynku, jesteśmy winni społeczeństwu i krajowi. Zrozumiałem łączące nas związki. Doktor Montoya nauczył mnie, że wolność i odwaga pozwalają osiągnąć sukces. Że nikt nie działa w próżni. I za te wszystkie nauki zawsze będę wdzięczny. Panie i panowie, doktor Roberto Montoya.

Gość honorowy skierował się do podium, czemu towarzyszyły salwy oklasków. Gabe klaskał najmocniej. Aplauz przeszedł w owację na stojąco. Lillian podniosła się i klaskała razem ze wszystkimi. Nic dziwnego, że doktor Montoya odegrał tak ważną rolę w życiu Gabe'a, pomyślała. Była to historia o tym, jak dzieciak z rodziny, w której brakowało godnego naśladowania męskiego wzorca, stał się jednym z najbardziej wpływowych ludzi na północnym zachodzie. Znalazł kogoś* kto mógł go nauczyć, jak osiągnąć sukces, a on sam był pilnym uczniem.

- To chyba ja powinnam płakać. - Dolores podała sąsiadce chusteczkę.

- Dziękuję. - Lillian szybko wytarła łzy, ciesząc się, że wszystkie światła skierowano na podium.

Oklaski w końcu ustały i zebrani znów zajęli swoje miejsca. Roberto Montoya stał w świetle jupitera. Gabe wrócił i usiadł obok Lillian. Czowała, że przez chwilę przyglądał się jej z zaciekawieniem. Miała nadzieję, że nie widział, jak ocierała oczy chusteczką. Zaczął się do niej nachylać, jakby chciał zapytać czy coś się stało. Na szczęście, jego uwagę rozproszył doktor Montoya, który właśnie zabrał głos.

- Zanim przejdę do tej nudniejszej części, chciałbym coś wyjaśnić - zaczął. - Nauczyłem Gabriela Madisona wielu rzeczy, ale nie wszystkiego. - Urwał i spojrzał na szczyt stołu. - Nie nauczyłem go, jak się ubierać. Tego nauczył się sam.

Zaskoczona publiczność milczała chwilę, potem wybuchła śmiechem.

- A niech mnie - mruknął Gabe, zrezygnowany i rozbawiony. Doktor Montoya znów zwrócił się do publiki.

- Kiedy przed pięcioma laty postanowiłem namówić Gabe'a na program praktyk studenckich dla studentów ostatniego roku zarządzania, powiedział, i pamiętam jego słowa bardzo dokładnie, cytuję: „do diabła, niby czego miałbym nauczyć te dzieciaki, czego ty nie możesz ich nauczyć?”

Chwila ciszy. Montoya nachylił się do mikrofonu.

- „Naucz ich, jak się ubierać, żeby osiągnąć sukces”, odpowiedziałem. Kiedy już ucichła nowa salwa śmiechu, Montoya mówił dalej.

- Potraktował mnie bardzo poważnie. Co semestr, kiedy wysyłam do niego kolejnych studentów, zabiera ich do swojego krawca. Co więcej, dyskretnie reguluje rachunki tych, których nie stać na pierwszy oficjalny strój. Jego protegowani przygotowali małą niespodziankę, żeby mu podziękować. Światło jupitera szybko przemieściło się na koniec sceny. Stali tam dwaj młodzi mężczyźni i kobieta. Cała trójka była ubrana w identyczne stalowo-szare garnitury, grafitowo-szare koszule i krawaty w srebrno-czarne pasy. Wszyscy mieli zaczesane do tyłu włosy. W świetle reflektora połyskiwały trzy komplety srebrnych spinek do mankietów z onyksami oraz tezy zegarki z nierdzewnej stali.

Jeden z klonów Gabe'a trzymał pudło opakowane w srebrny papier i przewiązane czarną wstążką. Zwartym szeregiem ruszyli do przodu. Publiczność znowu wybuchła śmiechem, nie szczędząc oklasków. Gabe ukrył twarz w dłoniach.

- Nigdy tego nie zapomnę.

Głos zabrała dziewczyna w szarym garniturze.

- Wszyscy jesteście winni panu Madisonowi wdzięczność za możliwości, jakie nam stworzył podczas praktyk w Madison Commercial. W większości pochodzimy ze środowisk, w których niepisane reguły świata biznesu nie są znane. A on nam je wytłumaczył. Nauczył nas też wiary w siebie. Otworzył drzwi. I, tak, zaprowadził do swojego krawca i doradził, jak się mamy ubierać.

Teraz miejsce przy mikrofonie zajął jeden z młodych mężczyzn.

- Dziś chcemy okazać wdzięczność panu Madisonowi, pomagając mu zrozumieć coś, z czym zawsze miał problem...

Klon trzymający pudło zdjął z rozmachem pokrywę. Dziewczyna wyciągnęła ze środka obszarpany T-shirt, wytarte dżinsy i znoszone adidasy.

- ...Chodzi o ideę luźnych piątek - zakończył klon przy mikrofonie. Sala bankietowa jeszcze raz eksplodowała śmiechem i brawami. Gabe wstał i poszedł na podium, żeby odebrać prezent. Błysnął do klonów ubawionym uśmiechem.

Najwyraźniej był w swoim żywiole; Lillian patrzyła na Gabe'a z podziwem i zaciekawieniem. Cieszył się szacunkiem zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Miał władzę, pozycję i całkowitą kontrolę nad sytuacją. Na pewno nie wyglądał na kogoś, kogo dotknęło wypalenie zawodowe.

Rozdział 11

Godzinę później Gabe pomógł Lillian wsiąść do jaguara i już miał zamknąć drzwi, kiedy poczuła impuls. Poddała się mu bez namysłu.

- Możemy po drodze wstąpić do mojej pracowni? - zapytała. - Zapomniałam coś zabrać.

- Jasne. Nie ma problemu.

Zamknął drzwi i obszedł samochód. Zanim usiadł za kierownicą, zdjął marynarkę i położył ją na tylnym siedzeniu. Wyjaśniła mu, jak jechać, ale odniosła wrażenie, jakby doskonale znał trasę. Wkrótce zatrzymał się przed kamienicą, w której wynajmowała pracownię. To nie zajmie dużo czasu - powiedziała.

- Nie ma pośpiechu.

Wysiadł z samochodu i otworzył jej drzwi. Razem poszli do budynku. Czekał, aż Lillian wprowadzi kod. W milczeniu wspięli się schodami na poddasze. Wkładając klucz do zamka, uświadomiła sobie,

że serce bije jej trochę za szybko. Oddech też przyspieszył, z niecierpliwości... i niepokoju. Zastanawiała się, po co przyprowadziła tu Gabe'a. Skąd wzięło się to pragnienie? Dlaczego chciała pokazać mu pracownię? Był biznesmenem. Nie przepadał za artystkami. Otworzyła drzwi i sięgnęła ręką w prawo, do włączników na ścianie. Wcisnęła dwa z sześciu, zapaliło się światło, ale duża część poddasza nadal tonęła w mroku.

Gabe przyglądał się wnętrzu. A więc to tu pracujesz - powiedział zupełnie niewzruszony.

- Tak. - Patrzyła, jak Gabe idzie powoli naprzód, przypatrując się opartym o ściany płótnom. - Tu maluję.

Zatrzymał się przed portretem cioci Isabel. Kobieta siedziała w wiklinowym fotelu w pokoju słonecznym w Dreamscape i patrzyła na zatokę. Gabe przyglądał się przez dłuższy czas. Pamiętam, że widywałem u niej tę minę - powiedział w końcu. W zamyśleniu poluzował krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli. Nie odrywał wzroku od obrazu. - Jakby patrzyła na coś, co tylko ona widziała.

Lillian podeszła do dużego stołu w kącie, oparła się o niego biodrem, wzięła szkiecownik i ołówek.

- Czasami każdy tak wygląda. Pewnie dlatego, że różnie postrzegamy świat.

- Może.

Ściągnął spinki z mankietów i włożył je do kieszeni spodni. Zachowywał się swobodnie, naturalnie, jak facet, który odprężał się po oficjalnym wieczorze. Przeszedł do kolejnego obrazu, podwijając rękawy koszuli i eksponując ciemne włosy na rękach. Przyglądała mu się przez chwilę. Wyglądał niesamowicie seksownie z poluzowanym krawatem i rozpiętym kołnierzykiem. Ale uwagę Lillian najbardziej przykuwało to, jak patrzył na jej prace. Obserwował intensywnie i przeżywał. Może nie przepadał za artystkami, ale reagował na sztukę. Czy chciał tego, czy nie. Zaczęła szkicować, zafascynowana grą cieni.

- To wszystko, co powiedziałaś o Montoyi, było ze szczerego serca, prawda? - zapyłała, nie odrywając się od pracy. On był moim mentorem. - Gabe studiował obraz staruszka siedzącego na parkowej ławce. - Przyjechałem z małego miasta. Nie umiałem się zachować. Nie wiedziałem, co jest stosowne, a co nie. Brakowało mi oglądy. Wyrobienia. Nie miałem znajomości. Wiedziałem, co chcę osiągnąć, ale nie wiedziałem, jak. Dał mi narzędzia, których potrzebowałem, żeby zbudować Madison Commercial.

- A teraz mu się rewanżujesz, przyjmując pod swoje skrzydła jego studentów.

- Firma też ma z tego korzyści. Studenci wnoszą ze sobą powiew świeżości i entuzjazm, A poza tym, mamy szansę odkryć nowe talenty.

- Naprawdę? A mój ojciec mówił, że płaczący się po firmie praktykanci to prawdziwe utrapienie. - No cóż, nie wszyscy są stworzeni do pracy w korporacji. Ręka z ołówkiem znieruchomiła na chwilę.

- Na przykład ja. Skinął głową.

- Na przykład ty. I najwyraźniej też twoje rodzeństwo. Wszyscy macie silną, niezależną naturę. Jesteście zdolni i ambitni, ale niezbyt wychodzi wam gra zespołowa. W każdym razie nie na polu biznesowym.

- A ty to niby jesteś inny? Nie rozśmieszaj mnie. Gdybyś nie był właścicielem, prezesem i dyrektorem generalnym Madison Commercial, gdybyś mógł być tylko wiceprezesem, zostałbyś w firmie?

Milczał przez chwilę.

- Nie - odparł kategorycznie.

- Powiedziałeś, że nie wszyscy są stworzeni do pracy w korporacji. Poruszała szybko ołówkiem cieniując. - Ale też nie wszyscy nadają się do kierowania firmą. Ty masz to we krwi. Oderwał wzrok od obrazów i spojrzał na Lillian z daleka.

- Tak? A to coś nowego. Większość powiedziałyby, że we krwi mam autodestrukcję. Jesteś urodzonym przywódcą, umiesz zarządzać ludźmi i firmą, dzięki temu osiągasz cele. Lekko przechyliła głowę, koncentrując się na jego szczęce i cieniach pod oczami. - Na swój sposób jesteś artystą. Potrafisz sprzedać swoją wizję ludziom, sprawić, że chcą dążyć do jej realizacji razem z tobą. Nic dziwnego, że zdołałeś pozyskać kapitał początkowy na rozkręcenie Madison Commercial. Pewnie po prostu poszedłeś do inwestora i odmalowałeś wspaniałą wizję, ile zyska, jeśli cię dofinansuje. Gabe został na swoim miejscu.

- Akurat przekonanie jej, żeby we mnie zainwestowała nie było najtrudniejsze. Zaciekawiona poderwała głowę.

- Jej? - powtórzyła powoli.

- To dzięki pieniądzom od Isabel udało mi się rozkręcić Madison Commercial. Omal nie upadła z wrażenia.

- Żartujesz. Ręka z ołówkiem zamarła w powietrzu. - Isabel cię wsparła?

- Tak.
- Nigdy nic wspomniała o tym nawet słowem. Wzruszył ramionami.
- Nie chciała tego rozgłaszać.

Lillian rozmyślała nad tym, czego się dowiedziała.

- Niesamowite - powiedziała w końcu. - Zawsze marzyła, żeby pogodzić Harte'ów z Madisonami. Hannah uważa, że to dlatego zapisała Dreamscape jej i Rafe'owi. Ale niby dlaczego miałyby wspierać cię finansowo? Jaki to ma związek z zakończeniem starego konfliktu?

Wiedziała, że Madisonowie całkowicie przegrali w wyniku bankructwa Harte-Madison. Chciała trochę poprawić pozycję startową swoją i Rafe'a. Ale przecież wszyscy wtedy ucierpieli. Harte'owie też zostali bankrutami. Startowali od zera. Tyle że twoja rodzina podniosła się o wiele szybciej. - Skupił się na obrazie przed sobą. Myślę, że oboje wiemy, dlaczego. Isabel też wiedziała.

Lillian oblał rumieniec, i fakt, Harte'ów zawsze łączyły silne rodzinne więzy. Poza tym poważnie podchodzili do pracy i nauki. Wszystko to było o wiele lepszymi fundamentami pod odbudowę imperium niż ruchome piaski, po których stąpali Madisonowie.

- Rozumiem - powiedziała. - A więc Isabel chciała dyskretnie wyrównać szanse.

- Myślę, że tak.

- To co w takim razie okazało się trudne?

- Co?

- Mówiłeś, że przekonanie inwestora nie było najtrudniejsze. Więc co?

Uśmiechnął się do wspomnień.

- Przekonanie umowy, która gwarantowała Isabel odzyskanie pieniędzy plus odsetki. Za nic się zgadzała. Chciała, żebym potraktował ofiarowany kapitał jako prezent.

- Ale ty nie mogłeś tego zrobić.

- Właśnie.

Dumny jak wszyscy Maclisonowie. pomyślała. Wróciła do rysowania, Gabe oglądał kolejny obraz.

- Myliłam się co do ciebie, prawda? - Cieniowała opuszkami kciuka, rozmazując grafit.

- To znaczy? Kiedy obserwowałam cię na bankiecie, zrozumiałam, że się pomyliłam. Ale ty nie zrobiłeś nic, żeby wyprowadzić mnie z błędu.

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Trudno uwierzyć, że Harte może się pomylić co do Madisona. Znaście nas tak dobrze.

- Owszem. I nie powinnam tak głupio się pomylić, a jednak.

- A dokładnie, o jaką pomyłkę ci chodzi?

Uniosła głowę znad szkicownika i spojrzała Gabe'owi w oczy.

- Nie wypaliłeś się zawodowo.

Nic nie powiedział, tylko na nią patrzył.

- Dlaczego nie zaprzeczyłeś? Wróciła do szkicowania, pracując nad głębią i cieniami. - Bo wygodnie ci było utrzymywać mnie w przekonaniu, że jesteś ofiarą stresu? Chciałeś, żebym się nad tobą litowała?

- Nie. - Ruszył w jej stronę szpalerem nie oprawionych obrazów.

- To o co ci chodziło. - Ołówek śmigał po papierze, jakby napędzany siłą własnej woli, gdy starała się uchwycić obraz i oddać go za pomocą gry światła i cienia. Stał przed nią.

- Chciałem, żebyś zobaczyła we mnie coś więcej niż tylko maszynę. Pomyślałem, że jeśli uznasz mnie za ofiarę wypalenia, dotrze do ciebie, że jestem człowiekiem.

Przez chwilę przyglądała się szkicowi, potem powoli odłożyła ołówek.

- Nigdy w to nie wątpiłam - powiedziała.

- Jesteś pewna? Odniosłem nieco inne wrażenie. Może przez twoje uwagi, że szukam robota.

Wyjął jej z rąk szkicownik i przyglądał się swojej podobiznie.

Był taki, jakim zobaczyła go kilka minut temu przed jednym z obrazów, z rękami w kieszeniach, rozpiętym kołnierzykiem, poluzowanym krawatem. Stał w cieniu, odwrócony profilem. Wpatrywał się w obraz, dostrzegając w nim coś, co było widoczne tylko dla jego oczu. Cokolwiek widział, sprawiało, że pogrążał się w otchłani mroku.

Obserwowała jego twarz, gdy uważnie studiował rysunek. Zacisnął szczękę, w kącikach ust pojawiły się zmarszczki, a ona wiedziała, że rozumiał symbolikę cienia. Wydawało się, że minęła wieczność, zanim oddał szkicownik.

- Okay - powiedział. A więc uważasz mnie za istotę ludzką.

- A ty zobaczyłeś, co chciałam przekazać tym rysunkiem, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Trudno nie zauważyć.

- Wiele osób, patrząc na ten szkic, dostrzegłoby tylko postać przed obrazem. Ale ty widzisz więcej. - Wskazała dłonią zbiór pracowni. - Rozumiesz wszystkie moje obrazy. Udajesz, że nie interesuje cię sztuka, ale prawda jest taka, że ona do ciebie przemawia.

- We wczesnym dzieciństwie dużo czasu spędziłem w pracowni artysty. Umysł dziecka jest bardzo chłonny. Pewnymi rzeczami przesiąkasz na całe życie.

- No tak, oczywiście. Ojciec rzeźbiarz, mama modelka. - Odłożyła szkicownik.

Czuła wyrzuty sumienia.

- Przepraszam, Gabe. Wiem, że straciłeś rodziców, kiedy byłeś jeszcze dzieckiem. Nie chciałam poruszać tego bolesnego tematu.

- Daj spokój. Stało się, nie twoja wina. Poza tym, chyba jasno się wyraziłem, że nie oczekuję litości. Tobie tylko zaburzyło równowagę we wzajemnych stosunkach na linii Harte-Madison, nie uważasz?

- Masz rację. Nie możemy do tego dopuścić. - Zawahała się. - Gabe? Tak?

- W kwestionariuszu napisałeś, że nie interesują cię artystki. I to akurat była prawda, no nie?

- Przecież już ustaliliśmy, że trochę nakłamałem.

- Nie sądzę, żebyś kłamał w tej kwestii. Powiedz, napisałeś tak z powodu rodziców? Wszyscy wiedzą, że nie zapewnili ci i Rafe'owi normalnego, stabilnego domu. Milczał przez chwilę.

- Przez wiele lat za wszystko co złe, łącznie ze śmiercią rodziców, winiłem fakt, że oboje byli artystami - powiedział w końcu. - Na dziecku takie dzikie, artystyczne temperamenty wywierają wrażenie. W każdym razie było to już lepsze niż...

- Co?

- Że my, Madisonowie, mamy poważną wadę genetyczną: nie jesteśmy zdolni opanować sztuki samokontroli.

- Ale ty dowiodłeś, że to nieprawda. Jesteś najbardziej opanowanym człowiekiem, jakiego znam. Spojrzał na Lillian. Ty też, nie wyglądasz, na egocentryczną, kapryśną artystkę, dla której nie liczy się nic poza sztuką.

- No, to chyba udało się; nam pozbyć wzajemnych uprzedzeń. Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś, Lillian? Wiem, że niczego nie zapomniałaś zabrać. Omiotła wzrokiem zachlapaną farbą pracownię.

- Może chciałam poznać twój prawdziwy stosunek do artystów. Uniósł rękę i obwiodł dekolt jej

sukienki. Musnął palcem szyję. Ustalmy, na czym stoimy. Ty nie uważasz mnie za maszynę. Jego dotyk sprawił, że wstrzymała oddech. A ty nie widzisz we mnie typowej, rozkapryszonej artystki.

- Więc do czego nas to prowadzi? Nie wiem - szepnęła.

Pochylił głowę, jego usta znalazły się tuż nad jej wargami.

- No to powinniśmy się dowiedzieć, nie sądzisz?

- Seks chyba nie jest najlepszym sposobem.

Pocałował Lillian, powoli, namiętnie. Kiedy uniósł głowę, zobaczyła głód w jego oczach. Oblało ją gorąco.

- A znasz lepszy? - zapytał. Przełknęła głośno.

- W tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy.

Położył rękę na jej udzie, uśmiechnął się i zaczął podwijać sukienkę. Złapała końcówkę jedwabnego krawata i przyciągnęła Gabe'a do siebie. Zareagował na to zaproszenie jak rekin na ofiarę: szybko i zwinnie. Nie dał Lillian czasu na zastanowienie się, czy nie byłoby bezpieczniej cofnąć się na płytszą wodę.

Po chwili był już między nogami Lillian, otwierając ją na siebie. Sukienka zrolowała się na biodrach. Ostatnią słabą barierą były jedwabne figi. Czuła, jak robią się mokre pod jego dotykiem. Zacisnęła ręce na krawacie, poddając się uniesieniu.

Ocknął się dużo później, zaspokojony i zadowolony. Przynajmniej na razie. Usiadł na brzegu stołu. Obok leżała Lillian pośród rozrzuconych kartek, pędzli i tubek z farbą. Włosy uwolniły się z eleganckiego wężła, mała czarna, która na bankiecie prezentowała się tak szykownie, teraz była pomięta, co oczywiście stanowiło bardzo interesujący i seksowny widok, mimo że daleki od elegancji. Lillian wyglądała cudownie.

Na szyi miała jego krawat. Uśmiechnął się szeroko, przypominając sobie, jak ta część garderoby tam się znalazła. Lillian poruszyła się.

- Na co tak patrzysz?

- Podziwiam dzieło sztuki.

- Hmm. - Skinęła z uznaniem głową. - Dzieło sztuki. Trzeba przyznać, że ci się to udało. Madison.

- Całkiem nieźle jak na faceta, który nie doszedł jeszcze do siebie po tym trzęsieniu ziemi. To chciałaś powiedzieć?

- Trzęsieniu ziemi, mówisz. A ja myślałam, że to my wywołaliśmy te wstrząsy. - Uśmiechnęła się zadowolona z siebie. Wyszczерzył radośnie zęby.

- Podąłem ci to na srebrnej tacy. Przyznaj.

- Przyznaję. Dobry jesteś, wiesz o tym?

- Dobry to mało powiedziane. - Pochylił się, żeby pocałować jej obnażone biodro. Czuję się wspaniale. A ty?

- Myślę, że przeżyję. Podparła się na łokciach i przyjrzała sobie. - Ale sukienka poległa.

- Chyba da się ją zastąpić jakąś inną.

- Raczej tak. W końcu w sklepach nie brak małych czarnych. - Zauważyła, że ma na szyi krawat.

Zmarszczyła brwi. - A skąd to się tutaj wzięło?

Zsunął się ze stołu i przeciągnął.

- Na niektóre pytania lepiej nie znać odpowiedzi.

Zapinając suwak i pasek, przyglądał się obrazowi opartemu o ścianę naprzeciwko. Była to kolejna z unikalnych, fascynujących kreacji Lillian, gdzie intensywne, wyraziste światło ścierało się z

niepokojącym mrokiem. Niewidzialna siła wciągała go w świat przedstawiony na obrazie, tak samo jak w przypadku pozostałych prac. Zmusił się, żeby odwrócić wzrok.

Nagle zauważył, że oczy Lillian nie błyszczały już rozbawieniem jak jeszcze chwilę temu. Przyglądała mu się tak, jak on przyglądał się obrazowi. Świadoma tego, że wciąga ją w swój świat.

- Czy my mamy romans? - zapytała spokojnie, rzeczowo. Po prostu chciała wiedzieć.

Pytanie to wyrwało go z euforycznego nastroju. Nic między nimi nie było rozstrzygnięte.

- Tak - powiedział. Bezpiecznie będzie nazwać to romanssem. Zresztą, chyba nie mamy innego wyboru.

Usiadła powoli, zwieszając nogi ze stołu.

- A to niby czemu?

Zauważył, że miała zgrabne, małe kostki, śliczne stopy, pomalowane na czerwono paznokcie. I pomyśleć, że nigdy nie uważał się za fetyszystę. Wrócił do stołu, chwycił Lillian w talii, podniósł i postawił na podłodze. Nie wypuszczając jej. powiedział:

- Trochę głupio się przyznawać, że jest się zwolennikiem jednonocnych... no, góra dwunocnych, przygód, prawda?

- No tak, wyszli byśmy na strasznie płytkie i powierzchowne osoby.

- Nie możemy do tego dopuścić - stwierdził stanowczo. - Chodź, jedziemy do ciebie. Musimy się przespać. Rano wracamy do Eclipse Bay.

Rozdział 12

Zwodniczo jasne słońce dawało mało ciepła. Białe grzywy fal rozpryskiwały się, mieniając na powierzchni wody. Silny wiatr zapowiadał kolejny sztorm. Kiedy jechali przez miasto, Lillian widziała, że mężczyźni stojący przy ciężarówce na jedynej w mieście stacji benzynowej kulili się w pikowanych kamizelkach i ocieplanych wiatrówkach.

Sandy Hickson, właściciel stacji, pomachał Gabe'owi. Jego towarzysze odwrócili głowy. Lillian widziała w ich oczach jawne zaciekawienie. No tak. Marle i Madison nie mogli nawet przejechać razem ulicą, żeby nie wzbudzić sensacji.

- To małe miasto powiedział Gabe. Wydawało się, że ciekawość gapiów nie wywarła na nim żadnego wrażenia.

- Bardzo małe.

- W środku zimy nie ma tu nic do roboty. To prawie nasz obowiązek społeczny, żeby ożywić trochę życie w mieście.

- Od kiedy Madisonowie tak się przejmują obowiązkami społecznymi?

- Od kiedy zaczęliśmy częściej zadawać się z Harte'ami. Macie na nas zły wpływ.

Wkrótce dotarli do letniego domu rodziców Lillian. Zauważyła migającą lampkę na sekretarce. Gabe również. Czuję, że Mitchell na nas doniósł.

- Chyba tak. To pewnie moja matka. - Odstawiła karton z przyborami malarskimi, który przyniosła z samochodu. - Później z nią pogadam.

- Mówiłaś, że twoi rodzice wyjechali w interesach do San Diego. Owszem. Ale sam dobrze wiesz, jak szybko rozchodzą się plotki między naszymi rodzinami. Zwłaszcza od wesela.

- Cóż, oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że długo nie da się utrzymać naszego związku w tajemnicy. No, ale w sumie wszyscy jesteśmy dorośli.

Filozof się znalazł, pomyślała. A jaki dowcipny. Pewnie, wyjaśnianie gorącego romansu Harte z Madsonem to nic takiego. Bułka z masłem.

- Tak, jasne - mruknęła. Wszyscy jesteśmy dorośli.

Postawił w holu aktówkę i spojrzał na Lillian spod uniesionych brwi.

- Może potrzebujesz wsparcia?

- Od Madisona? To zupełnie jakby dolać oliwy do ognia.

- Nie da się ukryć, jesteśmy w tym dobrzy.

- Zgłoszę się do ciebie, kiedy będę chciała podsycić jakiś pożar, zamiast go ugasić.

- Z ugaszeniem tego będzie ciężko - stwierdził swobodnie.

Nie wiedziała, czy potraktować to jak ostrzeżenie, czy jak żart. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, iż lepiej założyć, że żartował.

- Jestem bardzo niezależna. Sama decyduję o swoim życiu - powiedziała. - Moi rodzice to wiedzą.

- Jasne. - Nie wydawał się przekonany, ale nie drażył już tematu i skierował się do wyjścia.

- W każdym razie, gdybyś potrzebowała pomocy przy ugłaskaniu matki, daj znać. Widzimy się na kolacji.

Co za pewność, pomyślała. Wspólna kolacja była dla niego oczywista. W domyśle też wspólna noc. Przenikał do jej codzienności bardzo swobodnie. Ale w końcu oboje ustalili, że mają romans. Skąd ten nagły niepokój? Cóż, angażowanie się w związek z Gabe'em to ryzykowna gra.

- A może dziś wyjdziemy? - zapytała pod wpływem nagłego impulsu. Kolacja w miejscu publicznym bardziej przypominałaby randkę. Z tym by sobie poradziła. Randki były bardziej ułożone i przewidywalne. Nienasycone swobodną bliskością jak wspólne gotowanie, a potem jedzenie przy kuchennym stole. Randka pozwoli utrzymać dystans. Nawet jeśli później pojedą do niego i będą się namiętnie kochać.

- Dobra. Miała wrażenie, że domyślił się, co jej chodziło po głowie. Ale nie sprzeciwił się, po prostu wyszedł na ganek.

- Przyjadę o wpół do siódmej.

- Możemy spotkać się u ciebie, - Podeszła do drzwi. - Przejdę się. To niedaleko.

- Nie. Będzie już ciemno. Nie chcę, żebyś chodziła sama po zmroku.

- A co mi się może stać? W Eclipse Bay nie kwitnie przestępczość. Zwłaszcza w środku martwego sezonu.

- Eclipse Bay nie jest już tym samym miasteczkiem z naszego dzieciństwa. Wtedy problemy były najwyżej z letnikami. Ale wiele się zmieniło. Chamberlain College i instytut cały czas się rozwijają. Wolałbym, żebyś nie spacerowała sama po ciemku.

Oparła się ramieniem o framugę drzwi i założyła ręce na piersi.

- Zawsze jesteś taki despotyczny?

- Nie despotyczny, tylko ostrożny.

- Lubisz mieć wszystko pod kontrolą, co?

- Chyba jak każdy. - Musnął ustami jej wargi. - Zrób mi tę przyjemność, proszę.

- Dobrze. Ten jeden raz.

Skinął głową usatysfakcjonowany i zszedł z ganku.

- To na razie. Owocnego malowania.

- A ty, co będziesz robił? Zatrzymał się i spojrzał przez ramię.

- Pogrzebię w necie, żeby dowiedzieć się czegoś o potencjalnym kliencie Madison Commercial. A

co?

- Przewróciła oczami.

- Baw się dobrze.

- Chyba już wyjaśniałem, że to, co robię w Madison Commercial, nazywa się pracą, nie zabawą.

- Uśmiechnął się leniwie i seksownie. – Zabawa jest po pracy. Pokażę ci.

Otworzył drzwi auta i wsiadł za kierownicę.

Na początku błędnie założyła, że wypalił się zawodowo. Miał rację, pomyślała. Kierowanie Madison Commercial to nie zabawa. Ale praca to też nieodpowiednia nazwa, choć on taką preferował. W rzeczywistości Madison Commercial było jego pasją. A pasja to nie zabawa. To coś poważnego.

Zawsze instynktownie czuła tę różnicę, jeśli chodziło o malowanie. Teraz zaczynała to rozumieć w kontekście jej znajomości z Gabe'em. To nie była zabawa. Wróciła do domu. zamknęła drzwi i podeszła do telefonu, żeby odsłuchać wiadomości. Miała dwie. Pierwsza, tak jak się spodziewała, była od matki. Stwierdziła, że równie dobrze może załatwić sprawę od razu. Zebrała się w sobie i wystukała numer pokoju hotelowego w San Diego. Wszyscy jesteśmy dorośli, powtórzyła sobie w myślach. Elaine Harte odebrała po drugim dzwonku. Jak każda zaniepokojona matka, od razu przeszła do sedna.

- Co się tam dzieje w Eclipse Bay? - zapytała.

- Dużo by opowiadać.

Wczoraj dzwonił dziadek. Rozmawiał długo z twoim ojcem. Ale nie była to lekka i przyjemna pogawędka. Od lat nie słyszałam tak gorliwej wymiany zdań między nimi. Sullivan mówi, że na dobre zamknęłaś Private Arrangements. To prawda?

- Tak.

- Ale, kochanie, dlaczego? - Głos Elaine przeszedł w wyćwiczony jęk niepokoju, cecha wspólna wszystkich matek świata. - Tak dobrze ci szło.

Elaine nie dodała: „w końcu”, ale na pewno tak pomyślała.

- Wiesz dlaczego, mamó.

Przez chwilę Elaine milczała, a potem westchnęła.

- Chodzi o malowanie - powiedziała. Ale już nie jęczącym tonem. Barwa jej głosu zmieniła się jak za dotknięciem magicznej różdżki. Mądre matki wiedziały, kiedy porzucić taktykę, która dłużej nie działała.

- Myślałam o tym od dawna. Muszę sprawdzić, czy uda mi się zrealizować moje marzenie.

- A czy na razie nie mogłabyś zatrzymać Private Arrangements? Dopóki nie przekonasz się, czy utrzymasz się z malowania? Przecież zawsze malowałaś wieczorami i w weekendy.

Lillian opadła na sofę, nogi położyła na stoliku do kawy. Czuję, że już pora ustalić priorytety. Muszę skoncentrować się na malowaniu. Po całym dniu w Private Arrangements byłam bardzo zmęczona. Nie miałam siły zabrać się za pracę.

Pracę. Zdziwiła się, że tak powiedziała. Gabe też użył tego słowa, żeby podkreślić wagę jej działania. Malowanie nie było hobby. Ani zabawą czy rozrywką. Było jej pasją.

- A jeśli nie pójdzie ci tak dobrze, jak byś chciała? - zapytała Elaine. Znów otworzysz Private Arrangements? Masz jeszcze ten program i listę klientów, prawda?

- Nie chcę się teraz nad tym zastanawiać, mamó. Nie mogę się dekoncentrować.

- Mówisz zupełnie jak twój ojciec i dziadek. - Elaine zawahała się, ale po chwili drążyła dalej.

Sullivan przekazał twojemu ojcu coś jeszcze. Że widzisz się z Gabe'em Madisonem.

Mimo napięcia Lillian roześmiała się.

- Założę się, że określił to inaczej. Elaine odchrząknęła.

- Powiedział, że „żyjecie ze sobą”.

- Wiedziałam. - Lillian zdjęła nogi ze stolika i usiadła na brzegu sofy.

- Mitchell Madison wyśpiewał wszystko dziadkowi. Ciekawe, że poleciał z tym prosto do Sullivana.

Znowu chwila ciszy.

- A więc to prawda ? - zapytała surowo Elaine.

- Obawiam się, że tak. - Lillian siedziała zgarbiona nad słuchawką.

- Ale wolę już sformułowanie, że „się widzimy” niż „żyjemy ze sobą”.

- Mężczyźni w wieku Mitchella i Sullivana mają trochę inne poglądy na te sprawy. i używają innego słownictwa.

- Najwyraźniej.

- Jeśli wolno zapytać, jak Gabe określa wasz... związek? Wszyscy jesteśmy dorośli, znów powtórzyła sobie w myślach.

- Właściwie go o to nie pytałam. Nie w ten sposób. Posłuchaj, mamó, wiem że chcesz dobrze ale ta rozmowa robi się trochę krępująca. Zapewniam cię, że panuję nad swoim życiem prywatnym.

- Harte i Madison razem w Eclipse Bay. Trudno tu mówić o prywatności - skomentowała Elaine.

- Okay, rozumiem. Tak czy siak, wszystko w porządku.

- Na pewno?

- Tak, mamó. Nie jestem już licealistką. Ani nawet studentką. Od jakiegoś czasu sama radzę sobie w wielkim, złym świecie.

- Ale nigdy nie było w twoim życiu Madisona i nie wiesz, jakie wynikają z tego komplikacje.

- Gabe nie jest typowym Madisonem. Skończył studia i zbudował poważną firmę. Pamiętam, jak tata mówił, że Gabe jest wyjątkiem, który dowiódł, że nie wszyscy Madisonowie muszą źle skończyć.

- Wiem. kochanie. - i znowu przez moment w słuchawce dźwięczała głucha cisza. Ale tak między nami, to właśnie Gabe mnie zawsze najbardziej martwił.

- Coś takiego.

- Naprawdę?

Elaine milczała przez chwilę.

- Nie ja jedna martwiłam się o niego - odezwała się w końcu. - Często rozmawialiśmy o nim z Isabel. Już jako mały chłopiec, Gabe zawsze był samodzielny i opanowany. Nigdy nie wpadał w złość, nie miał problemów w szkole. Zawsze przynosił dobre stopnie. To po prostu nie było naturalne.

- Jak na Madisona?

- Nie, jak na małego chłopca. Każdego małego chłopca.

- Aha.

- Zupełnie jakby realizował jakiś plan. Teraz wiem, że już wtedy nakręcała go myśl o zbudowaniu potężnego imperium.

- Masz rację powiedziała Lillian. - On musiał coś sobie udowodnić. I udało mu się osiągnąć cel.

- Ludzie, których popycha do działania życiowa ambicja, nie zmieniają się nawet, jeśli zrealizują swoje dążenia. Z doświadczenia wiem, że pozostają tacy nakręceni. Tej cechy nie da się wyzbyć.

Madison i jego pasja.

- Mamo, posłuchaj, ja naprawdę...
- Nie chcę się wtrącać, ale jestem twoją matką.
- Wiem. - Lillian westchnęła. - To po prostu twój obowiązek.
- Powinnaś pamiętać, że nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o Gabe'a.
- To znaczy?
- Madison Commercial zawsze było dla niego najważniejsze. I nadal jest. Determinacja i siła woli, których potrzebował, żeby osiągnąć to wszystko, co ma teraz, z upływem lat tylko się zwiększyły.
- O czym ty mówisz?
- O tym, że skoro postanowił się z tobą spotykać, to na pewno ma w tym jakiś cel - odparła bez ogródek Elaine.
- Lillian poczuła ucisk w żołądku.
- Czy teraz mi powiesz, że jedyne, czego Gabe ode mnie chce, to seks?
- Nie. - Elaine namyślała się. - Szczerze? Z jego pieniędzmi i pozycją może mieć tyle seksu, ile tylko zechce. Lillian skrzywiła się. Czuła, że matka miała rację.
- Proszę, nie mów mi tylko. Że czerpie jakąś perwersyjną przyjemność z faktu, że nazywam się Harte. Nie wierzę, żeby był aż tak wypaczony lub niedojrzały i przez uwiedzenie mnie dowodził swojej przewagi.
- Nie. nie o to chodzi. Ucisk w żołądku zelżał.
- Nie, nie zniżyłby się do czegoś takiego. Do diabła, jego brat jest żonaty z moją siostrą. Nawet dziadek nie może myśleć, że...
- Nie - powtórzyła Elaine uspokajająco, ale poważnie. - Nie sądzę, żeby Gabe cię uwodził, bo chce zdobyć kilka punktów przewagi w tym niedorzecznym konflikcie. Jest świetnym strategiem, nie zadowolają go doraźne działania.
- Co ty mi właściwie próbujesz powiedzieć, mamo?
- Żebyś była ostrożna, kochanie. Ostatnio dużo rozmawialiśmy z ojcem. Kiedy Hampton przejdzie na emeryturę, trzeba sprzedać Harte Investments albo wejść w fuzję. Żadne z was nie chce przejąć firmy... Nie żeby wasz ojciec uważał, że macie taki obowiązek.
- Wiem. I to jest w nim fajne, że nie wywiera na nas presji.
- Kiedy był w waszym wieku, doświadczył ogromnej presji, więc wie, jak to jest. I nie chce wam fundować podobnych doświadczeń. Niezależnie od tego, co myśli Sullivan.
- Co? - Lillian znieruchomiała, - tata przejął firmę, bo dziadek go do tego zmusił?
- Po upadku Harte-Madison dziadek poświęcił wszystkie swoje siły budowie Harte Investments, i było oczywiste, że Hampton zostanie jego następcą. Ale ojciec realizował marzenia Sullivana, nie swoje.
- Rozumiem.
- Lillian podeszła do okna. ściskając w ręce słuchawkę. Patrzyła na białe zmarszczki na wodzie. Nagle wszystko stało się jasne. Zupełnie jakby kurtyna poszła w górę, odsłaniając kawałek rodzinnej historii, którego istnienia nawet nie podejrzewała. Hampton nie chciał, żeby któreś z was musiało żyć cudzymi marzeniami - mówiła dalej Elaine. Dawno temu wyjaśnił to wyraźnie waszemu dziadkowi.
- Tata wziął wszystko na siebie? Zawsze zastanawiałam się, dlaczego dziadek bardziej się nie ciska, że żadne z nas nie wykazuje większego zainteresowania Harte Investments. Myśleliśmy, że po prostu złagodniał z wiekiem.
- Akurat. Elaine lekko parsknęła. - Wasz ojciec nieraz wyklócał się o to z Sullivanem. Ostrzegł, że

nie pozwoli, żeby któreś z was zostało przymuszone do kontynuacji rodzinnej tradycji. Chciał, żebyście sami zdecydowali, co robić w życiu.

- Ale tata nigdy nie miał takiej możliwości, prawda?

- Nie na początku - potwierdziła Elaine. - Jednak to się zmieniło. Teraz zgadzamy się z Hamptonem, że życie jest za krótkie, żeby spędzić je na realizacji cudzych wizji. Ojciec ma plany na przyszłość i zamierza się im poświęcić. Sullivan dostatecznie długo decydował o wszystkim w tej rodzinie. Z Harte Investments może sobie zrobić, co chce. Hampton i ja zajmujemy się teraz swoimi sprawami.

W głosie matki brzmiała wielka satysfakcja i determinacja. Oto zupełnie nowe oblicze Elaine, pomyślała Lillian.

- Mówisz o fundacji, którą chcecie założyć? - zapytała.

- Tak. Twój ojciec nie może się już doczekać.

- Rozumiem. Lillian zamrugnęła; napływające łzy zamazywały jej widok na zatokę. Zdaje się, że jesteśmy wielkimi dłużnikami taty. Dzięki niemu Sullivan zostawił nas w spokoju.

- Owszem przyznała Elaine. - Ale nie o to tutaj chodzi. Chcę, żebyś zrozumiała, że Gabe Madison jest świetnym biznesmenem i ma nosa. W jego świecie plotki rozchodzą się lotem błyskawicy. Na pewno zdaje sobie sprawę z sytuacji w Harte Investments. Orientuje się, że firma najprawdopodobniej nie będzie dłużej wyłącznie w rękach naszej rodziny.

- Co z tego ?

- Wie, że korporacja niedługo wejdzie w fuzję, albo zostanie sprzedana. Ale gdyby się z tobą ożenił.

- Przestań. - Lillian ledwo mogła oddychać. - Proszę, mam. Nie mów już nic więcej. Nie sugeruj, że Gabe sypia ze mną, bo myśli, że w ten sposób uda mu się przejąć jedną trzecią Harte Investments. Po drugiej stronie linii zapadło ciężkie milczenie.

- Musiałby zrobić coś więcej, żeby dobrać się do Harte Investments - odezwała się w końcu Elaine. - To znaczy, ożenić się z tobą.

Lillian widziała przez okno, że nadciąga kolejny sztorm. Pod okapem świszczwał wiatr, nad zatoką unosiły się złowieszcze opary mgły, woda przybrała stalowoszarą barwę.

- Spójrz na to z jasnej strony, mam. Gabe nie wspomniał ani słowem o małżeństwie. Poza tym mam podstawy twierdzić, że nie jestem dla niego wymarzoną kandydatką na żonę.

Zmagając się z zalewem niespokojnych myśli, które zawładnęły jej umysłem po rozmowie z matką, postanowiła zrobić herbatę. Zanim zagotowała się woda, Lillian zdołała nabrać trochę dystansu.

Weź się w garść, powiedziała sobie, nalewając do kubka zielonej herbaty. To, co powiedziała matce, było prawdą. Gabe nawet nie napomknął o małżeństwie. Wydawało się, że perspektywa romansu zupełnie go satysfakcjonuje, że to jego jedyny cel. Ale z drugiej strony, w przypadku Gabe'a intuicja zupełnie ją zawiodła. Zwykle niezawodne czujniki błędnie odbierały wysyłane przez niego sygnały. Na przykład aż do wczoraj uważała, że facet zмага się z wypaleniem zawodowym.

Z kubkiem w ręce poszła do pracowni i spojrzała na puste płótno na sztaludze. Przyjechała do Exlipse Bay, żeby malować, ale na razie zdążyła rozpakować farby i pędzle. Owszem, zrobiła kilka szkiców, ale na tym koniec. Obecność Gabe'a okazała się bardzo dekoncentrująca.

Przez chwilę bawiła się ołówkiem, coś gryzmołąc i próbując osiągnąć stan, w którym pojawia się wizja rysunku. Ale nie mogła się skupić, więc zdecydowała się wrócić do kuchni, żeby dolać sobie herbaty. Przechodząc przez salon, zauważyła świecącą się lampkę na automatycznej sekretarce. Przypomniała sobie, że były dwie wiadomości. Odsłuchiwała tylko tę matki.

Zawróciła, żeby odsłuchać drugą.

- Mówi Mitchell Madison. Musimy porozmawiać.

Wspaniale. Tylko tego brakowało. Teraz miała już pewność, że niczego dzisiaj nie namaluje. Szła przez ogród Mitchella Madisonsa i rozglądała się z zaciekawieniem. Odkąd sięgała pamięcią, słyszała opowieści o tym baśniowym zakątku bujnych paproci, egzotycznych ziół i wspaniałych róż. Ogród Mitchella od lat przyćmiewał wszystkie inne w Eclipse Bay. Nawet teraz, w środku zimy, kiedy nic nie kwitło, przypominał raj na ziemi. Ogrodnictwo było pasją Mitchella, a wszyscy dobrze wiedzieli, co to znaczy w przypadku Madisonsa.

Szła żwirową ścieżką między rozłożystymi paprociami i starannie utrzymanymi dywanami kwiatowymi. Ostatnie deszcze uwolniły bogaty zapach ziemi. Na końcu ścieżki stała wielka szklarnia. Lillian widziała cień postaci przemierzający się za matowymi ścianami.

Otworzyła drzwi i weszła do ciepłego, wilgotnego wnętrza. Mitchell w skupieniu pochylał się nad rzędem glinianych donic, stojących na ławce. W jednej ręce trzymał sekator, w drugiej rydel. Kieszenie jego przybrudzonego roboczego fartucha były pełne narzędzi ogrodniczych. Wydawało się, że światła nie widzi poza swoimi roślinkami.

- Odebrałam pańską wiadomość - powiedziała od drzwi.

Mitchell natychmiast uniósł głowę. Zobaczyła jego siwe, szczeciniaste brwi i ostry, jastrzębi nos.

- Witam. Wchodź szybko. Zimno dzisiaj. Weszła dalej, drzwi same za nią się zatrzasnęły.

- Odniosłam wrażenie, że to coś pilnego. Stało się coś?

- Do diabła, oczywiście, że się stało. - Odłożył sekator i rydelek, ściągnął rękawice. Poprosił Sullivan, żeby się tym zajął, ale widzę, że nie zrobił nic, żeby wyprostować sytuację. Będę musiał mu pomóc.

- W czym?

- Po kolei. Myślisz o Gabie poważnie czy tylko chcesz się zabawić? Zdrętwiała. Będzie gorzej, niż się spodziewała. Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz, udusi się tym ciężkim powietrzem. Z wysiłkiem oparła się pokusie, żeby obrócić się na pięcie i uciec.

- Słucham?

- Nie udawaj. Dobrze wiesz, o czym mówię. Jeśli zamierzasz złamać Gabe'owi serce, wolałbym wiedzieć to teraz.

- Ja? Miałabym złamać Gabe'owi serce? - Przepęłnił ją gniew. - Skąd panu to przyszło do głowy?

- Mitchell prychnął.

- Owinęłaś go sobie wokół palca i dobrze o tym wiesz. Pytanie, co dalej?

- To śmieszne. Owszem, widujemy się...

- Widujecie się? Hm. A mi się wydaje, że robicie o wiele więcej. Myśleliście, że nikt nie zauważy, że wymknęliście się na noc do Portland? Cholera, nawet nie staracie się być dyskretni.

- Dobrze pan wie, że nie da się zapanować nad plotkami w Eclipse Bay.

- Kiedy ja byłem w waszym wieku, większość ludzi miała na tyle przyzwoitości, żeby się aż tak nie obnosić.

Złość Mitchella podziałała na nią jak płachta na byka.

- Słyszałam coś innego. Podobno w dawnych, dobrych czasach nieźle pan szalał. Zresztą, zwykle to dzięki Madisonom mieszkańcy Eclipse Bay mają o czym plotkować.

- Czasy się zmieniają. Teraz jest inaczej.

- Może. ale to nie zmienia przeszłości.

- Mówimy o Gabe'em. - Mitchell wziął się pod boki. - Nie jest typowym Madisonem.

- Ludzie ciągle to powtarzają, ale skąd mam wiedzieć, czy to prawda?
- Musisz uwierzyć mi na słowo.
- Uśmiechnęła się chłodno.
- Niby czemu?
- Posłuchaj, rozumiem, dlaczego go nie rozgryźłaś. Gabe jest trochę skomplikowany.
- Trochę skomplikowany. Łagodnie powiedziane.
- Dla mnie najważniejsze, żeby nie cierpiał. Jeśli nie traktujesz go poważnie, chcę, żebyś zakończyła tę bliską znajomość, zanim on się jeszcze bardziej zaangażuje.
- To, że się widujemy, nie znaczy jeszcze, że pański wnuk jest we mnie zakochany - wycedziła przez zęby.
- Gdybyście zabawiali się ze sobą w Portland, to co innego. Nie zwróciłbym na to uwagi. Ale Gabe zostawił Madison Commercial i przyjechał za tobą do Eclipse Bay. To znaczy, że traktuje cię poważnie.
- Błagam. Mówi pan tak, jakby firma była jego żoną, a ja kochanką. Mitchell skinął głową.
- Jak się nad tym zastanowić nie jest to znowu takie dalekie od prawdy.
- Coś panu powiem. Gabe nie zostawił Madison Commercial z mojego powodu. - Rozłożyła ręce. - Po prostu zrobił sobie wakacje. To wszystko.
- Gówno prawda. Przepraszam za wyrażenie. Gabe nie robi sobie wakacji. A już na pewno nie trwających miesiąc. Zostawił firmę, bo stracił dla ciebie głowę. To jedyne wytłumaczenie.
- Bardzo romantyczne, szkoda że nieprawdziwe. Ale inni chętnie panu wyjaśnią, jaki według nich jest rzeczywisty powód jego długich wakacji.
- O czym ty mówisz?
- Nic pan nie słyszał? Niektórzy sądzą, że Gabe chce się ze mną ożenić ze względu na Harte Investments. Mitchell patrzył na nią oszołomiony.
- Czyś ty oszalała, kobieto? Madisonowie nie żenią się dla pieniędzy.
- Może większość z nich tego nie robi. Ale przecież Gabe jest nietypowym Madisonem. Mitchell prychnął.
- Nie aż tak bardzo.
- Wszyscy wiedzą, że dla Gabe'a najważniejsze jest Madison Commercial. To jego dzieło. Przez lata poświęcał się dla tej firmy, walczył o nią, chuchał i dmuchał. Niby czemu miałby pogardzić kimś, dzięki komu jego imperium stałoby się jeszcze większe?
- Gdyby był takim facetem, dawno temu ożeniłby się z Marilyn Thornley. Jej rodzina jest bardzo zamożna. Zmarszczyła czoło.
- Odniosłam wrażenie, że ich związek się rozpadł, bo Marilyn odeszła do Thornleya, a nie dlatego, że Gabe nie chciał się z nią ożenić.
- Do cholery. Naprawdę tego nie rozumiesz? Rozstali się, bo Gabe jasno postawił sprawę, że firma jest dla niego najważniejsza. A Marilyn chciała być na pierwszym miejscu.
- Ja też, proszę pana.
- Jesteś Harte. Rozumiesz, że interesy są najważniejsze.
- Nie. właśnie nie rozumiem.
- Nieprawda. I dobrze wiesz, że Gabe skupił całą swoją uwagę na tobie. A to znaczy, że sprawa jest poważna. Przynajmniej dla niego. A ja chcę wiedzieć, co czujesz do mojego wnuka? Zamierzasz za

niego wyjść?

- Cofnęła się, szukając po omacku klamki.

- Panie Madison, ta dyskusja jest czysto hipotetyczna. Bo nigdy nie poruszaliśmy z Gabe'em tematu małżeństwa.

- Ale wszystko wskazuje na to, że ten temat się pojawi. I, o ile znam Gabe'a, już niedługo. Gdyby marnował czas, nie zaszedłby tak daleko.

- Nie sądzę. Znalazła klamkę i kurczowo zacisnęła na niej palce, żeby nie stracić równowagi. Swego czasu Gabe wyraźnie zazaczył, że nie interesuje go małżeństwo z artystką. To mnie dyskwalifikuje, nie uważa pan?

- Gdzie tam. Jeśli chodzi o miłość, Madisonowie aż tak bardzo nie kierują się logiką.

Musiała natychmiast wyjść. Była bliska wybuchu.

- Coś panu wyjaśnię. Gdyby, powtarzam: gdyby, Gabe kiedykolwiek poruszył temat małżeństwa, będę chciała mieć pewność, że chodzi o mnie samą, że nie jestem zwykłym dodatkiem do jego imperium.

- A jak on ma to udowodnić?

- To już nie mój problem, tylko Gabe'a. Zakładając oczywiście, że ma pan rację, co jest bardzo wątpliwe.

- Cholera, mówisz zupełnie jak Harte. Zawsze żądacie niepodważalnych dowodów w sytuacjach, kiedy udowodnienie czegoś jest praktycznie niemożliwe. Mitchell wycelował w nią palec. - Wiesz, co myślę? Że postanowiłaś się zabawić i tyle. Przyznaj, nie myślisz o nim poważnie.

Otworzyła już drzwi, ale ton jego głosu sprawił, że się zatrzymała. Pan się naprawdę o niego martwi.

- Mam prawo. Jest moim wnukiem, do cholery. Może i nie spisałem się najlepiej, wychowując chłopców po śmierci ich rodziców, ale robiłem, co mogłem, żeby było dobrze. Jestem odpowiedzialny za Gabe'a. Muszę na niego uważać.

Przypatrywała się jego twarzy.

- Gabe myśli, że nie obchodzi pana, że udało mu się z Madison Commercial.

- Oczywiście, że obchodzi ryknął Mitchell. - Jestem dumny, że zbudował wielką firmę. Udowodnił Harte'om i całemu światu, że Madison też może odnieść sukces. Że też umie kierować się rozumem i coś osiągnąć. Że przynależność do tej rodziny nie oznacza, że musisz spieprzyć wszystko, czegokolwiek się dotkniesz.

Na chwilę zapadło ciężkie milczenie.

- A mówił mu to pan kiedyś? - zapytało miękko Lillian. - Bo mi się wydaje, że on potrzebuje tych słów.

Mitchell otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Odwróciła się i wyszła ze szklarni.

Gabe zamoczył przysmak małżowy w sosie chili.

- Słyszałem, że byłaś dziś u Mitchella.

Zaskoczył ją. Opanowała drżenie ręki, ścisnęła mocniej widelec i wbiła go w kopiec sałatki.

- Kto ci powiedział?

Gramy na zwłokę, pomyślał. Ciekawe dlaczego? I w ogóle, co się tutaj działo? Rano, kiedy wracali razem z Portland, czuł się dobrze. Spokojnie. Jakby w końcu opanował sytuację. Powtarzał sobie, że wszystko zostało wyjaśnione. Mieli romans. Oboje co do tego się zgodzili. Trudno o prostsze reguły. Ale teraz, w Eclipse Bay, wszystko na nowo zaczęło się komplikować.

Rozmyślał, a w tle szumiały rozmowy, brzęczały naczynia i sztućce. W Crab Trap było głośno i wesoło. Jak dotychczas była to najlepsza restauracja w Eclipse May z widokiem na zatokę, prawdziwymi obrusami i małymi świeczkami, zatkniętymi w stare butelki po Chianti. Z okazji dnia matki i szkolnych bali zawsze mieli tu komplet gości. To było oczywiste, że zjedzą kolację w Crab Trap.

Może za oczywiste, pomyślał. Ale kiedy kilka minut temu przyszła Marilyn Thornley ze swoją małą siostrą, zajęła duży stolik na końcu sali.

- Spotkałem Bryce'a na stacji benzynowej. - Gabe przeżuł małża. - Od niego te wieści. Zwykle nie wspomina o towarzyskich wizytach. W ogóle niewiele mówi. Pewnie doszedł do wniosku, że to coś ważnego. Lillian zawahała się. palem wzruszyła ramionami.

- Twój dziadek nagrał mi się na sekretarkę, kiedy byliśmy w Portland. Powiedział, że musimy porozmawiać. Pojechałam do niego. Pomyślałam, że w tych okolicznościach wypada tak zrobić.

- Czego chciał?

- Uważa, że bawię się tobą. Że zarzucam na ciebie sieć. Najwyraźniej boi się, że złamię ci serce.

Gabe teatralnie zakrztusił się małżem.

- Tak powiedział? Boi się, że złamiesz mi serce?

- Ummm.

- O, cholera.

- On też dużo klął.

- Trochę krępująca rozmowa.

- Chciał się dowiedzieć, czy mam wobec ciebie poważne zamiary - kontynuowała spokojnie Lillian.

Gabe wziął kolejny przysmak małżowy.

- Co mu powiedziałaś?

- To samo, co mojej matce, kiedy pytała o nas. Sytuacja komplikowała się z minuty na minutę.

- Czyli co?

Podniosła kieliszek z wodą.

- Że nie rozmawialiśmy o małżeństwie i jest mało prawdopodobne, żebyśmy poruszyli ten temat.

- Tak im powiedziałaś?

- Tak. W końcu to prawda.

- A może teraz chcesz o tym porozmawiać? - zapytał. Zaczerwieniła się i szybko rozejrzała, żeby się upewnić, że nikt ich nie słyszał. To nie jest zabawne.

- Wcale nie miało być.

- Gabe, proszę cię. mów ciszej. Mówię cicho. To ty podnosisz głos.

- Nie róbmy sensacji, Miałam ciężki dzień. Przyjechałam tu, żeby pracować. Na razie nic nie zrobiłam, Absolutnie nic.

- Malowanie ci nie idzie? - zapytał.

- Jakie malowanie? Zaczynam myśleć, że będę musiała wrócić do Portland, żeby cokolwiek zrobić.

- Spokojnie. Jesteś spięta.

- Wcale nie - mruknęła.

- Okay, skoro tak twierdzisz, ale sprawiasz wrażenie, jakbyś była. Odłożyła powoli widelec.

- Jeśli według ciebie tak ma wyglądać relaksujący wieczór, to... - Urwała. - Cholera.

- Co? Chodzi o Marilyn? Nie przejmuj się, przyszła ze swoimi współpracownikami, jest zajęta.

Raczej nie będzie nas niepokoić.

- Nie chodzi o Marilyn. Lillian wpatrywała się w drzwi za jego plecami. - Widzę Andersona.
- Flint? Tutaj? - Odwrócił się, podążając za wzrokiem Lillian. I owszem. Anderson Flint właśnie rozmawiał z hostessą. - Kto by się spodziewał? Ledwo go poznałem w tych ubraniach.
- Co on robi w Eclipse Bay ?
- Dla mnie to oczywiste. - Gabe odwrócił się z powrotem. - Przyjechał za tobą.
- Niby po co?
- No, jest pewien powód.
Zmarszczyła brwi.
- Jaki?
- Chce odkupić od ciebie program.
- Och. Zupełnie zapomniałam. Ale mówiłam mu, że nie sprzedaję.
- Pewnie myśli, że zdoła cię przekonać.
- Jeszcze tego mi brakowało.
Gabe odwrócił głowę, żeby znów rzucić okiem na Flinta. W tym momencie Anderson zauważył Lillian. Uśmiechnął się do niej, jakby zobaczył dawno niewidzianego przyjaciela. Ruszył do ich stolika.
- Mówiłem, przyjechał za tobą - wymamrotał Gabe. Lillian zgniotła w ręce serwetkę.
- Nie mogę uwierzyć, że aż tak bardzo zależy Andersonowi na tym programie.
- Dużo dzięki niemu zarobiłaś. To kusząca perspektywa. Ściągnęła ostro brwi.
- Ty naprawdę masz obsesję na punkcie pieniędzy.
- Bzdura, jestem po prostu ostrożny.
- Ostrożny...
- Lillian. Anderson zatrzymał się przy ich stoliku, zanim zdążyła dokończyć zdanie. Nachylił się, zamierzając pocałować ją na powitanie. - Co za miła niespodzianka.
Lillian odwróciła lekko głowę, żeby uniknąć pocałunku.
- Co ty tutaj robisz?
- Przyjechałem na konferencję w Chamberlain College. Dziś po południu. Zatrzymałem się w motelu za miastem. Pamiętam, jak mówiłaś, że spędzisz trochę czasu w Eclipse Bay. Musimy się jakoś umówić, dopóki tu jestem. - Wyciągnął rękę do Gabe'a. - J. Anderson Flint. My się chyba nie znamy.
- Gabe Madison. - Podniósł się powoli i niedbale uściskał dłoń Andersona. - Nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni, ale już się widzieliśmy. Pan zapewne tego nie kojarzy, bo był pan wtedy trochę zajęty.
- Gabe Madison? Ten od Madison Commercial? Niezmiernie miło mi poznać. Jest pan klientem Lillian?
- Właściwie.
- Jesteśmy przyjaciółmi - przerwała mu Lillian. - Oboje czasami przyjeżdżamy do Elipse Bay. Moja siostra wyszła za jego brata. Nasze rodziny znają się od dawna.
- Rozumiem. - Anderson pozostał skupiony na Gabe. - Długo pan tu zabawi?
Tyle, ile będzie trzeba - odparł Gabe.
Nagle przy wejściu do restauracji zrobiło się zamieszanie. Atrakcyjna kobieta wdała się w ożywioną dyskusję z hostessą.
- To Claire Jensen powiedziała zaniepokojona Lillian. - Szefowa sztabu Marilyn. Chyba coś się stało.

Rzeczywiście, Gabe nawet z daleka widział wściekłość na twarzy Claire. Zauważył też, że Marilyn wstała i szybko ruszyła do wejścia. Miała zaciśnięte usta.

- Oho - mruknęła Lillian - Wcale mi się to nie podoba. Mimo wrzawy słychać było podniesiony głos Claire.

- Zejdź mi z drogi - niemal krzyknęła, próbując odepchnąć hostessę.

- Mam tej zdzirze coś do powiedzenia i nie wyjdę stąd, dopóki tego nie zrobię.

Marilyn złapała Claire za rękę.

- Ja się tym zajmę - zwróciła się do hostessy.

- Puszczaj, suko - wrzasnęła Claire. - Zabieraj łapy ode mnie. Pójdiesz siedzieć. Tak się nie robi.

Ale Marilyn konsekwentnie prowadziła Claire do drzwi i po chwili obie zniknęły w ciemnościach deszczowego wieczoru. W restauracji zapanowała cisza jak makiem zasiał. Po pięciu sekundach znów zawrzało: salę wypełnił szum podnieconych rozmów.

- To była Marilyn Thornley? - spytał Anderson z wyraźnym przejęciem.

- Żona tego polityka, który wycofał się z wyborów?

- Niedługo jego była żona. Lillian wpatrywała się w zamknięte drzwi wejściowe. - Coś mi mówi, że moja przyjaciółka nie jest już szefową sztabu: Biedna Claire. Ciekawe, co się stało? Myślałam, że dobrze jej wyszło w nowej pracy.

Wkrótce drzwi się otworzyły i weszła Marilyn, pewnym krokiem, zupełnie spokojna, jakby awantura nie wywarła na niej żadnego wrażenia. Zatrzymała się przy hostessie i coś jej szepnęła. Potem skierowała się do ich stolika. Znacie ją? Znacie Marilyn Thornley? - dopytywał podekscytowany Anderson. Jej rodzina od lat ma tu letni dom - wyjaśniła Lillian. - Ale Gabe zna ją o wiele lepiej niż ja. Gabe spiorunował Lillian wzrokiem. W odpowiedzi posłała mu spojrzenie, które mówiło: „tylko spróbuj mnie uciszyć”. Podeszła Marilyn.

- Przepraszam za tę scenę - powiedziała. - Musiałam dziś zwolnić Claire. Nie przyjęła tego dobrze.

- Rozstania zawsze są stresujące - wtrącił ze współczuciem Anderson.

- Ale muszę przyznać, rozegrała to pani po mistrzowsku. Przejęła pani kontrolę nad sytuacją, nie pozwalając, żeby sprawy zaszły za daleko. I to jest klucz. Całkowita kontrola.

- Ktoś musiał coś zrobić, żeby Claire nie zepsuła wszystkim kolacji. Marilyn uśmiechnęła się i z gracją podała mu rękę. - Marilyn Thornley. Anderson był zachwycony.

- J. Anderson Flint. Przyjechałem na konferencję. Jestem zaszczycony, mogąc panią poznać, pani Thornley.

- Marilyn.

- Tak, oczywiście.

Nieźle się zapowiada, pomyślał Gabe.

- Wiesz już, kto będzie nowym szefem sztabu? - zapytał. Właśnie nad tym myślę odparła Marilyn. - Zamierzam szybko dokonać wyboru, ten problem nie mógł pojawić się w gorszym momencie. Teraz liczy się każda sekunda. Anderson spojrział spod ściągniętych brwi w stronę drzwi.

- Mam nadzieję, że była szefowa sztabu nie przysporzy pani więcej kłopotów. Rozczarowani pracownicy bywają czasami niebezpieczni.

- Jeśli Claire ma trochę oleju w głowie, nie będzie stwarzać problemów powiedziała Marilyn - Bardzo miło było mi pana poznać, Anderson. Znajomi Gabe'a i Lillian zawsze są mile widziani w instytucie. Może pan wpadnie i weźmie ulotki?

- Z chęcią odpowiedział natychmiast Anderson. Marilyn skinęła głową.
 - Cudownie. A teraz zostawię państwa samych. Udanego wieczoru. Odeszła do swojego boksu. Anderson nie odrywał od niej oczu.
 - Robi wrażenie. - Głośno wypuścił powietrze z płuc. - Fascynująca kobieta. Silna. I energiczna. Zdecydowana. Potrzeba nam więcej takich ludzi na państwowych stanowiskach. Lillian spojrzała na Gabe'a. Była rozbawiona.
 - Idealna para - mruknęła cicho. Uśmiechnął się szeroko.
 - Mówisz to jako profesjonalistka?
 - Oczywiście.
- Jeszcze zanim zaczęła się wymigiwać, wiedział, że nie spędzi z nim nocy. Muszę się wyspać - powiedziała, kiedy już wyszli z restauracji. - Chcę jutro wcześniej wstać i zabrać się za pracę. Znowu się zaczyna. To przez te rozmowy z mamą i Mitchellem, prawda? Otworzył drzwi jaguara trochę zbyt gwałtownie. - Namieszali ci w głowie. Wsunęła się do ciemnego samochodu.
- Oni nie mają z tym nic wspólnego. Po prostu potrzebuję spokoju.
 - Jasne.
 - Mówiłam ci już, że od czasu przyjazdu niczego nie namalowałam. Gdybym pojechała dziś do ciebie, do pracy zebrałabym się dopiero jutro w południe albo i później.
 - Rozumiem. Nie chciałbym ci przeszkadzać. Masz teraz taki płodny artystycznie okres. Zamknął drzwi. Znowu trochę zbyt gwałtownie.

Rozdział 13

To tylko firma - powiedział Hampton z drugiej strony słuchawki. - Tak, tylko firma. - Sullivan uznał, że ma już dość tej kłótni i się rozłączył.

Po tylu latach toczenia bojów ze swoim upartym synem powinien być już do tego przyzwyczajony. Zawsze tak się kończyło, ilekroć pojawiał się temat dalszych losów Harte Investments. Hampton zrobił bardzo dużo dla firmy, ale mało go obchodziło, co się z nią stanie w przyszłości. Tak jakby nie miało to znaczenia.

Potrzebował dużo czasu, żeby uświadomić sobie, że dla Hamptona Harte Investments to tylko firma, a kierowanie nią było zwykłą pracą. Wywiązywał się ze swojego zadania nadzwyczaj dobrze, ale mógłby odejść w dowolnej chwili i nawet się za siebie nie obejrzeć.

I właśnie to zamierzał zrobić. Odejść w ciągu dwóch najbliższych lat. Sullivan zaklął pod nosem i sięgnął po laskę. Ciągle nie dowierzał, że po tylu latach ciężkiej pracy nad rozwojem firmy jego syn nie mógł się doczekać przejścia na emeryturę, żeby założyć fundację dobroczynną. Jeśli o niego chodziło, to dobroczynność zaczynała się w domu. Tylko firma.

Do diabła, co się działo ze wszystkimi w tej rodzinie? Czy nie rozumieli, że przedsiębiorstwo Harte Investments było jak dzieło sztuki? Powstało dzięki wizji i wysiłkom, mistrzowsko skalkulowanemu ryzyku i długofalowej strategii. Było jak żywy organizm. Walczyło o przetrwanie w dżungli, gdzie konkurentów, dużych i małych, pożerano żywcem. A teraz Harte Investments zostanie sprzedane lub wchłonięte przez innego potentata. Stuknął mocno laską w chłodną, wyłożoną terakotą podłogę salonu. Ale nie zmniejszyło to jego frustracji. Tylko firma.

Stanął przed przeszkloną ścianą, skąd miał widok na basen. Rachel robiła właśnie ostatnie okrążenie. Patrzył, jak przecinała turkusową tafelę wody, i czuł, jak przechodzi mu złość. Zawsze kiedy widział Rachel, wyraźnie odczuwał łączącą ich więź. Im był starszy, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że

Rachel pomogła mu określić samego siebie. Większość tego, co wiedział o sobie, odkrył podczas wspólnie spędzonych lat.

Wyszedł na patio. Było późne popołudnie. Długie promienie pustynnego słońca zatrzymywały się na ścianach domu; basen znajdował się w przyjemnym cieniu. W oddali ostre szczyty gór odcinały się na tle niewiarygodnie niebieskiego nieba Arizony.

Wyjął dwie butelki wody z małej lodówki, którą zainstalował obok grilla, i usiadł na leżaku. Napił się i czekał, aż Rachel wynurzy się z basenu. Rozmowa z nią zawsze pomagała mu spojrzeć na sprawy z odpowiedniej perspektywy.

Dopłynęła do schodków i wyszła z błyszczącej wody. Patrzył, jak ściągała czepek z krótkich, srebrzystych włosów, i podziwiał jej figurę w czarnobiałym kostiumie kąpielowym. Minęło tyle lat, a ona nadal go pociągała. Była zaledwie pięć lat młodsza od niego, ale w którymś momencie przestała się starzeć. W każdym razie w jego oczach. Będzie jej pragnął aż do śmierci. Później pewnie też. Uśmiechnęła się, idąc w jego stronę.

- Widzę, że rozmowa z Hamptonem nie poszła za dobrze.

- Nie wiem, po kim on taki uparty.

- Na pewno nie po tobie.

Założyła biały szlafrok i usiadła obok Sullivana. Podał jej butelkę z wodą. Napiła się. Przez chwilę w milczeniu patrzyli na oświetlone słońcem góry. Sullivan rozluźniał się.

- Hampton i Elaine myślą, że Gabe będzie chciał się ożenić z Lillian, żeby dobrać się do Harte Investments - powiedział po chwili.

- A ty co myślisz?

- Jeszcze nigdy żaden ze znanych mi Madisonów nie miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby żenić się dla pieniędzy.

- Słuszna uwaga. Ale Gabe nie jest typowym Madisonem. Firma to jego pasja. Zbudował ją, żeby coś udowodnić sobie i wszystkim innym. Jest dla niego tak samo ważna, jak dla ciebie Harte Investments.

- Wiem. - Sullivan skrzywił się. - Żałuję, że żadne z moich wnucząt nie traktuje tak Harte Investments. To wina Hamptona, że nigdy nie interesowali się firmą. Nie chciał, żeby czuli presję, jak on, kiedy dorastał.

- Od razu presję. Po prostu trochę go naprowadziłem, to wszystko.

- Wychowywałeś Hamptona na następcę od dnia jego narodzin. Musiał dowieść, że nie jest takim samym utracjuszem jak syn Mitchella. Hampton przejął firmę, żeby cię zadowolić.

- I co w tym złego? Świetnie się spisał. Nie poszłoby mu tak dobrze, gdyby nie miał do tego talentu.

- Zgadza się, ale on chce go teraz wykorzystać do założenia własnej fundacji. Dość się już poświęcił dla Harte Investments. Dzieciom też odpuścił. Sullivan jęknął.

- Na Lillian i Hannah raczej nie liczyłem. Ale miałem nadzieję, że Nick przejmie ster. Nie pojmuję, dlaczego odszedł, żeby pisać kryminały. Nie rozumiem, jak ktoś tak mądry może tracić czas na pisaninę, skoro mógłby zarządzać potężną firmą.

- Cała trójka realizuje swoje marzenia i tak powinno być. - Rachel poklepała go po ramieniu. - Poza tym przyznaj, że bardzo lubisz powieści Nicka.

Sullivan zastanawiał się przez chwilę.

- Może za kilka lat mały Carson zainteresuje się biznesem - powiedział z nadzieją. - To bystry dzieciak.

- Ale on ma dopiero pięć lat. Miną wieki, zanim zaczniesz myśleć o interesach. Nie możesz oczekiwać,

że Hampton jeszcze z ćwierć wieku będzie trwał na stanowisku, na wypadek gdyby któregoś dnia twój prawnuk zechciał zająć się firmą.

Sullivan położył głowę na oparciu leżaka i myślał nad słowami Rachel.

- Zawsze umiesz przewidzieć, co ktoś zrobi i dlaczego - odezwał się w końcu. Myślisz, że Gabe Madison ożeni się z Lillian, żeby dobrać się do Harte Investments?

Ku jego zaskoczeniu Rachel wahała się przez chwilę. Jej czoło przecięła głęboka zmarszczka, będąca wyrazem zatroskania.

- Zważywszy na okoliczności, zachodzi taka obawa - odparła. - Z tych dwóch chłopców, to na Gabe'a bardziej wpłynęły skutki upadku Harte-Madison. Przez lata jego motywacją była chęć udowodnienia sobie i innym, że może dorównać Harte'om. Co więcej, Harte Investments to dla niego konkurencja.

- Tylko czasami. Przeważnie działamy na różnych polach.

- Chodzi mi o to, że gdyby nadarzyła się okazja przejęcia kontroli nad częścią akcji Harte Investments, Gabe może nie oprzeć się takiej pokusie. Z powodów emocjonalnych i biznesowych.

- Ostateczna zemsta.

- Nie twierdzę, że byłby to świadomy akt zemsty. Raczej wewnętrzny impuls.

- Akurat. - Sullivan pociągnął łyk wody i opuścił butelkę.

- Jeśli chodzi o interesy. Gabe Madison doskonale wie, co robi. Rachel wyciągnęła nogi na leżaku.

- Nie mogę uwierzyć, że ten głupi konflikt nadal wpływa na nasze życie. I Madisonów.

Sullivan milczał.

Rachel przez chwilę wpatrywała się w basen.

- Myślisz czasami o niej? spytała cicho i z namysłem, co znaczyło, że chodzi o coś poważnego.

- O kim?

- O Claudii Banner. Kobiecie, która zniszczyła Harte-Madison i twoją przyjaźń z Mitchellem. Zawsze wyobrażałam sobie, że była piękna.

Przywołał obraz Claudii, jaką znał przed wielu laty. Wspominał chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Była małą, rudowłosą ślicznotką. Ostrą jak brzytwa. Mitch i ja dopiero co wróciliśmy do cywila i marzyliśmy o zbitcu fortuny. Doradziła nam, jak to zrobić. Nie mogliśmy się jej oprzeć.

- Kochałeś Claudię ?

Czuł, że zapuszczają się w niebezpieczne rejony.

- Przez jakiś czas tak mi się wydawało - odparł. - Ale szybko zmieniłem zdanie, kiedy zniknęła z aktywami firmy, skazując Harte-Madison na bankructwo. Niestety, biedny Mitch zupełnie stracił dla niej głowę. Nie chciał uwierzyć, że nas oskubała. Był przekonany, że posłużyłem się Claudią, żeby zagarnąć jego udziały.

- Tak dochodzimy do waszej niesławnej bójki przed Fultonem i początku legendarnego konfliktu.

- Stare dzieje, Rachel. Mitch i ja byliśmy młodzi. A młodzi robią głupie rzeczy.

- Powiedziałeś, że wydawało ci się, że ją kochałeś. Przez jakiś czas.

- To nie wiesz, czy ją kochałeś? Patrzył na góry.

- Teraz wiem na pewno, że cokolwiek czułem do Claudii Banner, nie była to miłość.

- Skąd ta pewność?

- Nie wiedziałem, co to miłość, dopóki nie poznałem ciebie. Szybko odwróciła głowę, wyraźnie zaskoczona. A potem roześmiała się miękko, nachyliła do niego i pocałowała.

- Dobra odpowiedź - mruknęła zmysłowo.

- Dzięki.

Mówił prawdę i Rachei to wiedziała.

Rozdział 14

Zaczął się przygotowywać na spotkanie z nią. Chciał dobrze wypaść. Przeglądał swoją ograniczoną garderobę. Na nieszczęście większość najlepszych koszul i krawatów zostawił w Portland. Nie spodziewał się, że będą mu potrzebne na wybrzeżu. Ale nie był tak zupełnie nieprzygotowany. Jak zawsze. Chciał, żeby to wiedziała.

Po namyśle zdecydował się na jasnoniebieską koszulę pod kolor oczu i włoski sweter, który poszerzał mu ramiona. Spodnie i mokasyny dobrał do swetra. Stał przed lustrem, oceniając efekt końcowy. Coś mu nie pasowało. Ściągnął sweter i wrócił do szafy po krawat i sztruksową marynarkę, która nadawała mu wygląd intelektualisty.

Zadowolony wyszedł z pokoju. Wsiadł do samochodu i pokonał krótki odcinek drogi do Instytutu Studiów Politycznych. Dziesięć minut później stał już przed biurkiem jej sekretarki.

- Ja do pani Thornley - zakomunikował. Sekretarka spojrzała na niego jednocześnie sceptycznym i przepraszającym wzrokiem. Był pan umówiony?

- Nie, ale proszę jej to przekazać. Jestem pewien, że mnie przyjmie. Sekretarka rzuciła okiem na wizytówkę z odręcznym dopiskiem.

Wstała i podeszła do drzwi za biurkiem. Zaczekał, aż weszła do Środka, i przyjrzał się swojemu odbiciu w wypolerowanej, chromowanej tabliczce. Wyprostował się szybko, gdy drzwi się otworzyły.

- Pani Thornley czeka na pana, doktorze Flint.

- Dziękuję.

Wziął głęboki oddech, przygotowując się na ewentualny zawód, jeśli wczoraj odniósł błędne wrażenie. W restauracji wszystko wydarzyło się tak szybko.

Wszedł, zamknął drzwi i spojrzał w oczy swemu przeznaczeniu.

Przyglądała mu się zza biurka. Wyglądała zjawiskowo w dopasowanym, czerwonym żakiecie ze złotymi guzikami i poduszkami na ramionach. Bawiła się wizytówką od niego. Obrzucił gabinet szybkim spojrzeniem, oceniając wyposażenie. Wszystko najwyższej jakości. Marilyn miała styl i klasę. Gabinet był przestronny, z widokiem na miasto i zatokę. Z tyłu znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Lekko uchylone. W przyległym pomieszczeniu ktoś był. Pewnie asystentka albo doradca. Usłyszał odgłos wsuwanej szuflady.

- Proszę, niech pan siada, doktorze Flint - powiedziała Marilyn pewnym i opanowanym głosem.

Zrobiło mu się gorąco. Nie mylił się. Była wspaniała. Prawdziwa bogini. Usiadł na jednym z czarnych skórzanych foteli. Marilyn wstała i zniknęła uchylone drzwi. Uśmiechnęła się do niego. Absolutnie wspaniała.

- Musimy porozmawiać zaczął Anderson.

- Odkryłam że miała romans z Trevorem - powiedziała Marilyn. Stanęła przy oknie i patrzyła na zatokę. - Nie mogła być dłużej szefem mojego sztabu. Tak, byłoby niezręcznie przyznała Lillian. Spojrzała na zegarek. Znowu traciła czas. Wcale nie miała ochoty na spotkanie z Marilyn Thornley. Dlaczego ja? - zastanawiała się. Nie była zachwycona perspektywą zostania powiernicą Marilyn.

- Wiedziałam, że ma kogoś na boku, ale zakładałam, że to zwykła dziewczyna, pracująca przy kampanii. Nikt, kto by się liczył. Nie byłby to pierwszy raz. Trevor i ja mieliśmy umowę. Ignorowałam jego niewierność. Marilyn wyglądała dzisiaj inaczej. Nie była już zimnokrwistym generałem, dowodzącym armią. Była zdradzoną kobietą. Zranioną. Urażoną. Wściekłą.- Słyszałam o takich umowach - mruknęła z wyraźną niechęcią Lillian.

Marilyn wyduła wargi.

- Co za dezaprobata!

- Cóż, nie chciałam, żeby taka umowa obowiązywała w moim małżeństwie.

- Lepiej, żeby ktoś ożenił się z tobą ze względu na Harte Investments?

Lillian z trudem się opanowała.

- Nie wiem, dlaczego mi to mówisz. To nie twoja sprawa. W ogóle po co przyjechałaś.

- Nie rozumiesz? Musiałam z kimś pogadać. Nie mam tu nikogo, komu mogłabym zaufać. W każdym razie nie w tak osobistej sprawie. Przecież nie będę rozmawiać z pracownikami. Uznaliby mnie za słabą i emocjonalną.

- Marilyn wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Przepraszam za tę uwagę o Harte Investments. To było nie na miejscu.

Lillian oparła się o blat.

- Daj spokój. Nie ty pierwsza doszłaś do wniosku, że Gabe interesuje się mną tylko ze względu na firmę.

- Mimo to nie powinnam. Jeszcze raz przepraszam. Jestem strasznie rozbita. Do głowy by mi nie przyszło, że Trevor może sypiać z Claire.

- Jesteś pewna, że to z nią miał romans? - zapytała Lillian.

- Tak.

- Jak się dowiedziałas?

- Przypadkiem. Zbierałam stare rachunki dla swojego adwokata. Natknęłam się na wykaz zwrotu kosztów, gdzie figurowało nazwisko Claire. Na początku oczywiście myślałam, że chodzi o wydatki związane z kampanią. Ale coś mi kazało się tym bliżej zainteresować. Okazało się, że przez kilka miesięcy z pieniędzy przeznaczonych na kampanię opłacali tanie hoteliki. Za każdym razem Trevor i Claire meldowali się jako państwo Smith. Wierzysz? Banalne.

- Jeszcze jak. Szukałam dalej i odkryłam więcej niecodziennych rachunków. Widzisz, jeśli chodzi o seks, Trevor miał małe dziwactwa. Najwyraźniej Claire potrafiła zaspokoić te potrzeby.

- Rozumiem. Co powiedziała, kiedy doprowadziłaś do konfrontacji?

Zaprzeczyła. Twierdziła, że Trevor był z inną kobietą.

- Ale ty nie uwierzyłaś.

- Nie. - Marilyn potarła skronie ze znużeniem, zupełnie do niej niepodobnym. W tej sytuacji musiałyśmy się pożegnać. A ty byś zrobiła inaczej?

- Nie, gdybym miała absolutną pewność.

Nie trzeba było otwierać drzwi, pomyślała Lillian. A przynajmniej mogła nie zapraszać Marilyn do środka. Ale nie umiała zignorować bólu w jej oczach. To się nazywa solidarność jajników.

- Nie powinnam tu przyjeżdżać - odezwała się po chwili Marilyn. - Nie mam prawa zawracać i i głowy. Ale kiedy się dziś obudziłam, tak bardzo potrzebowałam rozmowy z kimś zaufanym. A nas coś ze sobą łączy.

- Co takiego?

- Gabe.

- Gabe? Chyba trochę przesadzasz. Marilyn podparła się ręką o parapet.

- Nie martw się. Nie będę próbowała ci go odebrać.

- Wielkie dzięki, to bardzo miło z twojej strony.

- Jestem pragmatyczką powiedziała Marilyn. - Nie tracę czasu, kiedy wiem, że i tak nic nie zdziałam. Nie musisz mnie traktować jak rywalkę.

- Właściwie, wcale tak o tobie nie myślałam.

- Kiedy zobaczyłam was wtedy razem w starym domu Buckleyów, od razu zrozumiałam, że muszę go sobie odpuścić. Masz coś, czego ja nie mam. Lillian się spięła.

- Myślisz o Harte Investments?

- Nie chodzi tylko o firmę - odparła Marilyn. - Sama też jesteś dla niego atrakcyjna.

- Rety. Naprawdę tak uważasz? Marilyn westchnęła.

- Zdradzić ci mały sekret? Kiedyś za rozpad mojego związku z Gabe'em winiłam twoją rodzinę i Harte Investments.

Lillian znieruchomiała.

-Aha.

- Pewnie w głębi duszy zawsze będę się zastanawiać, jak to wszystko by się potoczyło, gdyby Gabe nie miał hopla na punkcie rywalizacji z Harte'ami. Kto wie? Może bylibyśmy razem?

- Dobra, wystarczy już tej solidarności, pomyślała Lillian.

- Wybacz, Marilyn, mam dzisiaj dużo roboty.

Marilyn spojrzała na nią przeproszającym wzrokiem.

- Tak, oczywiście. Przepraszam, nie zamierzałam odgrzebywać tej starej historii.

- Naprawdę?

- Tak. Po prostu chciałam z kimś pogadać. - Marilyn zamrugała i przetarła palcem oko.

- Ostatnio nie jest mi najłatwiej. Rozwód, początek kampanii... A teraz jeszcze się dowiaduję, że szefowa mojego sztabu miała romans z Trevorem.

Lillian się wahała.

- Żyłaś w dużym stresie, Może powinnaś odpocząć? Wyjechać w miłe miejsce i trochę się zrelaksować, zanim wybory ruszą pełną parą.

- Nie mogę sobie na to pozwolić. Nie teraz. - Marilyn wyprostowała się. - Zamierzam dotrzeć do Waszyngtonu, więc powinnam nauczyć się żyć ze stresem, .Jeszcze raz. przepraszam za najście.

- Nie ma problemu. Lillian minęła ją i otworzyła drzwi wyjściowe.

- Powodzenia w wyborach, Marilyn.

- Dzięki. - Marilyn wyszła na ganek, potem ruszyła do samochodu. Zanim wsiadła, dorzuciła: Mam nadzieję, że będziesz na mnie głosować.

Lillian patrzyła, jak Marilyn odjeżdża. Powoli zamknęła drzwi. Zabrała ze stołu kubek i poszła do swojej tymczasowej pracowni. Spojrzała na puste płótno na sztaludze.

Przez długi czas popijała małymi łykami herbatę, wpatrując się w pustkę i próbując oderwać od rzeczywistości. Ale nic z tego. W głowie ciągle kołatały się jej różne myśli.

Zdradzić ci mały sekret? Kiedyś za rozpad mojego związku z Gabe'em winiłam twoją rodzinę i Harte Investments” - przypomniała sobie słowa Lillian.

Dała za wygraną. Poszła do kuchni. Zapakowała do papierowej torby ser i wino.

Potem w sypialni otworzyła szufladę, wybrała koszulę nocną i zmianę bielizny, i włożyła do

skórzanej torby. W łazience szybko spakowała najpotrzebniejsze kosmetyki. Kosmetyczkę też wrzuciła do torby. Z torbą w jednej ręce zbiegła na parter, zabrała papierową torebkę, pelerynę i wyszła.

Na zewnątrz powitał ją wiatr wyjący przy akompaniamencie ryku fal. Zmierzchało się. Poszła urwiskiem do starego domu Buckleyów. Gabe otworzył drzwi od kuchni, kiedy uniosła rękę, żeby zapukać. Spojrzał na torbę.

- Czyżbyś wpadła na dłużej?

- Pomyślałam, że zostanę na noc, jeśli nie masz nic przeciwko. Uśmiechnął się leniwie, jego szmaragdowe oczy były ciepłe i seksowne.

- Ależ skąd - powiedział. Weszła do kuchni.

- Nie chciałbym zapeszyć, ale zżera mnie ciekawość. - Wziął bagaż i torbę z jedzeniem. - Skąd ta zmiana?

- Marilyn mnie odwiedziła. Wiesz, moja mama i twój dziadek trują mi głowę. Trudno. Są rodziną. Pewnie mają prawo. Ale że twoja była dziewczyna robi to samo. to już przesada.

Zamknął drzwi i spojrzał na Lillian.

- Marilyn złożyła ci wizytę?

- Mhmm. Po co?

- Między innymi chciała pogadać o tym, dlaczego wylała Claire.

- No, dlaczego?

- Uważa, że Claire miała romans z Trevorem.

- Uważa, czy wie na pewno?

- No dobra, jest o tym przekonana. - Rozpięła pelerynę. - W każdym razie nie ufa już Claire, więc się jej pozbyła.

Gabe wziął od Lillian pelerynę, która mieniła się w kuchennym świetle.

- W czym problem? zapytał. - Przecież rozwodzi się z Trevorem. Zresztą w ich związku nie chodziło o miłość, tylko politykę. Co ją obchodzi romans Trevora?

- Zastanów się, Gabe. Chciałbyś współpracować z kochankiem swojej żony? Dotarło.

- Zniszczyłbym sukinsyna.

Powiedział to tak pewnie i stanowczo, że aż ją zatkało.

- No właśnie.

- Ale ja nie jestem politykiem - ciągnął.

- Oni są inni. Przypomniała sobie poruszenie Marilyn.

- No, nie wiem, czy aż tak bardzo się od nas różnią.

- Marilyn mówiła coś o mnie?

- O, tak.

- Co?

- To, co wszyscy. Że być może jesteś mną zainteresowany ze względu na Harte Investments. Patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- I ta uwaga sprawiła, że postanowiłaś tu przyjść?

- Przyszłam, bo miałam ochotę.

- Cieszę się. Ale zdajesz sobie sprawę, że do domu wrócisz pewnie dopiero jutro w południe?

- I tak się nie spodziewam. że pobyt w Eclipse Bay będzie najbardziej twórczym okresem mojego życia.

Rozdział 15

Tak jak ostrzegał Gabe, do domu wróciła dopiero po lunchu. Odprowadził ją pod same drzwi, gdzie pożegnali się długim, namiętym pocałunkiem.

- Wiem, że musisz dziś malować powiedział. - Ale może potem wpadnę na kolację? Tym razem ja przyniosę wino.

- Zgoda. - Uśmiechnęła się i weszła do domu.

Zszedł z ganku, machając na pożegnanie. Patrzyła przez szybę w drzwiach, jak Gabe idzie urwiskiem z rękami w kieszeniach kurtki, a jego ciemne włosy rozwiewa wiatr. Znad zatoki nadciągał szkwał.

Wspomnienie nocy sprawiało, że czuła w środku przyjemne ciepło. Ale też napięcie. I to spore. Bała się, że w końcu dojdzie do zwania i nastąpi wybuch. Nie wybiegaj myślą za daleko. Żyj dniem dzisiejszym. Tylko tyle możesz na razie zrobić. Tylko na tyle się odważysz, nakazywała sobie w myślach. Gabe miał rację. Musiała zabrać się za malowanie.

Odwiesiła pelerynę do szafy i ruszyła do pracowni. W połowie drogi, w salonie, zauważyła migającą lampkę na sekretarce. Odsłuchiwała wiadomość. Zdziwiła się, słysząc ochryply szept Arizony Snow.

- ...Śledzi mnie szpieg z instytutu. Cwany drań. Trzyma się na dystans, żebym nie mogła go zobaczyć, ale gdzieś tam jest i mnie obserwuje. Czuję jego obecność. Na pewno widział, jak robię rekonesans, i wie, że znam przeznaczenie nowego skrzydła.

Dzwonię do ciebie, bo nie znam numeru Gabe'a. Jestem na nabrzeżu. Nie: mogę zostawić ci wszystkich szczegółów, bo to za duże ryzyko. Potem wracam do siebie. Tam się zabunkruję. Muszę porozmawiać z tobą i Gabe'em. Słyszałam, że żyjecie ze sobą, więc domyślam się, że jeśli odbierzesz tę wiadomość, to mu przekażesz. Moja kwatery to jedyne bezpieczne miejsce w tym sektorze. Będę wdzięczna, jeśli szybko się stawicie, bo zaczyna robić się gorąco. Muszę lecieć. Na razie.

Lillian usłyszała jeszcze stłumiony trzask odkładanej słuchawki. Arizona rozłączyła się w pośpiechu.

Lillian patrzyła wilkiem na sekretarkę.

- Przyjechałam tu, bo chciałam w miłej, spokojnej atmosferze zająć się malowaniem mruknęła w przestrzeń.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer komórki Gabe'a. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Madison.

Słyszała przytłumiony świst wiatru i szum wody. Pewnie był w połowie drogi do siebie.

- Robisz coś ważnego? - zapytała.

- Zależy, co przez to rozumiesz. Zastanawiam się nad propozycją małej, dopiero startującej firmy, która potrzebuje pięciu milionów. Według ciebie to coś ważnego?

- Pięć milionów? Błahostka.

- Dziękuję za fachową opinię.

- Prześlę ci rachunek. - Patrzyła na pociemniałe niebo nad zatoką. Szkwał był coraz bliżej. Masz ochotę na coś bardziej ekscytującego?

- To znaczy?

- Pomógłbyś obronić Eclipse Bay przed szpiegami z instytutu?

- Ma to jakiś związek z zamrożonymi kosmitami?

- Zapewne.

- Cóż, w końcu co to jest te pięć milionów? Już dochodzę do domu. Wezmę samochód i przyjadę po ciebie.

Szkwał uderzył akurat, kiedy Gabe zwolnił i skręcił w krętą, zrytą koleinami leśną drogę, prowadzącą do kryjówki Arizony. Wolał nie myśleć, jak taka jazda wpłynie na podwozie

samochodu.

- Mówiła, że ktoś ją śledzi? - zapytał. Tak.

- Podała opis?

- Nie. - Lillian patrzyła na wąską drogę. - Powiedziała tylko, że to szpieg z instytutu. Ale wydawała się zdenerwowana, i właśnie to mnie zaniepokoiło, Gabe. Znam ją od lat. Zawsze była opanowana i wszystkie afery miała pod kontrolą. Nigdy nie widziałam jej wystraszonej, czy choćby niespokojnej.

- Może to kolejny etap. Jeszcze bardziej wsiąkła w swój wymyślony świat.

- Myślisz, że się jej pogorszyło?

- Niewykluczone.

Lillian skrzyżowała ręce nu piersi. Im bliżej byli domu Arizony, tym większe czuła napięcie i zdenerwowanie.

- Uspokój się, oboje wiemy, że tak naprawdę nic się nie dzieje - powiedział.

- Martwię się jej stanem. Zastanawiam się, czy przez tych Heraldów nie popadła w jeszcze większy obłąd.

- Jeśli na dobre jej odbiło, to rzeczywiście będziemy mieć poważny problem - przyznał. Wątpię, żeby udało nam się namówić Arizonę na wizytę u psychiatry.

- Co ty, nie ma mowy, żeby zaufała psychiatrze, nie wspominając już o zakładzie zamkniętym.

- Pewnie nie. - Pokonał kolejny ostry zakręt. - Niewiele możesz zrobić, żeby pomóc komuś, kto tego nie chce. No chyba że zaczyna stanowić realne zagrożenie dla siebie i innych.

- Nie dajmy się ponieść emocjom. Mówimy, jakby A.Z. na dobre odjechała. A na razie nie marny na to dowodów. I nie zapominaj, że nigdy nikogo nie skrzywdziła.

- Odkąd ją znamy.

Spojrzała pytająco.

- To znaczy?

Nikt nie zna jej przeszłości, zanim pojawiła się w Eclipse Bay. Pamiętam, jak jeszcze w szkole zapytałem o nią Mitchella. Wzruszył ramionami i powiedział, że dopóki nie wyrządza nikomu szkody, ma prawo do prywatności.

- I w tym rzecz. Nikt nie słyszał, żeby kogoś skrzywdziła.

Ostatni ostry zakręt i zobaczyli dom. Wiatr i deszcz targały gałęziami drzew górującymi nad chatą sponiewieraną przez kapryśną pogodę. Na polance stał stary pikap Arizony. Gabe zatrzymał się za pikapem i wyłączył silnik.

- No, to wiemy przynajmniej, że jest w domu, a nie szwenda się wokół instytutu z aparatem. - Odpiął pas i sięgnął na tylne siedzenie po pelerynę Lillian i swoją kurtkę.

- Mówiła coś, że się na razie zabunkruje. - Lillian włożyła pelerynę i naciągnęła kaptur na głowę. - To też do niej niepodobne. Przeważnie jest w terenie i robi rozpoznanie. Chce, żeby źli chłopcy wiedzieli, że ma ich na oku.

- Racja.

Wciągnął kurtkę, schował głowę pod kapturem i otworzył drzwi. Kiedy wysiadł, zaatakował go porywisty wiatr i zacinający deszcz. Lillian nie czekała, aż Gabe obejdzie samochód i otworzy jej drzwi. Szybko wysiadła. Pobiegli na ganek. Gabe przeskakiwał po dwa stopnie naraz i po chwili zatrzymał się przed frontowymi drzwiami. Lillian, w ociekającej deszczem pelerynie, stanęła za nim. Nie było dzwonka. Gabe zastukał mosiężną kołatką w kształcie orła. Drzwi się nie otworzyły. Nic dziwnego, pomyślał. Żaden paranoik nie otworzy bez wcześniejszego sprawdzenia osoby po drugiej

stronie.

- A.Z., to my, Gabe i Lillian - zawołał. Nadal nic. Spojrzał na najbliższe okno. Było zasłonięte metalowymi żaluzjami.

- Odebrałam twoją wiadomość. - Lillian zastukała pięścią w szybę.

- Wszystko w porządku?

Deszcz smagał ściany domu. Gabe widział, że Lillian jest coraz bardziej przejęta. Musiał przyznać, że głucha cisza po drugiej stronie i jego zaczynała niepokoić. Nacisnął klamkę ciężkich, wzmocnionych drzwi. Nie ustąpiły. Mam nadzieję, że nic się jej nie stało - wymamrotała Lillian. A co się miało stać?

- Nie jest już młoda. Mogła dostać ataku serca albo wylew. A może się przewróciła.

- Uspokój się. Pewnie zabarykadowała się w swoim centrum dowodzenia i nas nie słyszy.

- Chodź, spróbujemy od tyłu. - Lillian zeszła z ganku i zniknęła za rogiem.

Czekaj, nie tak szybko, do cholery. - Ruszył za nią. - Mamy do czynienia z kobietą która na każdym kroku węszy spisek, zapomniałaś? To paranoiczka. Nie wiadomo, czy nie zastawiła tu pułapek.

- Chcę znaleźć okno bez żaluzji. Nie rozumiem, dlaczego...

Urwała, zachłystując się powietrzem. On też już zauważył skulone ciało na ganku.

- A.Z. - Lillian rzuciła się naprzód. - Boże, Gabe. Tego się obawiałam. Miała atak serca.

Uklękła obok Arizony, sprawdzając jej puls na szyi.

Zobaczył krew na drewnianej podłodze obok głowy A.Z. i zrobiło mu się zimno. To nie zawał. W ręce trzymał komórkę. Nie pamiętał, kiedy wyciągnął ją z kieszeni. Wybrał numer pogotowia. Masz rację. Chyba przewróciła się i uderzyła w głowę. - Przesunęła palce na szyi Arizony. Oddycha, ale jest nieprzytomna. Rana nie wygląda źle.

- Lepiej jej nie ruszajmy.

Lillian skinęła głową. Ściągnęła pelerynę i przykryła Arizonę, a on szybko opisał sytuację dyżurnemu.

Kiedy się rozłączył, zauważył przewrócony stojak na kwiaty z kutego żelaza. Lillian cały czas pochylała się nad Arizoną.

- A.Z.? To ja, Lillian. Już jedźcie pomoc. Wszystko będzie dobrze. Słyszysz mnie?

Arizona jęknęła. Zamrugęła, a potem spod przymkniętych powiek spojrzała na Lillian.

- Co się stało? - wymamrotała.

- Wygląda na to, że się pośliznęłaś i przewróciłaś. Jak się czujesz?

- Źle.

- Wcale się nie dziwię - powiedziała łagodnie Lillian. - Ale wyjdiesz z tego.

Arizona zamknęła oczy i coś mruknęła.

- Co mówisz? - zapytała Lillian.

- Że się nie przewróciłam.

- Pewnie niewiele pamiętasz. To normalne przy takich urazach. Nie martw się.

Arizona poruszyła zniecierpliwioną ręką, ale nic więcej nie powiedziała.

Lillian podniosła głowę i napotkała wzrok Gabe'a. Zmarszczyła brwi.

- Co?

- Też myślę, że się nie przewróciła - wyjaśnił.

- Co ty wygadujesz?

- Coś mi się wydaje, że oberwała tym stojakiem w głowę.

Rozdział 16

Stali na korytarzu przed salą Arizony. Słysząc było pikanie aparatury, monitory mrugały. Wszędzie było pełno nowoczesnych urządzeń. Szpital miejski w Exlipse Bay nie zostawał w tyle, pomyślał Gabe.

Wszyscy z plakietkami i stetoskopami wyglądali na kompetentnych, za angażowanych w pracę i zabieganych. Pozostali mieli zmartwione miny. On i Lillian też się do nich zaliczali.

Sean Valentine, miejscowy szef policji, plasował się pośrodku. Też kompetentny i zaangażowany, ale bynajmniej nie czuł się w szpitalu jak ryba w wodzie. Głębokie zmarszczki okalały jego oczy i usta. Ale nie z powodu Arizony. Sean zawsze wyglądał, jakby spodziewał się najgorszego. Pewnie tak mu zostało po służbie w wielkim mieście Seattle.

- Przypuszczam, że nakryła jakiegoś sukinsyna, jak próbował się włamać do jej domu powiedział Sean. - Gość chwycił pierwszy ciężki przedmiot, jaki miał pod ręką, i przyłożył kobiecie w głowę.

- To nie mógł być nikt miejscowy - stwierdził Gabe. - Wszyscy w mieście wiedzą, że trzeba by czołgu albo co najmniej tarana, żeby włamać się do domu Arizony. Prawdziwe wyzwanie.

- No właśnie, a może dzieciaki z Chamberlain wypity kilka piw i postanowiły się zabawić? - zastanawiał się Sean.

- Albo zabłąkał się tam jakiś włóczęga i nie zdawał sobie sprawy, że dom Arizony to mała forteca.

- Mógł ją zabić warknęła ze złością Lillian.

Na szczęście dla A.Z. nie wymierzył dokładnie - powiedział Sean. - Ma wstrząśnienie mózgu, ale wyjdzie z tego. Zatrzymają ją przez kilka dni w szpitalu na obserwacji.

Lillian spojrzała na policjanta.

- Uważasz, że nie powinniśmy traktować poważnie wiadomości, którą zostawiła mi na sekretarce?

Ja wszystko traktuję poważnie - odparł Sean. - Taki już jestem. Ale | wiadomość od A.Z. nie daje mi dużego pola do popisu. W jej świecie szpiegów instytutu są wszędzie i wszyscy próbują ją wyśledzić.

- No, owszem - przyznała niechętnie Lillian.

- I jeszcze coś - dodał Sean. - Trochę brak w tym logiki. Nawet przy założeniu, że instytut rzeczywiście zatrudnia szpiegów, żaden z nich nie musiałby śledzić Arizony. Bo w mieście wszyscy wiedzą, gdzie ona mieszka.

- Wystarczy popytać w Fultonie czy wypożyczalni wideo.

- Logika Arizony zawsze pozostawiała wiele do życzenia - skomentował Gabe.

Sean uśmiechnął się kwaśno.

- Właśnie.

Lillian spojrzała na nich poważnie.

- Tak, A.Z. żyje we własnym świecie, ale w granicach tego świata jej rozumowanie jest bardzo spójne i logiczne.

Sean patrzył na Lillian nieufnie.

- To znaczy?

- Coś ją wystraszyło do tego stopnia, że zdecydowała się zadzwonić i zostawić wiadomość. W przeciwnym razie nie podjęłaby takiego ryzyka. Jest przekonana, że wszystkie telefony są na podsłuchu. Z tego powodu sama nie ma telefonu.

A kto nagrywa te rozmowy? Szpiegów z instytutu? - zapytał spokojnie Sean. Lillian westchnęła.

- Tak.

- Myślę, że zostanę przy swojej teorii z włamywaczem. Ale jeśli zdołacie wyciągnąć od Arizony bardziej użyteczne informacje, dajcie znać.

Pożegnał ich skinieniem głowy i odszedł. Lillian patrzyła za komendantem, dopóki nie zniknął za rogiem. Potem spojrzała na Gabe'a.

- Pewnie ma rację, co? - zapytała.

- Chyba tak. - Gabe zawahał się. - Włamanie jest bardziej prawdopodobne niż atak szpiega. W tego typu sprawach gliniarze wolą prostsze rozwiązania i przeważnie się nie mylą.

- Wiem. I nie zapominajmy, że chodzi tu o A.Z. Cokolwiek się zdarzyło, nie może być aż tak skomplikowane, jak ona twierdzi. Chodź, zobaczymy, co z Arizoną.

- Jasne.

Podeszli do drzwi sali. Arizona leżała wyciągnięta na łóżku. Dziwnie wyglądała w szpitalnej koszuli, pomyślał Gabe. Do tej pory widywał ją wyłącznie w moro i ciężkich butach. Zawsze energiczna, pełna życia. Wydawało się, że czas dla niej się zatrzymał. Ale teraz, kiedy leżała bezradna, a spod bandaży wystawały siwe włosy, widać było, że ma już swoje lata. Ogarnął go gniew. Co za sukinyń mógłby skrzywdzić starszą kobietę?

Pielęgniarka z plakietką z imieniem Jason mierzył A.Z. tętno. Kiedy skończył, opuścił delikatnie jej rękę na łóżko i skierował się do wyjścia. Arizona poruszyła się niespokojnie, ale nie otworzyła oczu.

- Państwo z rodziny? - zapytał cicho pielęgniarka.

- Nie. - Lillian patrzyła na łóżko. - Ona chyba nie ma żadnej rodziny. Jesteśmy przyjaciółmi. Co z nią?

- Jest obolała, skołowana i zdezorientowana, jak to po urazie głowy.

- Ludziom, którzy dobrze jej nie znają, A.Z. zawsze wydaje się skołowana i zdezorientowana - powiedział Gabe. - Coś mówiła?

Jason pokręcił głową.

- Cały czas powtarza tylko VPX 5000.

- To jej nowy aparat fotograficzny - wyjaśniła Lillian. - Była z niego bardzo dumna.

Arizona znowu się poruszyła. Przekręciła głowę. Miała twarz ściągniętą bólem, policzki lekko zapadnięte.

- Lillian? Gabe?

- Jesteśmy, A.Z. Lillian podeszła do łóżka i poklepała kobietę po ręce. - Nic się nie martw. Wyjdiesz z tego.

- Mój aparat wymamrotała słabym głosem jak stuletnia staruszka. - Nie mogę go znaleźć.

- Spokojnie - szepnęła łagodnie Lillian. - Znajdziesz go, kiedy cię wypuszczą do domu.

- Nie. - Sękaty palec Arizony zacisnęły się na dłoni Lillian. - Powiedzieli, że ktoś mnie uderzył. Pewnie szpieg z instytutu. Założę się, że zabrał aparat. Muszę odzyskać swój sprzęt. Nie może zostać w ich rękach. Tam są zdjęcia nowego skrzydła. Oni je zniszczą.

Gabe pochylił się nad łóżkiem.

- Posłuchaj. A .Z. Pojedziemy teraz z Lillian do ciebie i poszukamy aparatu. Może zostawiłaś w samochodzie.

- Musicie znaleźć. Drgały jej zamknięte powieki. - Oni nie mogą go dostać w swoje łapy.

Godzinę później, po bezowocnym przeszukaniu starego pikapa Arizony, Gabe zamknął drzwi od strony kierowcy i schował kluczyki. Patrzył, jak Lillian schodzi z ganku.

- Znalazłeś? - zapytała.

- Nie. A ty?

- Sprawdziłam każdy centymetr kwadratowy wokół domu. Przeszukałam nawet klomby. Niestety nic. Zniknął. Jak my jej to powiemy? Była taka szczęśliwa, że ma VPX 5000.

- Ten, kto ją napadł, mógł go zwinąć. Domyślił się, że dostanie za niego trochę kasy.

- Na pewno nie będzie próbował go opylić nigdzie w okolicy - stwierdziła Lillian. - Za duże ryzyko.

- Pogrzebię w Internecie powiedział Gabe. - Może znajde Arizonie taki sam.

- Lillian uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Byłoby wspaniale.

Lubił, kiedy się tak do niego uśmiechała. Bardzo lubił. Ten uśmiech działał na niego motywująco.

Grabę zaczerpnął powietrza i wziął Lillian za rękę.

- Robi się późno - powiedział. - Niedługo się ściemni. Chodź, pojedziemy do ciebie i zrobimy kolację.

Kolejny szkwał uderzył, kiedy Gabe zatrzymał samochód przed domem. Lillian naciągnęła kaptur, wyskoczyła na zewnątrz i popędziła na ganek. Pod drzwiami otrząsnęła pelerynę z wody i wyjęła z torebki klucze.

Po wejściu do środka ruszyła prosto do przebieralni, żeby odwiesić pelerynę do wyschnięcia. Gabe poszedł za Lillian, ściągając kurtkę. Nie zapaliła światła w przebieralni, bo wystarczająco dobrze widać było rząd metalowych kołków na ubrania.

- Nie wiem jak ty, ale ja konam z głodu - zawołała.

- Otworzę wino. Ty zrobisz sałatkę.

- Umowa stoi. - Zawiało wilgocią i chłodem. Wzdrygnęła się. - Ale tu lodówka. Może najpierw rozpalisz w kominku, a potem... - Urwała nagle.

- Co się stało?

- Nic dziwnego, że tak zimno. Tylne drzwi są otwarte. Jak to się stało, że ich nie zamknęłam. Och, ostatnio jestem strasznie rozkojarzona.

Ruszyła zamknąć drzwi.

- Zaczekaj - powiedział Gabe.

Zapalił światło i wyminął Lillian. Potem nachylił się lekko, żeby dokładnie obejrzeć framugę.

- Cholera.

- Co? - Przynęła się. - Stało się coś?

- Owszem, wygląda na to, że nie tylko A.Z. zaliczyła dziś wizytę włamywacza.

Lillian nie odpowiedziała. Wpatrywała się z niedowierzaniem w głębokie wyżłobienia w drewnie i zepsuty zamek.

- Jesteś pewna, że nic nie zginęło? - zapytał po raz drugi Sean Valentini

- Z tego co wiem, to nie - odparła Lillian.

Gabe stał oparty o kuchenny blat i przyglądał się jej, kiedy odpowiada na pytania Seana. Siedziała zgarbiona na wysokim stołku.

- Obeszłam cały dom - dodała. - Wszystko wydaje się w porządku. Oczywiście, nie trzymamy tu nic cennego, bo czasami dom stoi pusty całymi tygodniami, a nawet miesiącami. Nic takiego tu nie ma. Stary telewizor, sekretarka. Kilka rzeczy przywiozłam z Portland. Przybory malarskie, trochę ubrań.

Czyli nic, na czym włamywacz mógłby się wyjątkowo wzbogacił - Sean spojrzał w swoje zapiski. - I jeszcze coś. Włamywacze zwykle zostawiają po sobie bajzel. Może coś go spłoszyło, zanim zaczął szuka łupów. Przejeżdżający samochód. Spacerowicz z psem. Gabe zastanawiał się nad tym chwilę.

- Myślisz, że mógł poszukać wtedy innego, bardziej odizolowanego domu, żeby się włamać? I trafił do A.Z.?

- I znowu został zaskoczony. Przyłożył Arizonie i zwał z jej wypasionym aparatem. Sean skinął głową. - Tobo miało sens. - Zamknął notatnik.

- Rozpytywałem ludzi, czy ktoś nie widział jakiegoś obcego, który by węszył, ale nikt niczego nie zauważył. Nadal na liście podejrzanych są dzieciaki z colleg'u i włóczędzy. Największa nadzieja w aparacie. Jeśli gdzieś się pojawi, złapię trop.

- A jeśli nie. to koniec, prawda? - zapytała ponuro Lillian. - Słyszałam że tego typu sprawy często zostają nierozwiązane.

- Owszem, w dużych miastach. Ale w małych miasteczkach, gdzie masz zawężony krąg podejrzanych, jest trochę inaczej. - Schował notatnik do kieszeni kurtki i ruszył do drzwi. - Dam znać, jeśli czegoś się dowiem A ty napraw drzwi.

Lillian skinęła głową.

- Poproszę Willisów, żeby się tym jutro zajęli.

Sean przystanął w progu.

- Zwykle po włamaniu ludzie są zestresowani. - Spojrzał znacząco na Gabe'a. - Dobrze, że nie zostaniesz sama.

Lillian spojrzała na komisarza wzrokiem bazyliuszka, ale nie powiedziała ani słowa.

Sean nie ruszał się. Gabe się nie dziwił. Spojrzenie bazyliuszka mogło zamienić człowieka w kamień.

- Chciałem powiedzieć, że z Madisonem będziesz czuła się bezpieczniej - wymamrotał Sean. - Spokojniej... i w ogóle.

Lillian nadal wpatrywała się w niego złowrogo.

- Racja, nie zostawię tej sprawy. - Gabe odszedł od blatu. - Odprowadzę cię, Sean.

Nie wiedział, dlaczego czuł się w obowiązku pomóc komisarzowi. Pewnie męska solidarność. A może nie podobała mu się reakcja Lillian na założenie policjanta, że sypiała z Madisonem. Była rozdrażniona. A to z kolei rozdrażniło Gabe'a.

Sean odchrząknął.

- Jasne. Muszę lecieć. Obowiązki wzywają.

Gabe przeszedł kuchnię kilkoma krokami i otworzył Seanowi drzwi. Wyszedł z nim na ganek. Stali w żółtym świetle lampy i patrzyli na zaparkowane przed domem samochody.

- Chyba powiedziałem trochę za dużo - odezwał się Sean.

- Trochę.

- Przepraszam.

Gabe oparł się ręką o poręcz.

- Nie, żeby to była wielka tajemnica...

- W Eclipse Bay tego typu sprawy trudno utrzymać w sekrecie. Zwłaszcza kiedy dotyczą Harte'ów i Madisonów.

- Wiem - przyznał Gabe.

Sean nad czymś myślał.

- Ludzie w mieście gadają, że zamierzasz się ożenić z Lillian, żeby przejąć Harte Investments.

- Plotki bywają niebezpieczne.

- Nie musisz mi tego mówić. W pracy staram się ich unikać, ale czasami nie wychodzi. Sean zapiął kurtkę i szedł po schodach. - Będziemy w kontakcie.

Dużo później Gabe'a obudziło bębnienie deszczu o dach. Od razu się zorientował, że Lillian nie śpi.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Tak.

- Więc co się dzieje?

- Sama nie wiem.
- Tego się obawiałem. Podparł się na łokciu i wyciągnął do Lillian rękę. - Jesteś zła, bo Sean Valentine domyślił się, że ze sobą sypiamy. Skarbie, to małe miasto, a my się wcale nie kryliśmy.
- Nie o to chodzi. - Splotła dłonie na karku, wpatrując się w ciemność.
- Nie jestem zbyt uszczęśliwiona, że Sean i wszyscy inni myślą, że chcesz mnie usidlić, bo masz ochotę na jedną trzecią Harte Investments...
- Komisarz nic takiego nie powiedział. Po prostu zauważył, że mamy romans.
- Wystarczy, że pomyślał. Ale właściwie to już zaczynam się przyzwyczajać, że ludzie tak myślą.
- Czyli to nie przez plotki nie możesz spać?
- Nie.
- Chodzi o włamanie?
- Tak.

Położył dłoń na jej miękkim, ciepłym brzuchu.

- Nie ma się czym przejmować. Zabezpieczyłem drzwi drutem. Poza tym, jeśli nie znalazł tu nic cennego, to mało prawdopodobne, żeby wrócił, prawda?
- Wiem.
- W jej głosie nadal brzmiał niepokój. Gabe'owi nie podobało się to.
- Co cię jeszcze martwi?
- Coś podobnego przydarzyło mi się w Portland. Znieruchomiał.
- Włamanie?
- To było wtedy, kiedy pojechaliśmy na bankiet. Odniosłam wrażenie, że miałam w mieszkaniu nieproszonego gościa.
- Usiadł szybko.
- Do diabła, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Zgłosiłaś to na policję?
- Nie. Nie znalazłam żadnych dowodów. Drzwi nie zostały otworzone siłą jak teraz. Nic nie zginęło.
- Jesteś pewna?
- Tak. Doszłam do wniosku, że był u mnie ktoś z firmy sprzątajacej. Zadzwoiłam do nich i okazało się, że miałam rację. Nie nanieśli zmian w grafiku, Ale na lustrze w szafie była dziwna smuga i...

- I?

- Po tym co stało się dzisiaj, nie mogę przestać o tym myśleć.
- Pamiętaj o prostych rozwiązaniach. Pewnie ktoś ze sprzątaczy zamazał lustro. Zdarza się. Skoro nie było śladów włamania ani nic nie zginęło, możemy przyjąć, że nie ma to żadnego związku z dzisiejszym incydentem.
- Pewnie tak. Po prostu ostatnie wydarzenia trochę mnie rozstroiły. A do tego nie idzie mi malowanie.

Położył się i przyciągnął Lillian do siebie. Przytuliła się do niego. Gładził ją delikatnie, zsuwając rękę wzdłuż kręgosłupa, rozkoszując się ciepłem i zmysłowymi krągłościami jej ciała.

- Potrzebna ci inspiracja - szepnął.
- Racja. - Objęła go. - Niestety, nie tak łatwo ją znaleźć.

Dłoń Gabe'a wznowiła wędrówkę po jej ciele. Lillian zadrżała. Zachwycony, ułożył ją na plecach, a sam położył się na niej.

- Masz szczęście, że jestem gotów poświęcić się dla sztuki.

Rozdział 17

Następnego dnia, tuż przed południem, Lillian stała w drzwiach przebieralni, obserwując Gabe'a i braci Willisów przy pracy. Skupili się wokół rozwalonego zamka z poważnymi minami i coś między sobą szeptali. Jakie to typowo męskie, pomyślała. Wszyscy faceci reagowali tak samo na różne usterki.

- Wygląda mi to na robotę amatora. - Torrance Willis pochylał się, żeby lepiej przyjrzeć się zniszczonej framudze. - Profesjonalista bez trudu poradziłby sobie ze starym zamkiem. Nie zostawiłby ani jednej ryski. Co myślisz. Walt?

Walter też się nachylił.

- Masz rację. Amatorszczyzna.

Lillian ukryła uśmiech. Willisowie byli bliźniakami, ale różnili się jak ogień i woda. zarówno pod względem zachowania, jak i wyglądu. Walter, ogolony na zero, starannie ubrany, oszczędny, precyzyjny w ruchach, zawsze przypominał jej małego, wydajnego robota. Z kolei Torrance był prawdziwym niechlujem. Długie, potargane włosy nosił zebrane w koński ogon, a ubrania miał upstrzone plamami oleju, farby, smaru i prawdopodobnie sosem do pizzy.

- Sean Valentine też tak uważa. - Gabe przyglądał się uszkodzeniom.

- Choć to niewiele wnosi.

- Jeśli ten włamywacz jest tym samym szczurem, który napadł Arizoneę, to pewnie już dawno go tu nie ma - powiedział Walter. - Byłby skończonym idiotą, gdyby się teraz kręcił w okolicy.

- Ale i tak trzeba założyć solidny zamek - skwitował Gabe. - Lillian nie może zostać na jeszcze jedną noc z zepsutymi drzwiami.

- Nie ma problemu. - Torrance w zamyśleniu drapał wytatuowanego węża, wystającego spod rękawa uświnionej koszuli. - Po drodze wstąpiliśmy do żelaznego i kupiliśmy, co potrzeba. Zaraz wszystko naprawimy.

Walter wyjął narzędzia z błyszczącej, metalowej skrzynki.

- Szybko się uwiniemy. Możemy jeszcze zająć się framugą. Wypełnimy odpryski i zamalujemy.

- Byłoby super - powiedziała Lillian, - Jestem wam bardzo wdzięczna. Wiem, ile macie roboty w Dreamscape.

- Rafe i Hannah pierwsi by nas tu przysłali odparł Walter. - Ale fakt. nie pozwalają, żebyśmy się nudzili.

- Racja - przyznał Torrance. Słychać było zgrzyt metalu, kiedy zabrał się za usuwanie zepsutego zamka. - Nawet nie próbowaliśmy załatwić sobie roboty przy nowym skrzydle instytutu. Wiedzieliśmy, że czasowo nie damy rady.

- Ale i tak nas nie zapraszali. - Walter wyjął nowy zamek z opakowania.

- Teraz rządzi tam Perry Decatur. Jeśli tylko może. to nie współpracuje z miejscowymi. Dał jasno do zrozumienia, że woli sprowadzić specjalistów spoza miasta. Stwierdził, że są bardziej konkurencyjni.

- Kasa, kasa, kasa - prychnął Torrance. Ludzie nie mają teraz szacunku dla dobrych rzemieślników.

- Czyli co? Zupełnie nic wam nie skapnęło? - dopytywał Gabe.

- Nie. - Walter przypasował nowy zamek. - Ale od czasu do czasu łapiemy tam chałturę. Część zatrudnionych w instytucie to miejscowi. Znają nas. Dzwonią, kiedy jest problem z kanalizacją albo

zepsuje się podgrzewacz wody. Ci wspaniali specjaliści spoza miasta nie są zainteresowani drobnicą.

- No właśnie, Claire Jensen wspominała, że przetkaliście jej toaletę - wtrąciła się Lillian.

- Owszem. - Walter i Torrance spojrzeli znacząco po sobie. Obaj dziwnie się uśmiechali.

- Co w tym śmiesznego? - zapytał Gabe.

- Nic, nic. - Torrance zabrał się za wiercenie. Po prostu, kiedy byliśmy w jej łazience, nie mogliśmy nie zauważyć pod umywalką pigułek antykoncepcyjnych i prezerwatyw.

Lillian zmarszczyła brwi.

- Trochę nieładnie tak węszyć. Walter lekko się zaczerwienił.

- Masz rację. Nie powinniśmy o tym mówić.

- A czemu nie? - obruszył się Torrance. - To nie nowość. Claire zawsze prowadziła bogate życie towarzyskie, że tak powiem. Pamiętasz, jak kiedyś kręciła z Larrym Fultonem?

- Pewnie - przyznał Walter. - Zamykali się w dostawczym vanie jego ojca i dokazywali jak króliki.

Lillian się obruszyła.

- Z Larrym Fultonem? Ale on jest żonaty.

- To było, zanim ożenił się z Sheilą Groves i przejął sklep po ojcu - wyjaśnił Walter. - Kiedy jeszcze chodził do college'u. Zgadza się. Torrance?

- Tak. Ale z tego co słyszę, Claire nie zmieniła się od tamtej pory...

- Dosyć - przerwał im Gabe.

Powiedział to spokojnie, ale Walter i Torrance natychmiast zmienili temat. Lillian uśmiechnęła się do siebie. Cokolwiek by mówić o Madisonach, w sprawach damsko-męskich starali się zachować dyskrecję. Najwyraźniej nie słuchali też, jak o kobietach plotkują inni mężczyźni. Ta staroświecka rycerskość była bardzo ujmująca.

Następnego ranka Arizona zwołała naradę w swojej mgliście oświetlonej sali szpitalnej. W bandażach na głowie wyglądała zupełnie jak ranna, bohaterska wojowniczką. W jej oczach błyszczało zdecydowanie, czyli dochodziła do siebie. Lillian ulżyło, że Arizona wyglądała już o wiele lepiej. Pół godziny wcześniej właśnie kończyli z Gabe'em śniadanie, kiedy zadzwonił telefon. A.Z. wzywała ich do siebie.

Oprócz nich przybył tylko Photon z piekarni. Stał w kącie, spokojny i milczący, jak zwykle w dziwnych szatach i biżuterii. Jego wygolona czaszka połyskiwała na zielono w świetle pobliskiego monitora. Wygląda trochę jak kosmita, uznała Lillian.

- Moim zdaniem, to było tak - zaczęła Arizona. Szpieg z instytutu siadł mi na ogonie, bo przyuważał, jak patrolują okolicę. Trzy razy w tygodniu fotografuję cały sektor, instytut sprawdzam oczywiście codziennie. Pewnie sfotografowałam coś ważnego, co chcą utrzymać w tajemnicy. Kiedy nadarzyła się okazja, zaatakował mnie i zabrał aparat.

- Nie martw się, A.Z. - uspokoił ją Gabe. - Będziesz miała nowy sprzęt i zanim się obejrzysz, wrócisz do pracy.

- Nie chodzi o aparat - odparła Arizona. Skoro już mamy pewność, że coś się dzieje, musimy dostać się do środka. Zabrzmiało to groźnie.

- Do środka czego? - spytała ostrożnie Lillian.

- Nowego skrzydła, oczywiście. Posłuchajcie. Arizona zniżyła głos.

- Nie mamy wyboru. Musimy na własne oczy zobaczyć, co się tam dzieje.

- Ja myślę, że to już się stało.

Lillian zrobiło się zimno.

- Nie, niemożliwe, nie zdążyliby...

- Prawdopodobnie przywieźli ich wtedy razem z wyposażeniem - mówiła dalej Arizona.

- W takim razie trzeba szukać dużej chłodni w nowym skrzydle - wymamrotał Photon.

- Właśnie. - Arizona poprawiła się na poduszkach, spojrzała na drzwi i znowu zniżyła głos do ochryplego szeptu. Skinęła na nich ręką. - Chodźcie tu bliżej. Na korytarzu mogą być szpiegzy instytutu przebrani za pielęgniarzy czy salowych.

Lillian stłumiła westchnienie i posłusznie nachyliła się nad łóżkiem. Gabe i Photon zrobili to samo.

- Wiadomo, że ani mnie, ani nikogo z Heraldów nie wpuszczą do instytutu. Nie ma szans. - Arizona spojrzała znacząco na Lillian i Gabe'a.

- Czyli zostajecie wy.

Lillian zacisnęła palce na poręczu łóżka.

- Aleja i Gabe nie mamy odpowiedniego przygotowania, żeby się tego podjąć.

- Nie martw się, udzielę wam przed akcją kilku wskazówek.

- Jak dostaniemy się do środka? - zapytał Gabe wyraźnie zainteresowany.

Lillian rozpaczliwie próbowała pozyskać jego uwagę, ale udawał, że tego nie widzi.

- Idealną okazją będzie impreza organizowana przez Liderów Jutra - powiedziała Arizona. - Nazywacie się, jak nazywacie, więc z zaproszeniami nie powinno być żadnego problemu. Perry Decatur stanie na głowie, żebyście tylko wzięli udział. Oboje jesteście potencjalnymi ofiarodawcami.

Photon skinął poważnie głową.

- Doskonały plan.

- Może się udać - przyznał Gabe.
- Ale nowe skrzydło nie będzie jeszcze otwarte. Lillian próbowała być głosem rozsądku. - Nie dostaniemy się tam.
- Bez przesady - zaproponował Gabe. - Wszyscy będą pochłonięci bankietem, a my możemy się wymknąć i zobaczyć, co słychać w nowej części.
- W takim razie ustalone. - Arizona uniosła kciuk. Idziecie na bankiet.
- A co z aparatem? - zapytała szybko Lillian. Ja nie mam, Gabe chyba też nie.
- Możemy kupić jednorazówkę. Sprzedają tego mnóstwo na nabrzeżu - podsunął usłużnie Gabe.
- Nie, te gadzety są do niczego - stwierdziła Arizona. Weźmiecie mój stary VPX 4000. To dobry sprzęt. Nie ma bajerów, jak 5000, ale da radę. Pamiętajcie, potrzebujemy niezbitych dowodów, że w nowym skrzydle składują zamrożonych kosmitów.

Rozdział 19

Gabe nie mógł skupić się na pracy. W końcu dał za wygraną. Zamknął laptop, złapał kurtkę i ruszył na plażę. Szedł przez długi czas, próbując zanalizować pokręcony sen, który obudził go w środku nocy. Były w nim zepsute zamki i szczerzący się Willisowie. Nie całkiem koszmar, ale też nic przyjemnego. Stał nad brzegiem wody i przyglądał się walczącej z wiatrem mewie. Zwykle nie przywiązywał wagi do snów. Nie wierzył we wróżby lub los zapisany w gwiazdach.

Ale ufał swoim przeczuciom. I zawsze dobrze na tym wychodził w interesach. Dziś od rana nie dawało mu spokoju coś, co Flint powiedział w restauracji. „Rozczarowani pracownicy bywają czasami niebezpieczni”. Te słowa w połączeniu ze snem wywołały w nim niepokój. A jeśli pierwsze, intuicyjne spostrzeżenie Lillian było słuszne? Jeśli włamanie do domu jej rodziców nie miało nic wspólnego z tym, co przydarzyło się Arizonie? Jeśli rzeczywiście ktoś był w mieszkaniu w Portland?

Właśnie miała mieszać farby, kiedy usłyszała pukanie do drzwi frontowych. Z rezygnacją odłożyła szpachelkę. Naprawdę była naiwna, sądząc, że uda się jej dzisiaj coś zrobić. Otworzyła niechętnie. Za drzwiami stał Gabe, opierając się ręką o framugę. Nigdzie nie widziała jego samochodu. Włosy miał potargane przez wiatr i trochę wilgotne, bo w powietrzu unosiła się mgła.

- Musimy porozmawiać. - Wszedł do środka i ściągnął brązowo-czarną wiatrówkę. Ponury, poważny wyraz jego twarzy skutecznie powstrzymał Lillian od komentarza, że znowu musi się oderwać od malowania.

- Coś się stało? - zapytała.

- Myślałem o tym, co Flint powiedział odnośnie do Claire. Wzięła od niego kurtkę.

- Czyli?

- Że rozczarowani pracownicy mogą być niebezpieczni.

- Podobnie jak niezadowoleni faceci twoich klientek.

Wpatrywała się w Gabe'a, ściskając w ręce kurtkę.

- Mówisz o Campbellu Witley?

- Właśnie. - Zniknął w kuchni. - Masz kawę? Powiesiła kurtkę na wieszaku i szybko poszła za Gabe'em.

- Co masz na myśli? - Patrzyła, jak Gabe nalewa wodę do ekspresu.

- Że Witley mógł się tu włamać?

Otworzył puszkę z kawą.

- I to by tłumaczyło, co zaszło w twoim mieszkaniu.

- Przyjmując, że coś rzeczywiście zaszło.

- Tak. - Skinął głową. Wzdrygnęła się.

- Ale to by znaczyło, że Witley jest maniakiem.

- Wiem. - Nasypał kawę i włączył ekspres. - Nie chcę cię straszyć. Sean Valentine miał podstawy zakładać, że ten, kto napadł na Arizonę, nie był stąd, i najpierw próbował włamać się do ciebie. Ale istnieje nikłe prawdopodobieństwo, że te dwie sprawy się ze sobą łączą. Co z kolei oznacza, że wczorajsze włamanie może mieć związek z najściem w Portland.

- To by wyjaśniało, dlaczego nic nie zginęło. Maniak raczej nie chce niczego zwinąć.

Podszedł i ujął twarz Lillian.

- Sprawdzimy Witleya - powiedział. - Dowiemy się, gdzie był wczoraj, kiedy doszło do włamania. Przekonamy się, czy ma alibi. Jeśli okaże się czysty, wrócimy do teorii Seana o przypadkowym włamywaczu.

Przełknęła ciężko ślinę.

- Nie przyszło mi do głowy, że mogę być śledzona przez maniaka.

- Mnie też nie, dopiero teraz, kiedy przypomniałem sobie, co mówił Flint.

- Poproszę Nellę Townsend, żeby sprawdziła, czy Witley ma alibi. Zawsze dostarczała mi informacji na temat klientów.

- Świetnie. Zadzwoń do niej. A ja pogadam z Valentine'em. Z tego co wiem, maniacy potrafią być bardzo sprytni. Przebiegli. Ciężko takim udowodnić, że robią coś sprzecznego z prawem.

Przygryzła wargę.

- Wiem.

- Chcę się z nim spotkać.

- Co?

- Zamierzam osobiście zadać Witleyowi kilka pytań - ciągnął Gabe.

- Nie. - Ogarnęła ją panika. - Nie możesz.

- Spokojnie, skarbie. Nieraz miałem do czynienia z podejrzanymi typami. I wiem, kiedy ktoś mnie okłamuje.

- Oszalałeś? - krzyknęła. - Ani się waż zbliżyć do Witleya. A jeśli naprawdę jest maniakiem? Może być bardzo niebezpieczny.

Z początku był zaskoczony, ale potem ucieszył się.

- Martwisz się o mnie?

- Oczywiście. Bez urazy, Gabe, ale nie jest to najmądrzejszy pomysł.

- Po prostu pojedę do Portland i spotkam się z facetem. Bez obaw, nie sędzę, żeby mi coś groziło z jego strony. Maniacy mają obsesję na punkcie swoich ofiar. Inni ludzie ich nie obchodzą.

- Słuchaj, nie pozwolę, żebyś jechał sam. Skoro się tak upierasz, to pojedę z tobą.

- Nie - powiedział stanowczo. - Wykluczone.

- Witley to kawał chłopaka. Był w wojsku. Pracuje na budowie. Rozumiesz?

- Myślisz, że może rozgnieść mnie na miazgę? No pięknie. Masz mnie za mięczaka?

- To nie ma nic do rzeczy - warknęła. - Nie chcę, żebyś z mojego powodu ryzykował. Mówię poważnie. Nie pojedziesz sam i koniec.

Zastanawiał się przez chwilę.

- A jeśli wezmę ze sobą wsparcie? Zaskoczył ją.

- Wsparcie? - powtórzyła powoli.
- To mój znajomy. Był w wojsku. Jakiś czas pracował na budowie.
- Znam go?
- Tak.
- Możesz mi jeszcze raz wyjaśnić, dlaczego musimy jechać do Portland, żeby spotkać się z tym Witleyem? - powiedział Mitchell, zapinając pas.
- Długa historia. - Gabe założył ciemne okulary i przekręcił kluczyk w stacyjce.
- Istnieje prawdopodobieństwo, że Witley to maniak, który prześladowuje Lillian. Detektyw sprawdzi, co Witley porabiał w ostatnich dniach, ale ja chcę jeszcze osobiście porozmawiać z facetem. Lillian uparła się, że nie mogę jechać sam, a ja nie chciałem zabrać jej ze sobą. Ty jesteś kompromisem.
- A niech mnie - powiedział wesoło Mitchell. Nieźle się zapowiada. Jest szansa na bijatykę?
- Pewnie nie. Ale nie trać nadziei.

Rozdział 20

Wpatrywała się w puste płótno. Szansa, że spłynie na nią natchnienie, była teraz jeszcze mniejsza niż przed przyjściem Gabe'a. Mogła myśleć tylko o tym, że teraz on i Mitchell są w drodze do Portland, żeby spotkać się z Witleyem. Usłyszała telefon. Poszła do salonu odebrać.

- Lillian? Tu Nella. Dostałam twoją wiadomość. Co tam?
- Dzięki, że dzwonicz. - Usiadła na oparciu sofy. - Mam mały problem.
- Pamiętasz, jak prosiłam, żebyś dowiedziała się czegoś o Witleyju?
- Jasne. - Nella urwała na chwilę. - Coś się stało?
- Może tak. Może nie. Proszę, dowiedz się, czy w ciągu ostatnich dwóch dni wyjeżdżał z miasta.
- Nie ma problemu. Co się dzieje, Lii?
- Właściwie nie wiem. - Streściła szybko sytuację.
- Zaraz się tym zajmę - powiedziała Nella. Uważaj na siebie, dobrze? Zachowania maniackalne nasilają się z czasem.
- To znaczy?
- Maniacy stają się coraz bardziej niebezpieczni. To postępujący proces. Proszę, pozamykaj wszystkie okna i drzwi na zamki. I nie otwieraj, dopóki nie wróci ten twój znajomy albo ja nie wyjaśnię sytuacji. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę coś miała.
- Dzięki.

Lillian rozłączyła się, odłożyła słuchawkę i wróciła do pracowni. Puste płótno równie dobrze mogło znajdować się w innej galaktyce. Albo w dowolnym miejscu, do którego nie było jej dziś po drodze. Przed domem zatrzymał się mały czerwony samochód. Akurat miała nalać sobie herbaty, już czwartej tego popołudnia. Podeszła do okna i zobaczyła, jak zza kierownicy wysiada Claire Jensen w granatowej bluzce i dzinsach. Claire weszła na ganek. Świetnie, pomyślała Lillian. Kolejne najście. Odstawiła kubek i poszła otworzyć drzwi.

- Cześć. - Claire wyglądała, jakby nie spała za wiele w ostatnim czasie. Głos też miała zmęczony.
- Możemy porozmawiać? Poświęcisz mi trochę czasu?
- Znowu odezwała się solidarność jajników. Czy tak już będzie zawsze?
- Jasne. Wejdz. - Lillian przytrzymała otwarte drzwi. Właśnie zaparzyłam herbatę. Napijesz się?
- Chętnie. Dzięki.

Claire weszła i zdjęła płaszcz.

- Chodź do kuchni - powiedziała Lillian.

- Pewnie wiesz, że Marilyn mnie wylała.

- Tak.

- Cóż, to jeszcze nie koniec świata. - Claire położyła ręce na stole i spojrzała w okno. - Szefowie sztabów często obrywają. Tak to już jest.

- Na pewno znajdziesz inną pracę.

- Pewnie. Coś się trafi. Nie to mnie martwi. Tylko awantura w Crab Trap. Wszyscy o tym mówią. Jeszcze nigdy nie byłam tak zażenowana. A najgorsze, że pretensje mogą mieć wyłącznie do siebie.

Lillian wyjęła z szafki jeszcze jedną filiżankę.

- Za kilka dni sprawa przycichnie.

- Nie wiem, co mnie podkuśiło, żeby pojechać za Marilyn do restauracji. Byłam tak wściekła, że nie myślałam logicznie. Oskarżyła mnie o romans z Trevorem, wyobrażasz sobie?

Lillian naląła herbatę.

- Rozumiem, że nie miałas.

- Żartujesz? Podziwiałam Trevora jako polityka, ale to wszystko. Jestem profesjonalistką. Nie śpiam ze współpracownikami.

Lillian postawiła przed nią filiżankę.

- Słuszne podejście, zwłaszcza biorąc pod uwagę charakter twojej pracy.

- Żebyś wiedziała. - Claire podmuchała na herbatę. - Poza tym chodzą słuchy, że Trevor lubi przebierać się w damską bieliznę i szpilki. A to mnie nie kręci.

- Jasne. Mnie też nie. Co teraz zrobisz?

- Za kilka dni jadę do Seattle. Tam się rozejrzę. Mam trochę znajomości. No dobrze, ale nie przyjechałam, żeby marudzić o sobie. No, może trochę.

- To po co przyjechałaś?

Claire odstawiła filiżankę.

- Marilyn zawsze chciała mieć wszystko pod kontrolą. Taka lekka paranoja. Nie przejmowałam się tym, bo w sumie tego oczekujesz od silnego kandydata. Ale po tych absurdalnych oskarżeniach, że jakoby coś mnie łączyło z Trevorem, zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem jej się nie pogorszyło. A jeśli tak, to powinnaś uważać.

- Ja? A niby na co?

- Zauważyłam, że bardzo ją interesuje twój związek z Gabe'em Madisonem. Może dlatego, że Marilyn właśnie się rozwodzi. Ale myślę, że chodzi o coś więcej.

Zadzwonił telefon. Lillian rzuciła się odebrać, żeby przypadkiem Nella nie nagrała się na sekretarkę. Usłyszała stłumiony warkot silnika samochodu.

- Halo?

- Witley wyjechał. Nie ma go w domu - zakomunikował spokojnie Gabe. Może nawet za spokojnie. - Powiedział znajomym, że wyjeżdża na wakacje. Od kilku dni nikt go nie widział. Nella już coś wie?

- Nie. - Lillian kurczowo ścisnęła słuchawkę. - Gdzie jesteście?

- Wracamy do Eclipse Bay. Dochodzi czwarta, powinniśmy być na siódmą.

- Zaczekam na was z kolacją.

- Posłuchaj, to nie jest dobry pomysł, żebyś siedziała tam sama. Nie wiemy, gdzie jest Witley ani co robi.

- Daj spokój, nic mi nie będzie. Poza tym nie jestem sama. Przyszła Claire Jensen.
 - W tle usłyszała pomruki. Mitchell mówił coś do Gabe'a.
 - Mitchell chce, żeby Bryce ci potowarzyszył, dopóki nie wrócimy - przekazał Gabe.
 - Naprawdę nie ma potrzeby. - Lillian spojrzała na zegarek. - Słuchaj, nasiedziałam się już w domu i chcę wyjść. Muszę kupić coś na kolację. Wyjdę zaraz po Claire. Zrobię zakupy, a potem wpadnę do szpitala odwiedzić A.Z. Zadzwoń, kiedy dojedziecie. Spotkamy się u mnie.
 - Wahał się.
 - W porządku. Ale nie chodź sama po plaży, dobrze?
 - Myślałam, że nie chciałeś mnie straszyć.
 - Zmieniłem zdanie. Doszedłem do wniosku, że jeśli się wystraszysz, będziesz uważać.
 - Nie martw się. Nie zamierzam nigdzie się szwendać.
 - Dobrze. Do zobaczenia.
- Lillian odłożyła słuchawkę.
- Claire patrzyła na nią pytającym wzrokiem.
- Coś nie tak?
 - Sama nie wiem. Ostatnio było kilka dziwnych zdarzeń. Ktoś się tu włamał, kiedy byłam u Gabe'a.
- Claire zmarszczyła brwi i powoli opuściła filiżankę.
- Zginęło coś?
 - Nie. Sean Valentine przypuszcza, że zrobił to ten sam typ, który próbował włamać się do Arizony.
 - Słyszałam. Całe miasto o tym mówi. Podobno był to ktoś obcy.
 - Ale jest jeszcze coś. Możliwe, że do mojego mieszkania w Portland też było włamanie. I też nic nie zginęło. Gabe doszedł do wniosku, że sprawcą może być Witley.
 - Kto to?
 - Były facet mojej klientki.
 - Po co miałyby się włamywać do twojego mieszkania i tutaj?
 - Widzisz, on wini mnie za to, że rozpadł się ich związek.
 - Bo znalazłaś jej kogoś?
 - Właśnie.
 - Aha. To maniak?
 - Być może. Ale mam nadzieję, że nie. Znajomy zawsze mi powtarzał, że bawiąc się w swatkę, narażam się na proces. Ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że spotka mnie coś takiego.
 - Politycy często padają ofiarą maniaków. Zawsze bierzemy taką możliwość pod uwagę i staramy się zapewnić kandydatowi odpowiednią ochronę. Ale muszę przyznać, nigdy nie podejrzewałam, że w twojej pracy też może istnieć ten problem.
 - W mojej byłej pracy.
- Claire wypuściła głośno powietrze.
- A myślałam, że tylko ja mam problemy.
 - Życie swatki jest pełne niespodzianek.
 - Widzę. - Claire wstała. - Ale przynajmniej możesz liczyć na pomoc Gabe'a Madisona.
 - No tak, owszem.
 - Zbieram się. Masz ważniejsze sprawy na głowie niż przeżywanie ze mną awantury w Crab Trap. Obiecuj, że będziesz uważać.
 - Nie martw się, będę. - Lillian wstała i wyszła za Claire na korytarz. Wyjęła z szafy jej płaszcz. -

Ale zdaje się, że chciałaś mi coś powiedzieć.

- Co? A, tak. - Claire naciągnęła płaszcz. Ale to nic takiego.

- O co chodzi?

- O Marilyn. Nie jestem psychiatrą ale uważam ją za lekką paranoiczkę. Weź pod uwagę, że to zdeteminowana kobieta, kora zawsze dostaje to, co chce. Po prostu powinnaś na nią uważać.

- Ale dlaczego?

- Bo masz coś, czego ona chce - odparła Claire.

- Niby co?

- Gabe'a Madisona.

- Cholera. - Mitchell patrzył, jak Gabe się rozłącza. Widzę, że mamy problem.

- Możliwe. Nie podoba mi się, że Witley zniknął.

Mitchell przyglądał mu się przez chwilę. Widział już u niego to skupienie i determinację. Gabe miał wtedy dwanaście lat i odrabiał lekcje przy kuchennym stole. Nic się nie zmieniło, pomyślał Mitchell. Gabe nie był typowym Madisonem. Ale nie aż tak bardzo różnił się od reszty.

- Nie chodziło mi o Witleya - powiedział Mitchell. To się jakoś załatwi. Miałem na myśli tę sytuację między tobą a Lillian.

- Jaką sytuację?

- Wpadłeś po uszy i z każdą chwilą pogrążasz się coraz bardziej. Gabe pokonał zakręt, a potem lekko przyspieszył.

- O czym ty mówisz?

- Mitchell bezwiednie masował obolałe kolano. Próbował sobie przypomnieć, czy wziął leki. Sporo się dzisiaj działo.

- Pogawędziłem trochę z Lillian - powiedział.

- Słyszałem. Nie wtrącaj się, Mitch. To nie twój interes. Nie masz prawa ingerować.

- Jestem twoim dziadkiem. Oczywiście, że mam prawo.

- Mitchell patrzył na drogę. Wyjechali już z miasta i nie było dużego ruchu. Zmierzchało się. Białe linie pobocza wyznaczały drogę w ciemność.

Zebrał się w sobie, przygotowując na spotkanie ze wspomnieniami. Niezależnie gdzie był ani co robił, codziennie go prześladowały. Zawsze o zmierzchu. Wiedział z długoletniego doświadczenia, że kiedy się już zupełnie ściemni, widma znikną. Wrócą dopiero za dwadzieścia cztery godziny.

W domu radził sobie z duchami przeszłości za pomocą szklaneczki whisky. Ale dzisiaj musiał im stawić czoło bez znieczulenia. Nie pierwszy raz. Z głębin pamięci wyłoniły się zjawy. Punktualnie jak zawsze. Znowu był w dżungli. Półmrok, wszechobecny zapach śmierci i duszącego strachu. Najgorsza była świadomość, że zaraz zapadnie noc i nic ma co liczyć na ratunek. Aż do rana. On i Sullivan przetrwali tę piekielną noc razem, bo rozumieli, że muszą zapanować nad strachem. Muszą zachować absolutną ciszę i nie mogą się ruszać. Umacniali się nawzajem w tym przekonaniu, trwając obok siebie w nieubłaganych ciemnościach. Bez słów, bez gestów udało im się powstrzymać nawzajem przed pogrążeniem w otchłani strachu.

Rano nadal żyli. Wielu innych nie miało tego szczęścia. Zastanawiał się, czy Sullivan też przeżywa co wieczór to samo. Czy czeka na nieuchronnie nadchodzącą noc.

- Co właściwie powiedziałaś Lillian? - zapytał Gabe.

Mitchell wpatrywał się w zapadający mrok. Nie mógł się poruszyć.

Wyłożyłem kawę na ławę. Wyjaśniłem, że bardzo się angażujesz i nie chcę, żeby się tobą bawiła.

- To twoje dokładne słowa?

Mitchell wrócił myślami do rozmowy w szklami.

- Mniej więcej.

- Czy Lillian dała jakoś do zrozumienia, że... hm, zamierza się mną bawić? - zapytał Gabe.

Do cholery, dlaczego to tak długo trwa? Przejście dnia w noc zawsze ciągnie się w nieskończoność.

- Niezupełnie - odparł.

Gabe nie spuszczał wzroku z drogi.

W ogóle mi to do niej nie pasuje. Możesz dokładnie powtórzyć waszą rozmowę?

- No cóż, zdenerwowała się, kiedy usłyszała, że nie chcę, żebyś cierpiał. Powiedziała, że to ją wszyscy ostrzegają przed tobą. Mówią, że interesujesz się nią ze względu na Harte Investments.

Gabe skinął głową.

- Tak, wiem.

- To logiczne założenie, biorąc pod uwagę okoliczności. Pewnie tak.

- Powiedziałem, że to bzdura. Madisonowie nie żenią się dla pieniędzy. To wcale nie takie praktyczne, jak się wydaje.

- Masz rację. - Gabe odczekał chwilę. - I co ona na to?

- Przypomniała mi, że wszyscy uważają, że nie jesteś typowym Madisonem. Powiedziałem, że bardzo od reszty się nie różnisz.

- Co jeszcze?

- Czekaaj, myślę. O, chyba wspomniałem, że Madison Commercial jest twoją pasją, a w przypadku Madisonów...

- Tak, tak, wiem. Coś jeszcze?

Dzień ostatecznie ustąpił miejsca nocy. W końcu. Widma przeszłości wchłonęła ciemność. Mitchell wypuścił powoli powietrze.

- Ona myśli, że chyba źle mnie odbierasz.

- To znaczy?

- Że źle zrozumiałeś, co myślę o Madison Commercial i twojej pracy. Gabe zacisnął dłonie na kierownicy.

- Od półtora roku ciągle mi powtarzasz, że nie powinienem tyle czasu poświęcać firmie. Może masz rację.

Mitchell głośno przełknął ślinę.

- Cholera, Gabe, zbudowałeś tę firmę od podstaw. Wypruwałeś sobie żyły, żeby coś udowodnić temu cholernemu światu.

- I udowodniłem?

- Dobrze wiesz, że tak. Do diabła, Madison Commercial to twoje dzieło. Nikt już nie powie, że Madisonowie psują wszystko, za co się wezmą.

- A więc uważasz to za duże osiągnięcie?

- Oczywiście, że tak. - Wpatrywał się w drogę. Jest dla mnie o wiele ważniejsze, niż ci się wydaje.

- Tak?

- No pewnie. Kiedy powstało Madison Commercial, ludzie nareszcie przestali gadać, że przeze mnie moi wnukowie mają spaprane życie. Tak jak wcześniej wasz ojciec.

Przez chwilę siedzieli w absolutnej ciszy.

- Naprawdę tak mówili? - zapytał w końcu Gabe. Prosto w twarz?
 - Niektórzy tak. Ale w większości szeptali za moimi plecami. I wszyscy zgadzali się co do jednego. Że nie nadaję się do wychowywania ciebie i Rafe'a, po tym jak Sinclair zabił siebie i waszą matkę na tym cholernym motorze.
 - Hmm.
 - Wytykali mi, że jestem marnym przykładem dla młodych chłopców. - Potarł szczękę. - I słusznie. Ale co robić? Nie było nikogo, kto by się wami zajął.
 - Miałeś jeszcze jedno wyjście. Mogłeś zniknąć. Zostawić nas opiece społecznej.
 - Bzdura. Nie porzuca się własnych wnuków na łaskę państwa.
 - Niektórzy tak robią.
 - Ale nie Madisonowie.
- Gabe uśmiechnął się.
- Kapuję.
- Mitchell nagle zdał sobie sprawę, że chce wyjaśnić wnukowi różne rzeczy, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać. Szukał właściwych słów.
- Gabe, staram ci się powiedzieć, że byłeś na tyle mądry, żeby nie pójść w moje ślady. Osiągnąłeś sukces. Kiedy zbudowałeś Madison Commercial, zdjąłeś klątwę, która na nas ciążyła. Udowodniłeś, że nie jesteśmy przegrani.
 - Nie.
 - Co znaczy nie? Właśnie to zrobiłeś.
 - To nie ja zdjąłem klątwę - powiedział Gabe. Tylko ty.
 - Ja?
 - Nie rozumiesz? Zmieniłeś się po śmierci taty. A przez to zmieniłeś przyszłość moją i Rafe'a.

Rozdział 21

Lillian zatrzymała samochód na podjeździe i spojrzała na zegarek. Kilka minut po siódmej. Gabe'a i Mitchella jeszcze nie było, ale zjawią się lada chwila. Gabe dzwonił, że już dojeżdżają do Eclipse Bay.

Wychodząc, zostawiła włączone światło na ganku, w domu też nie wszędzie pogasiła. Ciepła poświata zapraszała do środka, Z kluczem w ręce Lillian wzięła dwie torby zakupów z Fultona i weszła na ganek. Musiała się trochę nagimnastykować, żeby otworzyć drzwi bez odstawiania pakunków.

Weszła, zamknęła drzwi kopniakiem i zaniósła łupy do kuchni. W domu panował dziwny chłód. Była pewna, że ustawiła termostat na temperaturę pokojową. Poczła niepokój. Przypomniał jej się przeciąg w przebieralni po włamaniu. Stała w drzwiach salonu i uważnie się rozejrzała. Wszystko było na swoim miejscu. Może zostawiła na górze uchylone okno. Ale chłód nie ciągnął z góry. Wiało z korytarza. Pracownia.

Rzuciła się natychmiast do gościnnego pokoju. Drzwi były uchylone, tak jak je zostawiła. Ale już przez szparę widziała, że coś nie jest w porządku. Wzdrygnęła się, ale nie z powodu przeciągu i zimna. Przestraszona pchnęła drzwi. Pracownia wyglądała, jakby przeszedł przez nią tajfun. Puste płótno ze sztalugi zostało podarte na strzępy. Po podłodze walały się szmaty, pędzle i szpachelki. Do tego wszędzie farba. Zawartość kilku tubek posłużyła do wymazania ściany i podłogi. Na łóżku leżała paleta. Farbą do dołu. Kartki z rysunkami zostały wyrwane ze szkicownika i zmięte w kulki. Ostatecznie Lillian odkryła źródło przeciągu. Wybite okno.

Gabe poczuł bolesny skurcz żołądka, kiedy zobaczył przed domem SUV-a Seana Valentine'a. Dopiero gdy zauważył na ganku Lillian, która rozmawiała z Valentine'em. znów zaczął oddychać. Zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Coś się stało.

- Widzę. - Mitchell patrzył na ganek. Sean by nie przyjeżdżał o tej porze bez powodu.

Gabe pobiegł do Lillian i policjanta.

- Co się stało? - zapytał.

- Zdaje się, że włamywacz złożył Lillian kolejną wizytę - powiedział Sean.

- Tym razem zniszczył pracownię - dodała drżącym głosem Lillian.

Mitchell wszedł po schodach, podpierając się laską. Spojrzał spod zmarszczonych brwi na Lillian.

Nic ci nie jest?

Nie, wszystko w porządku. - Uśmiechnęła się. - Ale w domu straszny bajzel. Ściany, podłoga, łóżko wymazane farbą.

Sean miał poważny wyraz twarzy.

- Przyznaję, Madison, nie przywiązywałem zbyt dużej uwagi do twojej teorii, że przy Lillian może się kręcić maniak. Ale po tym. jak zobaczyłem pracownię, jestem skłonny się z tobą zgodzić. Chodźmy do środka. Zobaczymy, co tam mamy. No i dupa blada. Nic nie znaleźliśmy - mruknął Mitchell godzinę później, kiedy wreszcie usiedli do kolacji. Patrzył przez zmrużone oczy na Lillian. - Jak ty się w to wpakowałaś, prowadząc zwykle biuro matrymonialne?

- Nie mam pojęcia. - Podniosła kieliszek. - Znajomy ostrzegwał, że może mi się przytrafić proces. Ale nikt nie przypuszczał, że natknę się na maniaka.

- No cóż, nie przejmuj się tym za bardzo. - Mitchell z zapalem zmagął się ze swoją porcją smażonych warzyw. - Co innego taki maniak w Portland. Tam nikt nie zauważy, że kręci się ktoś obcy. A co innego tutaj, zwłaszcza o tej porze roku.

- Mitch ma rację - przyznał Gabe. - Jeśli Witley jest w Eclipse Bay, Sean Valentine szybko go namierzy.

- A na razie Gabe będzie cię pilnował - dodał Mitchell.

Lillian spojrzała na Gabe'a.

Uśmiechnął się seksownie.

- Nie spuszczę cię z oka.

Przyglądała się winu w kieliszku.

- Ale nawet jeśli Sean znajdzie Witleya, to co może zrobić? Słyszałam, że w takich sprawach trudno cokolwiek udowodnić.

Gabe i Mitchell wymienili spojrzenia. Zmarszczyła brwi.

- O co chodzi?

Gabe wzruszył ramionami.

- Nie przejmuj się Witleyem. Jeśli Sean okaże się bezradny, to ja z Mitchem coś wymyślimy.

Zacisnęła rękę na kieliszku.

- Na przykład?

- Już my, Madisonowie, jesteśmy wystarczająco pomysłowi - zapewnił wesoło Mitchell.

Spojrzała na jednego, potem na drugiego. Znowu przeszedł ją lekki dreszcz. Obaj się uśmiechali, swobodni, pewni siebie. Niewątpliwie chcieli dodać jej otuchy. Ale kiedy patrzyła w ich oczy, widziała coś bardzo niebezpiecznego.

Nie protestowała, kiedy Gabe zdecydował po kolacji, że jada do niego. Martwiło ją, że zostawia dom bez opieki, ale na myśl, że miałyby spędzić tam noc, dostawała gęsiej skórki. Wiedziała, że by nie zasnęła.

Kiedy wyszła z łazienki, Gabe stał przy oknie sypialni i patrzył w ciemność. Miał na sobie dzinsy. Nic więcej. Na widok jego nagich, umięśnionych pleców i ramion zaczęły świerzbić ją ręce. Żałowała, że nie ma przy sobie papieru i ołówka. Zauważyła jednak, że inne części ciała też na niego reagowały.

- O czym myślisz? - zapytała.

- W drodze powrotnej miałem ciekawą rozmowę z Mitchem. - Nie odwrócił się. - Najwyraźniej Madison Commercial znaczy dla niego o wiele więcej, niż się do tego przyznaje.

- Ooo. - Poprawiła pasek szlafroka i usiadła w nogach łóżka. - Byłam pewna, że tak jest.

- Wyznał, że Madison Commercial stanowi dowód, że nie poniósł porażki, wychowując mnie i Rafe'a.

Lillian zastanawiała się przez chwilę.

- Rozumiem. Odniosłeś sukces, a to znaczy, że on, jako twój opiekun, nie zawalił sprawy. Co mu powiedziałaś?

Gabe opuścił podwiniętą zasłonę i odwrócił się do Lillian.

- Że to dzięki niemu Rafe'owi i mnie powiodło się w życiu.

- Mhmm.

- Wiedziałem to od dawna, ale chyba nigdy mu o tym nie mówiłem.

- Madison Commercial jest ważne dla waszego dziadka, ale nie tak ważne, jak ty i Rafe.

Gabe usiadł obok Lillian i pochylił się do przodu. Przyglądał się ich odbiciom w lustrze nad komodą.

- On naprawdę się boi, że złamiesz mi serce - powiedział. Zaśmiała się.

- Zapewniłeś go, że to mało prawdopodobne? Milczał.

- Spięła się.
- Gabe?
- Co?
- Wyjaśniłeś Mitchellowi, że nie ma takiego ryzyka, prawda?
- Jasne - powiedział tak swobodnie, niedbale, jakby to była błahostka.
- W końcu jestem Madisonem.

Na chwilę straciła oddech. W końcu udało jej się nabrać powietrza do płuc.

- Czy w ten subtelny, zawoalowany sposób chcesz mi powiedzieć, że widzisz naszą znajomość jako coś więcej niż tylko przelotny romans? - szepnęła.
- Dla mnie od początku było to coś więcej niż romans. Ledwo mogła mówić.
- Ale myślałam, że oboje doszliśmy do wniosku, że niezbyt do siebie pasujemy.

Wzruszył ramionami.

- Wy, Harte'owie, pewnie bardziej przejmujecie się takimi sprawami niż my.
- Ale ty podobno nie jesteś typowym Madisonem.

Wyprostował się i delikatnie pchnął ją na materac. Nachylił się i pocałował Lillian w szyję.

- Aż tak bardzo nie różnię się od reszty - mruknął.

Następnego ranka razem poszli posprzątać pracownię. Na sekretarce czekała wiadomość od Nelli.

Krótko i konkretno: - Zadzwoń do mnie.

Lillian złapała słuchawkę i wybrała numer.

- Czego się dowiedziałas? - zapytała natychmiast.
- Gdzie ty byłeś? Dzwonię do ciebie od szóstej rano. Lillian spojrzała na Gabe'a.
- Nie spałam w domu.

- Tak? - W głosie Nelli brzmiało rozbawienie. Kto by pomyślał, że w Eclipse Bay jest aż tak bogate życie nocne, że znudzona, wielkowiejska dziewczyna baluje do rana.

- Proszę...

- Znalazłam Witleya.- Teraz Nella mówiła już konkretnym, rzeczowym tonem. - Ma mocne alibi na cały czas twojego pobytu w Eclipse Bay.

- Jakie?

- Wyjechał z kumplem na Karaiby, żeby nurkować. Zameldowali się w hotelu w Saint Thomas. Skontaktowałam się z lokalnymi bazami nurkowania, a potem zadzwoniłam do jego pokoju hotelowego. I tam go zastałam, Lii. Gdyby był wczoraj w Oregonie, raczej nie zdążyłby wrócić na rano do hotelu. I to jeszcze w samą porę, żeby odebrać mój telefon.

- Rozumiem. - Lillian spojrzała na Gabe'a, który uważnie przysłuchiwał się rozmowie. - Nie wiem, czy to dobre, czy złe wieści, bo w takim razie musimy zacząć od zera. Ale dzięki, że go sprawdziłaś.

- Nie ma sprawy. A przy okazji, nie wiem, co mu wtedy powiedziałaś, ale najwyraźniej wywarło to na nim wrażenie. Trochę sobie porozmawialiśmy. Powiedział, że chyba miałaś rację, twierdząc, że potrzebuje kogoś preferującego bardziej aktywny tryb życia, a nie jedną z tych przeintelektualizowanych amateerek sztuki.

- Lillian jęknęła.

- Amateerek sztuki?

- Mhmm. Zgadza się z tobą, że on i Heather Summers wcale do siebie nie pasowali.

- Kto by pomyślał.

- Mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

- Na razie nie, ale będziemy w kontakcie.

Nella się wahała.

- Przychodzi ci do głowy ktoś poza Witleyem. komu się naraziłeś? Może dawny chłopak?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Dobrze wiesz, jak przez ostatni rok wyglądało moje życie towarzyskie, Nello. Jedna wielka nuda.

- Gabe uniósł brwi. Zignorowała go.

- W naszym fachu zawsze mówimy: jeśli elementy układanki nie pasują do siebie, zacznij od nowa - ciągnęła Nella. Może powinnaś spojrzeć na wszystko z innej perspektywy?

- Tylko z jakiej?

Nella zastanawiała się przez chwilę.

Ten, kto włamał się do ciebie w Portland i tutaj, czegoś szukał.

Ale czego? Mówiłam ci, nic nie zginęło.

No właśnie. I jeszcze ta demolka. Ciężko wszystko złożyć do kupy. Uważaj na siebie, Lil.

Rozdział 22

Wzdłuż ciemnego korytarza ciągnął się sznur drzwi z matowego szkła. W oddali słychać było przytłumione odgłosy wrzawy i rozmów. Hałas dochodził z dużej sali bankietowej w sąsiednim korytarzu. Impreza Liderów Jutra rozkręciła się już na dobre.

Lillian stała obok Gabe'a w mroku. Włosy miała zebrane w elegancki węzeł. Ubrana była w obcisłą, granatową sukienkę z rozciągliwego materiału, która idealnie podkreślała kształty, do tego seksowne szpilki na paseczkach. Przychodziło mu do głowy kilka rzeczy, jakie wolałby z nią dzisiaj robić, zamiast tropić zahibernowanych kosmitów, ale obowiązek wzywał. Sprawdził nieporęczny aparat, który dała im Arizona. Gotowe.

Nadal uważam, że to głupi pomysł - mruknęła Lillian. - A jeśli ktoś nas przyłapie jak szwendamy się po nowym skrzydle?

Mało prawdopodobne, bo wszyscy są skupieni na przyjęciu. A w razie czego powiemy, że po prostu byliśmy ciekawi, jak wygląda dobudowany fragment. Spokojnie. Myślisz, że aresztują Harte i Madisona, którzy przypadkiem weszli w zły korytarz? Nigdy nic nie wiadomo. Znacznie bardziej prawdopodobne, że poproszą nas o darowiznę. Wyluzuj się. Jesteś spięta.

- Chyba nic dziwnego. Miałam ciężki tydzień, a teraz będę szukać zamrożonych kosmitów. Nie jestem szpiegiem, tylko artystką.

- Więc potraktuj to jak performans - powiedział.

- Tak, jasne. Performans.

- Wejdziemy, zrobimy kilka zdjęć pustym biurom i wyjdziemy. Jutro oddamy zdjęcia A.Z., ona dorobi sobie do nich teorię, a dla nas zakończy się już ta przygoda.

- A jak wyjaśnimy ochroniarzowi, że biegamy z aparatem?

- Co za problem? Powiemy, że chcieliśmy mieć pamiątkowe fotki z przyjęcia.

- I dlatego nosimy ze sobą profesjonalny sprzęt fotograficzny, dobry dla wojska. Gabe, przecież nikt w to nie uwierzy.

Zaufaj mi. Potrafię być bardzo przekonujący.

W porządku - odburknęła z irytacją. - Miejmy to z głowy i wracajmy na przyjęcie.

Ruszyła korytarzem w stronę nowego skrzydła, długimi, pewnymi krokami. Zrównał się z nią, nie mogąc wyjść z podziwu, jak zgrabnie poruszała się w szpilkach. Ramię w ramię zapuszczali się coraz bardziej w głąb instytutu. Już nawet w dali ucichły odgłosy przyjęcia.

Na końcu ciemnego korytarza były prowizoryczne drzwi ze sklejki, oddzielające niedokończony skrzydło od głównego budynku. Przed drzwiami wisiały jeszcze taśmy zabezpieczające. Gabe przeszedł pod taśmą i nacisnął na klamkę. Drzwi ustąpiły.

- Mamy szczęście. - Stał z boku i ustąpił Lillian w przejściu. - Gotowa zapuścić się tam, gdzie jeszcze nigdy żaden z Harte'ów ani Madisonów nie postawił stopy?

Weszła do nie pomalowanego korytarza i zatrzymała się.

- Może powinienes zacząć robić zdjęcia? - szepnęła.

- Racja.

Otworzył najbliższe drzwi. Przez okno wpadało światło z lamp na parking. Było na tyle widno, żeby zorientować się, że puste pomieszczenie zostanie wykorzystane na biuro.

- Kosmitów brak - oznajmił.

- Też mi zaskoczenie. - Wsadziła do środka głowę. - Szybko, zbieraj materiał dowodowy. Mamy jeszcze dużo pokoiów do obskoczenia.

Podniósł nieporęczny aparat i pstryknął zdjęcie. Błysnął flesz, na sekundę rozświetlając niewielkie wnętrze.

- Świetnie - mruknęła Lillian. - Teraz nic nie widzę.

- Niezłą moc ma ta zabaweczka, co?- Gabe zamrugał, próbując pozbyć się ciemnych plam z pola widzenia. - Następnym razem zamknij oczy, kiedy będę robił zdjęcie.

Otworzył drzwi po drugiej stronie korytarza i zrobił kolejne zdjęcie pustego, częściowo pomalowanego pomieszczenia. Potem następne drzwi i znowu zdjęcie. I tak dalej. Drzwi, zdjęcie, drzwi, zdjęcie.

- A.Z. chyba nie będzie zachwycona - zagadała Lillian w połowie korytarza. - Tak bardzo chce udowodnić, że są tu kosmici.

- Już ty się nie martw. A.Z. to profesjonalna tropicielka spisków. Profesjonalista zawsze znajdzie sposób, żeby połączyć fakty i stworzyć zupełnie nową teorię.

- Otworzył następne drzwi, podniósł aparat i pstryknął zdjęcie.

Wraz z błyskiem flesza rozległ się kobiecy krzyk. Ktoś był w środku. Nie Lillian. I nie zamrożeni kosmici. Żywe istoty.

Błysk zdemaskował dwie postaci. Mężczyznę w skąpych, czerwonych slipkach, z wyraźną erekcją oraz kobietę w czarnym, skórzanym gorsecie i czarnych, długich butach na szpilkach.

J. Anderson Flint i Marilyn Thornley.

- A niech mnie - powiedział Gabe. - A.Z. miała rację. Ale jest gorzej, niż myślała. Niech no się tylko dowie, że kosmiczne mrożonki odtajały.

Przez chwilę wszyscy przyglądali się sobie nawzajem. Marilyn doszła do siebie pierwsza, udowadniając tym samym, że nadaje się na zimnokrwistego polityka.

- Daj mi ten aparat - krzyknęła.

- Nie mogę, nie jest mój. - Gabe cofnął się szybko do drzwi. - A konstytucja chroni własność prywatną. To nie byłoby w porządku.

- Dawaj ten cholerny aparat - powtórzyła z wściekłością i ruszyła w stronę Gabe'a.

- Cholera, Gabe, daj jej ten głupi aparat - zapiszczała Lillian.

Wyrwała mu z ręki ciężki VPX 4000 i z furią cisnęła do Marilyn.

- Chodźmy stąd. - Złapała go za rękę i wyciągnęła na korytarz. - Natychmiast.

Zaczęła biec. Gabe musiał się trochę wysilić, żeby ją dogonić. Nie przeszkodziło mu to jednak podziwiać figurę Lillian.

- Nie wiedziałem, że kobiety mogą się tak szybko poruszać na szpilkach.

- zawołał.

Zanim dotarli do głównego budynku, śmiał się już tak bardzo, że przypadkowo wpadł na zabezpieczającą taśmę i ją przerwał. Końcówki opadły na podłogę.

- A.Z. miała rację. - Na chwilę zdołał opanować śmiech. - W nowym skrzydle dzieją się dziwne rzeczy.

Lillian się zatrzymała. Ciężko oddychała z wysiłku. Patrzyła na Gabe'a przez dłuższą chwilę z dziwnym wyrazem twarzy. Zupełnie jakby nigdy nie widziała rozbawionego człowieka, pomyślał.

- Oddałabym wszystko za twoje zdjęcie w tej chwili. - Podeszła i musnęła ustami jego wargi. - A ja, głupia, myślałam, że jesteś chodzącym przykładem wypalenia.

Następnego ranka Lillian ciągle myślała o tym, jak przekażą złe wieści Arizonie. Stała przy kuchennym blacie, przyglądając się, jak Gabe smaruje tosty masłem orzechowym, i rozważała różne możliwości.

- Możemy skłamać, że zgubiliśmy aparat - zasugerowała. - Albo że ktoś go nam ukradł z samochodu.

Gabe nie odrywał się od pracy.

- Możemy też powiedzieć prawdę.

- Nie żartuj. Nikt, nawet A.Z., nie uwierzy w taką historię.

- Masz rację. - Gabe położył na talerz posmarowany tost. Pewne rzeczy przechodzą ludzkie pojęcie.

- Gorzej, że czasami kończą się w sądzie. Brakuje nam jeszcze procesu wytoczonego przez Marilyn. -

Lillian nalala kawę. Musimy wymyślić przekonującą wersję, bo inaczej Arizona zacznie snuć kolejną zwariowaną teorię, żeby wyjaśnić kwestię zaginięcia drugiego aparatu.

Gabe wgrzył się w tost.

- Ale musisz przyznać, że to wszystko jest trochę zastanawiające.

- Słucham?

- Pomyśl. Przepadły dwa aparaty fotograficzne. Jeden został skradziony w czasie napadu. Drugi skonfiskowała pani polityk w czarnym, skórzanym gorsecie. Oba należą do kobiety, której życiową misją jest zdemaskowanie tajnego projektu, prowadzonego przez rząd w Instytucie Studiów Politycznych w Eclipse Bay. Czy to nie podejrzane?

- Widzę, że masz niezły ubaw. Uśmiechnął się i upił łyk kawy.

- Już dawno się tak dobrze nie bawiłem.

- Świetnie. Bardzo się cieszę, ale co powiemy A.Z.?

- Ja się tym zajmę. Wyznam całą prawdę. Arizona i tak przekreśli wszystko po swojemu, nikt się nie zorientuje, o co naprawdę chodziło.

- Lillian odgryzła kawałek tosta. Kiedy już przeżuła i połknęła, odezwała się: Miałam cię o coś zapytać.

- Pytaj.

- Czy Marilyn często wkładała czarne, skórzane gorsety, kiedy byliście razem? - Minęło sporo czasu

- zaczął Gabe po namyśle, - Nie wszystko pamiętam. Ale jestem pewien, że czarne, skórzane wdzianko to coś nowego. Pewnie manifestuje w ten sposób swoje przekonania polityczne.

- Pewnie tak. - Spojrzała na swój talerz. Robisz niezłe tosty z masłem orzechowym, wiesz?

- To dar.

- Marilyn Thornley skonfiskowała aparat? Arizona uderzyła dużą dłonią w laminowaną mapę na stole. Byli w jej centrum dowodzenia. - Cholera. Tego się obawiałam. Albo z nimi współpracuje, albo jest kolejną naiwną.

Lillian stłumiła jęk. Świetnie. O tyle dobrze, że Arizona doszła już do siebie. Co prawda na głowie nadal nosiła bandaż, ale nie miała już żadnych fizycznych dolegliwości, będących rezultatem uderzenia w głowę.

- Osobiście skłaniam się ku tej drugiej możliwości wtrącił się Gabe.

- Nie sądzę, żeby z własnej woli przystąpiła do spisku mającego na celu zatuszowanie akcji z kosmitami. Prowadzi kampanię wyborczą. Nie ma czasu na takie rzeczy.

Arizona lekko zmrużyła oczy, analizując jego słowa.

- Zdaje się, że znasz ją najlepiej z nas.

- Właśnie - przytaknęła ochotczo Lillian.

- Wątpię, żeby się zmieniła - powiedział z namysłem Gabe. - Zawsze była oddana tylko jednej sprawie. Własnej.

- Ale od kilku lat siedzi w polityce - dumiała Arizona. Poznaje wielu dziwnych ludzi.

Lillian przypomniała sobie Andersona w czerwonych gatkach.

- Co racja to racja.

- Odkupimy ci aparat, A.Z. - obiecał Gabe. Tymczasem masz raport. Najważniejsze, że nie widzieliśmy tam ani sprzętu laboratoryjnego, ani zamrożonych kosmitów. Jeśli rzeczywiście przewieźli ich do instytutu, to musieli dobrze ukryć.

- Tak. - Arizona pokiwała mądrze głową. - Powinam przewidzieć, że to nie będzie takie proste. Musimy kopać dalej. Może nawet dosłownie, jeśli mają tajne podziemne laboratorium.

- Przerazające - mruknęła Lillian.

- Nie zamierzam zrezygnować - zastrzegła Arizona. - Na razie dzięki za pomoc. Bez was by się to nie udało. Niestety, nigdy nie zostaniecie docenieni przez społeczeństwo, bo wszelkie działania musimy zachować w tajemnicy.

- Jasne - powiedział Gabe.

Arizona skinęła głową.

- Ale chcę, żebyście wiedzieli, że dla tych, którzy walczą z wszechobecnym spiskiem, będziecie bohaterami.

- Dla mnie super - zareagowała szybko Lillian. - A ty co na to, Gabe?

- Zawsze chciałem być bohaterem po godzinach.

- Nie potrzebujemy społecznego uznania - dodała Lillian, której bardzo zależało, żeby postawić sprawę jasno. - Wystarczy nam świadomość, że spełniliśmy patriotyczny obowiązek. Prawda, Gabe?

- Prawda. - Gabe wstał. - Rozgłos byłby katastrofą. Gdybyśmy zostali zdemaskowani jako tajni agenci, już nigdy więcej nie moglibyśmy wziąć udziału w żadnej akcji.

Lillian doszła już prawie do drzwi.

- Chcielibyśmy tego uniknąć.

- Racja - przyznała Arizona. - Nigdy nie wiadomo, czy nie będziemy znowu was potrzebować.

Wiedziała, że coś nie daje Gabe'owi spokoju. Rozbawienie, które towarzyszyło mu podczas wczorajszego śledztwa i porannego spotkania z Arizoną, ulotniło się. Kiedy zadzwoniła do niego,

proponując spacer po plaży, zgodził się, ale czuła, że myślami był zupełnie gdzie indziej. Spotkali się przy zejściu na plażę. Od razu zauważyła, że znowu jest chłodny i nieprzystępny. Ale przynajmniej w końcu zrozumiała, że zamykanie się w sobie nie oznacza u niego automatycznie depresji czy wypalenia. Po prostu nad czymś intensywnie myślał.

Wreszcie. Postęp w odkrywaniu skomplikowanej, enigmatycznej natury Gabriela Madisona. Szedł obok niej, pewnym krokiem, z postawionym kołnierzem kurtki, rękoma schowanymi głęboko w kieszeniach. Nagle uświadomiła sobie, że rozpoznaje ten nastrój zamyślenia i wyłączenia. Wystarczająco często doświadczała go sama. Wyłączała się, żeby znaleźć natchnienie. Zastanawiała się, dlaczego wcześniej nie zauważyła podobieństwa.

Błądził myślami gdzieś daleko, a ona nie przeszkadzała mu w tej podróży. Skupiła się na nadawaniu spacerowi tempa. Odpływ odsłonił spory kawałek dna. Kluczyła między kamieniami i kawałkami drewna wyrzuconymi przez ostatni sztorm. Gabe odezwał się dopiero, kiedy dotarli do Eclipse Arch, skalnego monolitu, górującego nad plażą.

- Jak dobrze znasz Flinta? - zapytał prosto z mostu. Zaskoczył ją.

- Andersona? - Zatrzymała się. - Niezbyt dobrze. Pół roku temu wprowadził się do tego samego biurowca. Rozmawialiśmy trochę o sprawach zawodowych. To wszystko.

- Mówiłaś, że chciał odkupić od ciebie oprogramowanie. Wzruszyła ramionami.

- A ja mu wyjaśniłam, że nie jest na sprzedaż.

- Może wymyślił, że zdobędzie program w inny sposób - zasugerował Gabe.

- To znaczy, w jaki? - Nagle zrozumiała. - Boże. Naprawdę myślisz, że Anderson próbowałby go wykraść? Ale...

- Dzwoniłem rano do college'u. Ani w tym tygodniu, ani w przyszłym nie ma tam żadnej konferencji. Flint kłamał.

- Jesteś pewien?

- Tak.

Ruszyła dalej, zastanawiając się nad tym niespodziewanym obrotem sprawy. Okay, może i wymyślił historyjkę, że przyjechał tu na konferencję, bo wpadł na pomysł, że spróbuje przekonać mnie do sprzedaży. Ale ciężko uwierzyć, że mógłby się włamać do mojego mieszkania i domku.

- Dlaczego? Masz coś, na czym mu zależy. Nie chciałaś tego sprzedać. Więc uznał, że to jedyne wyjście.

- Tak, ale... - Urwała, próbując doszukać się logicznych powiązań. - Przecież Anderson jest seksuologiem.

- Dopiero od niedawna. Zatrzymała się gwałtownie.

- Słucham?

- Pogadałem z kilkoma znajomymi z Portland i pogrzebałem w Internecie. Flint nie skończył żadnej uczelni.

- Co takiego?

- Nawiązał kontakt z pewną drukarnią. Ty im płacisz, oni produkują ci odpowiednie papiery.

- Czyli wszystkie jego dyplomy były fałszywe?

- No, przynajmniej wyglądały na prawdziwe.

- Myślała o kobietach, które widziała w poczekalni Andersona. Wzdrygnęła się.

- I to mnie ostrzegano przed procesem.

- O, właśnie...

- Co takiego?

- Flint postanowił zostać seksuologiem po tym, jak popadł w konflikt z prawem w swojej poprzedniej profesji.

Jęknęła.

- Aż boję się zapytać, ale zżera mnie ciekawość. Czym się zajmował wcześniej?

- Kierował konsorcjum inwestującym grube pieniądze w spółki internetowe, które znikwały potem bez śladu.

- Chcesz powiedzieć, że Anderson to zwyczajny hochsztapler?

- Nie. Niczego mu jeszcze nie udowodniono. Wygląda na to, że ma niezwykły talent do balansowania na granicy prawa, Ale człowiek tego pokroju może nie mieć żadnych skrupułów, żeby wykraść program komputerowy.

- Cudownie. - Wyjęła ręce z kieszeni i rozłożyła bezradnie. - Co teraz?

- Chyba powinniśmy porozmawiać z Flintem odparł Gabe.

Motel był jednym z wielu przy drodze dojazdowej do Eclipse Bay: w większości świeciły pustkami o tej porze roku i nie mogły się poszczycić najwyższym standardem. Do pokoi wchodziło się bezpośrednio z chodnika. Przed drzwiami stały trzy samochody. Dwa oblepione błotem SU V-y i nowy, olśniewająco czysty lincoln.

Gabe zatrzymał się na końcu parkingu i przyglądał niebieskiemu lincolnowi.

- O ile zakład, że to jego samochód?

Lillian podążyła za wzrokiem Gabe'a. Z napięcia aż się skuliła.

- Jeśli się mylisz, trudno będzie odkręcić sytuację. - Mimo argumentów Gabe'a nie mogła pozbyć się obawy i wątpliwości.

- Ja to załatwię.

- Wykluczone. Anderson to mój problem.

- Poprawka. - Wsiadł z samochodu. - Nasz problem.

Zamknął drzwi, zanim zdążyła zareagować. Razem poszli do drzwi z numerem 7.

Gabe zastukał dwa razy. Anderson natychmiast otworzył. Miał na sobie szare spodnie i niebieski sweter pod kolor oczu. I samochodu. Widok Lillian i Gabe'a wcale go nie zaskoczył.

- Zastanawiałem się, kiedy mnie odwiedzicie - powiedział.

Lillian patrzyła na niego ponuro.

- Musimy porozmawiać, Anderson.

- Oczywiście. - Flint otworzył szerzej drzwi. Zapraszam. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Za godzinę wychodzę na spotkanie z Marilyn.

Lillian ostrożnie weszła do środka.

- Spotkanie?

- Będę nowym szefem sztabu.

- Nie rozumiem. - Lillian wahała się chwilę. Przejmujesz obowiązki Claire?

- Marilyn podjęła decyzję wczoraj wieczorem - wyjaśnił Anderson.

- Aha... - Gabe wszedł do małego pokoju. Więc wczoraj wybierała nowego szefa sztabu? Kto by pomyślał.

- Daruj sobie żalotne żarciki - warknął Anderson. Złość wyostrzyła rysy jego twarzy. Zatrzasnął drzwi.

- Gratuluję, Anderson - powiedziała spokojnie Lillian. - Nie wiedziałam, że interesuje cię polityka.

- Nie interesowała, dopóki nie poznałem Marilyn. - W jego oczach pojawił się dziwny błysk. - Jestem jej potrzebny.

- On naprawdę tak myśli, stwierdził Gabe. O co tu chodziło? Lillian wpatrywała się w Andersona.

- Dlaczego tak uważasz?

- Marilyn jest świetną kandydatką, ale sądząc po tym, że wylała Claire Jensen pod wpływem impulsu, brak jej dojrzałości i doświadczenia. I właśnie to mogę wnieść do kampanii.

- Rozumiem - mruknęła Lillian.

Gabe oparł się o zamknięte drzwi i skrzyżował ramiona. Przyglądał się wnętrzu. Od lichej narzuty na łóżku po wyblakłe, kwieciste zasłony, pokój idealnie pasował do całego motelu. Trochę tu obskurnie, ocenił. Miał poczucie, że nie całkiem jest to w stylu Flinta. Ale z drugiej strony, Flint nie miał za bardzo wyboru. Hotel Dreamscape jeszcze nie działał.

- Skoro zamierzasz zająć się kampanią Marilyn, czy to znaczy, że rezygnujesz ze swojej praktyki w Portland? - zapytała Lillian.

- Oczywiście. - Anderson wydawał się zniecierpliwiony.

- A co z twoimi pacjentami? - dążyła Lillian. - Tak po prostu ich zostawisz?

- Nie jestem jedynym seksuologiem w mieście. Jakoś sobie poradzą.

- W każdym razie na pewno im się nie pogorszy - wtrącił Gabe.

Anderson się skrzywił.

- To kwestia priorytetów. Muszę natychmiast objąć stanowisko szefa sztabu. Marilyn nie może czekać. Na tym etapie kampanii każda zwłoka słono kosztuje.

- Jasne - powiedział Gabe. Tak czy inaczej, to wielkie poświęcenie z twojej strony.

- Kandydatura Marilyn jest dla mnie o wiele ważniejsza od mojej własnej kariery zawodowej.

- Skoro tak mówisz...

- Ona ma wiele do zaoferowania temu krajowi. - W głębokim głosie Andersona pojawił się zapal. - Pomogę jej wykorzystać cały potencjał, jaki posiada.

- Doprowadzenie do tego, żeby wygrała wybory, to twój patriotyczny obowiązek, tak? - zapytał Gabe.

- Anderson zacisnął szczęki.

- Widzę, że nie ma sensu oczekiwać, że zrozumiecie, o jakie stawki chodzi w tej grze. Przejdźmy do interesów.

Lillian odchrząknęła.

- Nie przyjechaliśmy rozmawiać o interesach.

Anderson prychnął pogardliwie.

- Nie urodziłem się wczoraj. Wiem, czemu zawdzięczam waszą wizytę.

- Chcecie wytargować dojscie.

Lillian była całkowicie zaskoczona.

- Dojscie do czego?

- Do Marilyn, oczywiście. - Anderson nawet na nią nie spojrział. Był skupiony na Gabie. - Wszyscy wiemy, że kiedy wygra wybory, zdobędzie sporą władzę. Chcesz, żebym ci zagwarantował dostęp do Marilyn, prawda Madison? Ludzie z twoją pozycją lubią mieć wysoko postawionych przyjaciół.

Lillian wpatrywała się w Andersona.

- Niczego nie rozumiesz.

- Owszem, rozumiem. - Anderson rzucił na nią okiem. - Co jest, Madison nie powiedział ci, jak

zamierza wykorzystać zdjęcia?

- Ale przecież nie mamy żadnych zdjęć - zawołała Lillian. - Marilyn zabrała aparat, nie pamiętasz?

- Daruj sobie. Wiem, że przynieśliście dwa aparaty.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytał Gabe.

- Bo kiedy Marilyn zażądała aparatu, coś za szybko go oddaliście. - Flint machnął ręką. - Jest tylko jedno wyjaśnienie. Mieliście jeszcze jeden.

- Nieprawda. - Lillian była oburzona.

- Sztuczka z dwoma aparatami jest stara jak świat. - Anderson spojrzał na nią z politowaniem. - Dzięki temu fotograf unika nieprzyjemnej konfrontacji. Ofiara myśli, że odzyskała kompromitujący film. Dopiero po jakimś czasie się okazuje, że były dwa komplety zdjęć. Ale wtedy jest już za późno.

- Zdaje się, że dużo wiesz na ten temat - zauważył Gabe.

- Nie mówiłem o tym Marilyn, bo nie chciałem, żeby się denerwowała. Teraz jestem szefem sztabu i rozwiązywanie tego typu spraw należy do moich obowiązków. Nie pozwolę, żeby przez tani szantaż jej kampania legła w gruzach, tak jak Trevora.

- Jak śmiesz? - Lillian kipiała z wściekłości. - Nie przyszliśmy tu, żeby szantażować Marilyn.

Anderson nie zwracał na nią uwagi.

- Po prostu przedstaw swoje żądania, Madison, a ja zobaczę, co da się zrobić. Oczywiście pod warunkiem, że zniszczysz zdjęcia.

- Chcemy poznać odpowiedzi na kilka pytań - powiedział spokojnie Gabe.

Anderson ściągnął brwi. Nie spodziewał się tego.

- Jakich pytań?

- Włamałeś się do mieszkania Lillian w Portland?

Anderson znieruchomiał. Zaraz jednak poderwał się z krzesła, śmiertelnie oburzony.

- Oszalałeś? - syknął. - Niby po co?

- Żeby wykraść jej program komputerowy odparł Gabe. - I daruj sobie te szopki. Jesteś dobrym aktorem, ale nie aż tak dobrym.

- Nie włamałem się do jej mieszkania - wyskandował każde słowo.

- A do domku w Eclipse Bay? - ciągnął Gabe. Zakładam, że to też twoja sprawka, choć przyznaję, trochę mnie zmylił napad na Arizonę Snow.

- Nie znam żadnej Arizony Snow - wycedził Anderson przez zęby.

- Może jedno z drugim rzeczywiście nie miało nic wspólnego - zwróciła się Lillian do Gabe'a.

- Pokręcił głową.

- Nie wiem. Ale ten zbieg okoliczności wydaje mi się podejrzany.

- Zbiegi okoliczności czasem się zdarzają - powiedziała.

Anderson obrócił się i spojrzał na Lillian.

- Przestańcie. Oboje. Nie macie prawa atakować mnie bezpodstawnymi zarzutami. - Nie możecie niczego udowodnić.

- Tak, masz rację - przyznał Gabe. Anderson odetchnął.

- Wiedziałem.

- Dlatego nie poszliśmy na policję, tylko odwiedziliśmy najpierw ciebie. Oczywiście, jeśli wolisz, żebyśmy porozmawiali z Marilyn, to nie ma sprawy. Mogą ją zainteresować twoje dawne problemy z prawem, kiedy inwestowałeś w spółki internetowe.

Tego się na pewno nie spodziewał.

- Marilyn wam nie uwierzy.

- Nie bądź taki pewien - wtrąciła się Lillian. - Marilyn i Gabe znają się od dawna. Kiedyś wiele ich łączyło. Myślę, że weźmie sobie do serca, jak Gabe jej powie, że niezbyt mądrze zrobiła, wybierając cię na szefa sztabu.

- Nie możecie. - Anderson zaczął się jękać. Nie macie prawa. Niczego mi nie udowodniono.

- Chcemy tylko, żebyś się przyznał, że włamałeś się do Lillian - powiedział Gabe.

Anderson odwrócił się gwałtownie do okna i utkwiał ponury wzrok w parkingu.

- Nie włamałem się do mieszkania Lillian ani do domku. - Każde słowo wymówił bardzo wyraźnie i starannie.

- Nie sprzecajmy się o szczegóły. - Gabe przyglądał mu się uważnie. - Może rzeczywiście nie włamałeś się do jej mieszkania. Zwyczajnie otworzyłeś drzwi kluczem, który sobie dorobiłeś albo wycygałeś od zarządcy domu.

Lillian spojrzała na Gabe'a zaskoczona, ale nie odezwała się ani słowem.

- Z domkiem był problem - ciągnął Gabe. Nie miałeś klucza, musiałeś otworzyć drzwi siłą. Za drugim razem wybiłeś szybę. Słyszałeś już teorię, że Lillian niepokoi jakiś maniak. Takie wieści szybko się rozchodzą w małym mieście. Zdemolowałeś pracownię, żebyśmy nadal trzymali się tej wersji. Nie chciałeś, żebyśmy się zastanawiali nad innym powodem włamania.

- Nie jestem maniakiem.

- Nie twierdziłem, że jesteś - sprostował Gabe. - Ale to chyba oczywiste, że szefem sztabu wyborczego Marilyn nie może być facet, który udaje maniaka i dopuszcza się włamań. Jej wizerunek publiczny bardzo by na tym ucierpiał.

- To kłamstwo. Nie zdemolowałem pracowni Lillian. Nie możecie mi tego zrobić.

- My chcemy tylko poznać prawdę - powiedział Gabe.

- Cholera, nie pozwolę, żebyście wszystko popsuli. Anderson odwrócił się nagle od okna i rzucił na Gabe'a.

- Anderson, nie - zawołała Lillian. - Uspokój się. To niczego nie rozwiąże.

Ale Anderson stracił nad sobą panowanie. Gabe'owi udało się zrobić unik, ale Anderson znów zaatakował. Gabe był zaklinowany w rogu, między lampą a telewizorem.

Miał tylko jedno wyjście. Schylił się nisko i rozpędzona pięść Andersona uderzyła w ścianę. Flintem aż wstrząsnęło. Syknął z bólu. Gabe złapał Andersona za nogi i mocno odepchnął. Obaj stracili równowagę. Z głośnym grzmotnięciem przewrócili się na dywan. Anderson był na dole. Zawzięcie rzucał się i szarpał. Zupełnie stracił nad sobą kontrolę. Walił butami w podłogę, pięścią przyłożył Gabe'owi w żebra. Wił się jak węgorz, próbując się wyszarpnąć. W końcu Gabe zdołał przygwoździć go do podłogi.

Uwięziony Anderson wpatrywał się w Madisona. Jego furia minęła równie szybko, jak się pojawiła. Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej bezwładny.

- Nie chcę, żeby cierpiała, rozumiesz? - wykrztusił Anderson urywanym głosem.

- Zrobię, co chcesz, tylko jej nie krzywdź.

- Posłuchaj, nikt nie zamierza skrzywdzić Marilyn. Musimy tylko poznać prawdę.

- Gabe zacisnął ręce na jego ramionach. Opowiedz, jak było z włamaniami.

- Okay. Dobra. Przyznaję, odwiedziłem mieszkanie Lillian. Ale się nie włamałem. Wszedłem z ekipą sprzątającą.

- To było takie proste?

Anderson skinął głową.

- Owszem. Powiedziałem, że dostałem zgłoszenie o problemach z elektryką. Ludzie nie mają podejrzeń, kiedy widzą kogoś w uniformie z plakietką.

Lillian przysunęła się bliżej. Gabe czuł jej napięcie. Wiedział, że przeżyła szok. Zaciskała pięści tak mocno, że zbieleły jej kostki. Ale głos miała zdumiewająco spokojny.

- Tak bardzo zależało ci na tym programie, Anderson? - zapytała. - Mówiłam ci, że to nie magiczna różdżka. Standardowy program do diagnozy osobowości na podstawie danych z kwestionariusza. Nie polegałam tylko na nim, w dużej mierze kierowałam się własnym rozsądkiem.

Anderson spojrział na Lillian.

- Miałem gdzieś ten głupi program, idiotko. Chodziło o bazę twoich klientów.

Moich klientów?

- Nie rozumiesz? - Prychnął pogardliwie.

- Do diabła, naprawdę nie wiesz, czym dysponujesz? Nie przyszło ci do głowy, ile jest warta taka baza danych? Masz tam szczegółowe informacje na temat najbogatszych, najbardziej wpływowych ludzi w mieście. Cholera, w całym stanie.

- Ale po co ci to?

- Zapytaj swojego faceta. On na pewno rozumie, ile w obecnych czasach warte są takie informacje.

- Fortunę. - Gabe uwolnił Andersona i wstał. ~ Dobra baza danych to dziś pożądanym towarem na rynku.

Zabijają się o niego wszyscy: firmy, inwestorzy, politycy, organizacje charytatywne. Słono trzeba zapłacić, żeby zdobyć informacje na temat osób, które mają dużo pieniędzy do wydania.

- Lillian spojrziała na Andersona.

- Nigdy nie chciałeś pisać żadnej książki, prawda? Od początku interesowała cię tylko baza danych.

Komu chciałeś ją sprzedać?

Krzywiąc się, powoli usiadł.

- Tego jeszcze nie wymyśliłem. Rozwahałem różne możliwości, kiedy oznajmiłaś, że zamykasz Private Arrangements. Musiałam ocalić bazę danych. Zaproponowałem, że odkupię program, bo uznałem, że jest w pakiecie z danymi. Ale ty odmówiłaś. Więc postanowiłem ukraść.

- Nie, wcale nie. - Anderson wyglądał na urażonego. - Zamierzałem je tylko skopiować.

- Według ciebie to nie kradzież? - zapytała Lillian, Zacisnął szczęki.

- I tak nie robiłaś z nich żadnego użytku.

- Kiedy nie znalazłeś niczego w Portland, przyjechałeś do Eclipse Bay - powiedział Gabe. - Wtedy, w restauracji, znalazłeś idealnego odbiorcę dla tych danych. Poznałeś Marilyn Thornley. Żaden polityk nie pogardzi listą potencjalnych sponsorów.

- Anderson znów miał dziki wyraz twarzy.

- Ona potrzebuje tych informacji.

Lillian otworzyła usta. Gabe nie miał pojęcia, co chciała powiedzieć, ale nagle poczuł, że ma dość. Pokręcił głową. Zrozumiała. Nie odezwała się.

- Chodźmy stąd. Ruszył do drzwi.

- Jeszcze raz spojrziała na Andersona i poszła za Gabe'em.

- Czekać. - Anderson przytrzymał się telewizora, żeby złapać równowagę. - Co zrobicie? Zostawcie Marilyn w spokoju. Ona nie miała z tym nic wspólnego.

- Nie martw się, Flint. - Gabe otworzył drzwi. Już mówiłem, chcieliśmy tylko poznać prawdę. I na tym koniec, oczywiście pod warunkiem, że odczepisz się od Lillian. Ale jeśli znowu zaczniesz coś

kombinować, pójde prosto na policję i zawiadomię media.

Anderson miał przerażoną minę.

- Na tym etapie kampanii skandal pogrzebałby szanse Marilyn na wygraną. Trzeba bardzo uważać.

- Wiem - powiedział Gabe. - Masz moje słowo, że jeśli nie będziesz nękał Lillian, zapomnimy o sprawie.

- Przysięgam, więcej się do niej nie zbliżę - zapewnił gorączkowo Anderson. - Obiecuję.

- Umowa stoi - zakończył Gabe.

Wyprowadził Lillian na zewnątrz. Chłodny, wilgotny wiatr rozwiewał śmieci po parkingu.

- Lillian, zaczekaj. - Anderson stanął w drzwiach. - Gdybyś zmieniła zdanie, to moja oferta jest ciągle aktualna.

- Zapomnij o tym, Anderson. Nie mam już tych danych.

- Nie wierzę, że je zniszczyłaś. Są zbyt cenne. Pomyśl nad moją propozycją. Dysponujesz informacjami o takich ludziach, jak Tom Lydd z Lydd-Zone Software czy chociażby Madison. To wiedza warta kupę pieniędzy.

- Och, z informacji na temat Gabe'a i tak nie byłoby żadnego pożytku powiedziała.

- Co to niby znaczy? - Anderson się skrzywił.

- W większości są nieprawdziwe - wyjaśniła. Po prostu nakłamał w kwestionariuszu.

Rozdział 23

Gabe musiał pomyśleć. I napić się kawy. Pojechali więc do Snow's Cafe. Znaleźli stolik z tyłu sali. Lillian zamówiła herbatę, Gabe wziął podwójne espresso.

Było trochę zwykłej klienteli, głównie studenci i wykładowcy z Chamberlain College. Arizona, nieobecna dziś w pracy, pewnie siedziała w swoim domowym centrum dowodzenia i układała plan zdemaskowania tajnych, podziemnych laboratoriów instytutu.

- Myślisz, że teraz zostawi mnie w spokoju? zapytała Lillian.

- Tak.

- Nie uwierzył, że zniszczyłam dane klientów.

Gabe upił łyżeczek wzmocnionego espresso i opuścił małą filiżankę.

- Naprawdę zniszczyłaś?

- Pierwszego dnia po przyjeździe tutaj. Dane klientów były w komputerze. Chciałam mieć absolutną pewność, że nie dostaną się w niepowołane ręce. Wyjęłam twardego dysku i wrzuciłam go do zatoki. Reszta komputera została w bagażniku. Ciągle tam jest.

- Nie miałaś kopii?

- Nie.

- No, to nie musisz się już martwić, że czyjaś prywatność zostanie naruszona.

- Właśnie o to chodziło. - Westchnęła. - Chyba wcześniej powinnam się domyślić, że Andersonowi chodzi o bazę danych. Ale cały czas mówił o programie, więc przypuszczałam, że sam chce się zająć swataniem. Prowadził terapię seksualną, czemu nie biuro matrymonialne. Wydawało mi się to w miarę logiczne.

- Nie mógł się przyznać, że chodzi mu o informacje o klientach. Znał twoje poglądy odnośnie do cudzej prywatności. Jedno nie daje mi spokoju - powiedziała powoli. - Potwierdził, że był w moim mieszkaniu w Portland. Dlaczego nie przyznał się też do włamania tutaj?

- Nie jest głupi. Wie, że nie ma żadnych dowodów jego wtargnięcia do twojego mieszkania. Po

prostu wszedł przebrany za elektryka i się rozejrzał. Nic nie zginęło. Niczego nie zniszczył. Do diabła, on ma nawet świadków, że niczego nie ukradł. Tych sprzątaczy. Nie zgłosiłaś się na policję. Mówiąc nam o tym, nic nie ryzykował.

- No tak. W Eclipse Bay zostawił wyraźne ślady włamania, a ja skontaktowałam się z komisarzem. Skinął głową.
- Poza tym Valentine podejrzewa, że przynajmniej jedno włamanie wiąże się z napadem na A.Z. Flint wolał więc nie przyznawać się, że złożył ci tutaj wizytę.
- Ale tylko on wiedział o tej bazie. Gabe wpatrywał się w filiżankę.
- A jak poznał Marilyn, zapragnął danych jeszcze bardziej.
- Pewnie od razu dobili targu i zobowiązał się szybko dostarczyć obiecany towar. Musiał zaryzykować i wtargnąć siłą.
- Tak. - Bezwiednie dotknął ręką obolałych żeber Na twarzy Lillian pojawił się niepokój.
- Dobrze się czujesz?
- W porządku.
- Bardzo cię obił?
- Już mówiłem, nic mi nie jest. - Położył rękę z powrotem na stole.
- Na pewno?
- Tak, na pewno.
- A może lekarz powinien obejrzeć twoje żebra?
- Nie.
- Dobrze, już dobrze, nie złość się. Po prostu się o ciebie martwię.
- Dzięki. - Napił się kawy.
- Przez chwilę dosyć groźnie to wyglądało. - Wzdrygnęła się. - Byłam w szoku, kiedy Anderson się na ciebie rzucił. Nie spodziewałam się, że zaatakuje. Wyglądał na faceta, który woli unikać kłopotów.
- Ludzie się zmieniają, kiedy się zakochują.
- Co? - Odstawiła głośno filiżankę i spojrzała na Gabe'a oniemiała. - Myślisz, że Anderson się zakochał? Oszalałeś? Niby w kim? Boże, no chyba nie w Marilyn.
- Owszem.
- Ale oni dopiero co się poznali.
- Czasem tak bywa.

Opadła na winylowe oparcie.

- W głowie się nie mieści. J. Anderson Flint zakochany w Marilyn Thornley.
- Sama stwierdziłaś, że idealnie do siebie pasują.
- Powiedziałam to bardziej dla picu.
- Ale to nie żart. Zamyśliła się.
- Może masz rację. Zauważyłeś, jak starał się ją chronić? Ciekawe, czy jej też na nim zależy?
- Nie wiem. Ale powinna zatrzymać go na stanowisku szefa sztabu. Jest bardzo zaangażowany. Będzie jej absolutnie oddany.
- Cechy idealnego szefa sztabu. I męża. Ciekawe, jak to się wszystko potoczy.
- Tak.
- Uśmiechnęła się do niego.
- Dziwne.

- Co? Ich związek?
 - Nie. To, że pierwszy zauważyłeś. Chyba ja powinnam być ekspertem w tej dziedzinie. Co cię naprowadziło?
 - Męska intuicja. - Dopił espresso i odstawił filiżankę. Nie zamierzał powiedzieć Lillian prawdy. W każdym razie nie teraz. Sam jeszcze sobie z tym nie radził.
 - To cię męczy?
 - Co?
 - Że znalazłeś słaby punkt Andersona i wykorzystałeś, żeby zmusić drania do powiedzenia prawdy.
 - Spojrzał na nią zaskoczony.
 - Nie.
 - Na pewno?
 - Wyjaśnijmy coś, - Odsunął na bok pustą filiżankę i skrzyżował ręce na stole. - Moim jedynym priorytetem jest chronienie ciebie. Nic mnie nie obchodzą odczucia Flinta.
- Przyglądała się badawczo jego twarzy.
- Rozumiem. W takim razie, dlaczego się tak dziwnie zachowujesz?
 - Wcale nie. - Zaczął zbierać się do wyjścia. Skończyłaś już? To idziemy.
- Wyciągnęła rękę przez stół i położyła na jego dłoni. Znieruchomiał, czując ciepło jej palców.
- Gabe, przepraszam. Wiem, że dużo przeze mnie przeszedłeś. Jestem ci bardzo wdzięczna.
- Zagotowało się w nim ze złości, podobnie jak w starciu z Flintem. Skoncentrował się, żeby nie dać ujścia emocjom, uciekając w głęboko ukryte pokłady spokoju; zawsze tak robił, kiedy groziło, że sprawy wymkną się spod kontroli.
- Nie potrzebuję twojej wdzięczności - powiedział. Zabrała rękę jak oparzona.
 - Oczywiście - wymamrotała przez ściśnięte gardło. Wypuścił powietrze. Wstał i sięgnął po portfel.
 - Odwiozę cię do domu.
 - Dobrze. - Poszła szybko do wyjścia, nie oglądając się za siebie. Patrzył za Lillian. Gratulacje, Madison. Świetnie to rozegrałeś, naprawdę.

Rozdział 24

Gabe zamierzał właśnie wyłączyć komputer i pójść do Lillian na lunch, kiedy usłyszał samochód na podjeździe. Otworzył drzwi i zobaczył przed schodami wielkiego, czarnego lincolna. Facet za kierownicą miał ciemny, tani garnitur i złoty kolczyk w uchu. Wynajęty kierowca. Z tyłu samochodu wysiadł Sullivan Harte. Nieźle się zapowiadało. Sullivan powiedział coś do kierowcy i ruszył na ganek.

- Nie wiedziałem, że jest pan w mieście - przywitał go Gabe. Laska Sullivana uderzyła w pierwszy stopień. Musimy porozmawiać.
- Tego się obawiałem. - Przytrzymał otwarte drzwi. Zaraz pewnie usłyszę, że jeśli nakłonię Lillian do wyjścia za mnie, dopilnuje pan, żeby nie dostała ani skrawka Harte Investments.
- Nie całkiem.

Sullivan przeszedł obok Madisona i zniknął w domu. Gabe spojrzął na limuzynę. Kierowca wyciągnął książkę i wydawał się całkiem zadowolony, że został tam, gdzie był. Gabe wszedł za nieproszonym gościem i zamknął drzwi.

- Kawy?

- Chętnie.

Sullivan przyglądał się biurku, na którym Gabe zostawił laptop i stos papierów.

- Naprawdę próbujesz kierować stąd firmą?

- Nie próbuję. Kieruję. Technologia cały czas idzie naprzód. - Gabe poszedł do kuchni.

- Jak długo może nie być cię w firmie? - zapytał Sullivan.

- Tak długo, jak chcę. - Gabe nalał kawy do filiżanki i przyniósł do salonu. - Przyjechał pan rozmawiać o cudach techniki umożliwiających zdalne zarządzanie?

- Nie.

- Tak myślałem - mruknął Gabe.

Mitchell cisnął gazetę z taką siłą, że mały stolik zachwiał się na wrzecionowatych nogach. Patrzył z krzywą miną na Bryce'a, który właśnie wszedł do Incandescent Body z wieściami.

- Do diabła, co znaczy, że Sullivan Harte jest w mieście?

- Widziałem go kilka minut temu w limuzynie - powiedział Bryce.

- Akurat byłem na stacji benzynowej. Widocznie przyleciał do Portland i wypożyczył samochód z kierowcą. Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć.

- Słusznie. - Mitchell złapał laskę i podniósł się.

- Zauważyłem go na Bayview Driver. Mógł jechać do letniego domu Harte'ów.

- Albo starego domu Buckleyów. - Mitchell rzucił pieniądze na stolik.

- O ile zakład, że pojechał postraszyć mojego wnuka?

- Nic z tego. Nigdy nie zakładam się, jeśli chodzi o Harte'ów i Madisonów. Trudno cokolwiek przewidzieć.

Lillian przypatrywała się nowemu płótnu na sztaludze, kończąc czyszczenie pędzli. Zaczęła portret Gabe'a, wzorując się na szkicu, który zrobiła w Portland. Po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Eclipse Bay udało jej się coś namalować. Mroczne cienie i ostre światło. Była zadowolona. Miała dziś natchnienie. Wreszcie.

Włożyła pędzle do kubka, żeby wyschły, i spojrzała na zegarek. Zdziwiła się, że już prawie druga. Gabe powiedział, że wpadnie na lunch koło dwunastej. Jak zwykle, kiedy była w świetle swoich wizji, traciła poczucie czasu. Może zatrzymała go sprawa służbowa. Albo telefon.

Wyjrzała przez okno. Widziała białe grzywy fal na zatoce, ale nie zanosilo się na deszcz. Dobrze by jej zrobiło trochę świeżego powietrza po tak długiej pracy. Zawsze po wyjątkowo udanej sesji w pracowni była naładowana energią i nie mogła sobie znaleźć miejsca. Musiała wyjść i rozładować tę energię. Spacer po klifach powinien wystarczyć. Miała nadzieję, że po drodze spotka Gabe'a.

Wyobraziła sobie romantyczną scenę, jak wpada w jego ramiona na szczycie klifu. Nad ich głowami krążą mewy. Ciemne włosy Gabe'a rozwiewa rzeński wietrzyk. Ona, seksowna i wyzwolona, stoi boso w zwiewnej sukience.

Zaczęła się zastanawiać, czy powinna zmienić poplamione farbą ubranie - dżinsowe spodnie i koszulę. Potem przypomniała sobie, że temperatura wynosiła zaledwie dziesięć stopni, a ścieżka wzdłuż klifów była kamienista. Cóż, trzeba zapomnieć o gołych stopach i zwiewnej sukience.

Lillian założyła stare adidas, zabrała z szafy czarną, dżinsową kurtkę i wyszła z domu przez przebieralnię. Na zewnątrz było prawie tak, jak sobie wyobrażała. Wietrznie i rzeško. Widowiskowy łuk zatoki z cicho szumiącą wodą. W oddali malownicze miasteczko. Powietrze świeże i czyste. Brakowało tylko Gabe'a. Nigdzie go nie widziała.

Poczula niepokój, który zgasił wcześniejszy entuzjazm. Zanim znalazła się na tyłach starego domu Buckleyów, była już pełna złych przeczuc. Obeszła dom, żeby sprawdzić, czy na podjeździe stoi samochód Gabe'a. Stał. I jeszcze jeden. Czarna limuzyna z kierowcą. Szofer nie zwrócił na nią uwagi. Był pochłonięty lekturą książki.

Wyluzuj, powiedziała sobie. Pewnie Gabe'a dopadły sprawy służbowe. Ale z niejasnych powodów nie mogła się uspokoić. Czula, że coś jest nie tak. Wróciła na tył domu, cicho otworzyła drzwi i weszła do kuchni. Jeśli Gabe załatwiał interesy z ważnym klientem, nie chciała przeszkadzać. Głosy dochodzące z salonu sprawiły, że stanęła jak wryta. Znała i jeden, i drugi.

Nagle wszystko stało się jasne. Ogarnęła ją wściekłość. Rzuciła się do drzwi. Na sofie siedzieli Gabe i Sullivan. Przed nimi, na niskim stoliku, leżał skórzany segregator i piętrzyła się sterta wydruków.

- Dziadku, jak możesz?

Sullivan szybko uniósł głowę i spojrzał na nią zza okularów do czytania. Mogłaby przysiąc, że się zaczerwienił.

- Lillian.

Gabe milczał. Spojrzał tylko na nią i rozsiadł się wygodniej w rogu sofy, wyciągając jedną rękę na oparciu. Nie zwracała na niego uwagi. Była całkowicie skupiona na Sullivanie.

- Co ty wyprawiasz? - spytała łamiącym się głosem. - Albo nie, daruj sobie wyjaśnienia. Wiem, co robisz.

Sullivan zamrugał.

- Naprawdę?

Podeszła bliżej do stołu z papierami.

- Chcesz przekupić Gabe'a. Albo próbujesz go nastraszyć. To jak?

- Posłuchaj, skarbie... - zaczął Sullivan łagodnym tonem. Słyszała, że przyjechał jakiś samochód, ale to zignorowała.

- Myślisz, że Gabe chce się ze mną ożenić, żeby zagarnąć część Harte Investments, prawda? Co mu proponujesz za to, żeby zostawił mnie w spokoju? A może mu grozisz?

Drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem. Do środka wpadł Mitchell.

- Kto grozi mojemu wnukowi? - ryknął. Zatrzymał się. Miał ściągnięte brwi i zaciśniętą szczękę. Spojrzał wściekle na Sullivana. - Co ty sobie myślisz, Harte?

- To nie całkiem tak, jak się może wydawać. - Sullivan próbował ratować sytuację.

- Nie wierzę. - Lillian niemal krzyczała. - Rozmawiałeś z rodzicami, prawda? Powiedzieli ci, że spotykam się z Gabe'em, a ty od razu doszedłeś do wniosku, że interesuje się mną z powodu Harte Investments.

- A propos dochodzenia do trafnych wniosków - napomknął Gabe. Spiorunowała go wzrokiem.

- Nie wtrącaj się. To sprawa między mną a dziadkiem.

- I mną. - Mitchell uderzył się w pierś. - Mnie też to dotyczy.

- Jasne - mruknął ironicznie Gabe. - Kto by mógł o tobie zapomnieć?

Lillian znów skupiła się na Sullivanie.

- Wiem, że chcesz dla mnie jak najlepiej. Każdy myśli, że Gabe jest zainteresowany Harte Investments. Ale to bzdura.

Wszyscy trzej spojrzeli na Lillian.

- Bzdura? - powtórzył powoli Sullivan.

- Tak, bzdura. - Machnęła ręką. - On by się nigdy nie ożenił dla pieniędzy. Jest Madisonem. Oni nie robią takich rzeczy.

Sullivan odchrząknął.

- Zawsze słyszałem, że Gabe nie jest typowym Madisonem.

- Ale nie aż tak nietypowym - odparowała. - I nie możesz go przekupić ani wystraszyć.

- Ona ma rację - wtrącił się Mitchell. - Jeśli Gabe chce się z nią ożenić, to żadne pieniądze ani groźby go od tego nie odwiodą.

I tak doszliśmy do kluczowej sprawy - oznajmiła Lillian. - Jak już mówiłam mamie, Gabe nigdy nie proponował mi małżeństwa. Prawda, Gabe?

- Prawda - potwierdził.

- Co? - Sullivan złapał za laskę, żeby wstać z zapadniętej sofy. Odwrócił się do Gabe'a z groźną miną. - Odniosłem wrażenie, że traktujesz moją wnuczkę poważnie. Wybij sobie z głowy, żeby w nieskończoność żyć z nią na kocią łapę. Nie będę na to spokojnie patrzeć.

- Wcale czegoś takiego nie planowałem - odparł Gabe. Mitchell zmarszczył brwi.

- O co ci właściwie chodzi, Sullivan?

- Zanim nam tak niegrzecznie przerwano, przedstawiałem Gabe'owi propozycję biznesową - wyjaśnił Sullivan. - Oczywiście, wtedy jeszcze myślałem, że zamierza ożenić się z Lillian.

Mitchell patrzył na niego podejrzliwie.

- Jaką propozycję?

Gabe spojrzał na Lillian.

- Twój dziadek przedstawiał mi finansowe korzyści, wynikające z poślubienia ciebie. Jak wiesz, dostaniesz jedną trzecią Harte Investments.

- Korzyści? - Lillian wpatrywała się w Sullivana, - Chcesz go przekupić, żeby się ze mną ożenił?

- Pragnąłem mu tylko uświadomić, że chętnie byśmy go widzieli jako członka naszej rodziny - powiedział uspokajająco Sullivan.

- Do diabła. - Mitchell zagwizdał. - Nie sądziłem, że masz aż tyle zdrowego rozsądku, Sullivan.

Lillian była wstrząśnięta.

- Ty naprawdę zamierzałeś go dla mnie przekupić. To największe upokorzenie, jakie mnie kiedykolwiek spotkało.

Sullivan spał się.

- Co w tym upokarzającego? Myślałem, że jesteś nim zainteresowana.

- Zastanów się, dziadku. To zupełnie jakbyś wciskał mnie Gabe'owi razem z posagiem. Jeśli ożeni się ze mną i dostanie część udziałów, wszyscy powiedzą, że zrobił to dla pieniędzy.

- I dlatego odrzuciłem propozycję - włączył się Gabe. Spojrzała na niego.

- Naprawdę?

- Do diabła. - Mitchell machnął ręką. - Dlaczego zrobiłeś coś tak głupiego? Mogłeś dostać i kobietę, i jedną trzecią Harte Investments. Trudno o lepszy układ.

- A czy miałem inny wybór? - Gabe wskazał na papiery na stoliku. - Gdybym je podpisał, Lillian zawsze by się zastanawiała, czy ożeniłem się z nią ze względu na firmę.

- Wcale nie - zareagowała szybko Lillian.

Gabe spojrzał na nią.

- Doceniam twoją wiarę we mnie, ale obawiam się, że i tak nie mogę wziąć cię w zestawie razem z jedną trzecią Harte Investments. Właśnie wyjaśniałem to Sullivanowi.

- A jeśli zrzeknę się swoich udziałów? zapytała. Sullivan spojrział na wnuczkę gniewnie.

- Nie pozwolę ci wyrzec się dziedzictwa. To nie byłoby w porządku. Całe życie harowałem, żeby zbudować tę firmę. Zrobiłem to dla ciebie. Hannah i Nicka.

Zdała sobie sprawę, że odrzucenie spadku byłoby dla dziadka strasznym ciosem.

- Najwyraźniej jestem skazana na moje dziedzictwo - mruknęła.

- To zależy - powiedział Gabe. Spojrzała na niego z budzącą się nadzieją.

- Co masz na myśli?

- Jest pewien sposób. Jeśli zgodzisz się za mnie wyjść, a twoja rodzina uprze się, żebyś przyjęła należną część majątku, to możesz przekazać swoje udziały w Harte Investments na fundusz powierniczy naszych ewentualnych dzieci. Co ty na to, Sullivan?

Starszy mężczyzna miał zamyślony wyraz twarzy.

- Zdaje się, że to jedyny sposób.

Lillian poczuła ogromną radość, a świat nabrał kolorów tęczy.

Nie ma sprawy - szepnęła. Gabe podniósł się.

- Naprawdę? Wyjdiesz za mnie?

Mitchell i Sullivan nawet nie drgnęli. Zupełnie jakby cały świat wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

- Pewnie - powiedziała miękko. Co innego mogę zrobić po tym, jak zrezygnowałaś z udziałów w mojej rodzinnej firmie? To takie w stylu Madisonów. Ale chcę, żebyś wiedział, że nie musisz tego robić. Wiem, że nie jesteś łowcą posagów.

Uśmiechnął się leniwie i uwodzicielsko.

- Skarbie, jeśli zechcę Harte Investments, to sobie kupię, kiedy za rok czy dwa twój tata wystawi firmę na sprzedaż.

Wszyscy patrzyli na niego oniemiaли.

Lillian napotkała wzrok Sullivana. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Jej też zaczęło zbierać się na śmiech.

- No jasne. - Z trudem opanowała chichot. Dlaczego na to nie wpadłam. To nie tajemnica, że Harte Investments zostanie niedługo sprzedane.

- Będziesz mógł je kupić od razu, jak tylko tata zrezygnuje. Proste. I nie trzeba się żenić.

- Wierz mi, tak będzie o wiele lepiej - powiedział Gabe. Mitchell chrząknął.

- Nie pomyślałem o tym.

- Może dlatego, że nigdy nie miałeś głowy do interesów, Mitch - burknął Sullivan. - Od początku było wiadomo, że Gabe nie musi żenić się z Lillian, żeby przejąć Harte Investments. Wystarczy, że trochę poczeka i odkupi firmę.

Gabe złapał Lillian za nadgarstek.

- Chodź, pójdziemy gdzieś, gdzie będziemy mogli omówić nasze prywatne sprawy na osobności.

Otworzył drzwi na ganek i wyprowadził ją na podwórze zalane popołudniowym słońcem. Zaczęli schodzić ścieżką na kamienistą plażę. Odezwali się do siebie dopiero na dole.

- Mówiłeś poważnie? - zapytała.

- Nigdy nie byłem bardziej poważny. - Ścisnął jej rękę. - A ty naprawdę zgodziłaś się za mnie wyjść?

- Tak, ale nie musisz rezygnować z udziałów w Harte Investments. Doceniam twój gest, ale nie jest to konieczne.

- Jest.

- Dlaczego?

- Zatrzymał się i odwrócił ją twarzą do siebie.

- Bo każdy Madison potrafi zrezygnować z fortuny dla kobiety, którą kocha. Mamy to w genach.

- „Dla kobiety, którą kocha” - powtórzyła sobie w myślach.

- Och, Gabe. - Przepełniająca ją radość sprawiła, że świat rozbłysnął milionami olśniewających kolorów. Przytuliła się do Gabe’a. Bardzo cię Kocham.

Pocałował ją.

Pomijając kilka drobnych szczegółów, takich jak to, że byli na plaży, a nie na klifie, a ona nie stała boso ani nie miała zwiewnej sukienki, wszystko wyglądało niemal tak samo, jak w jej romantycznej fantazji. Idealnie.

Sullivan przyglądał się salonowi Mitchella, zastanawiając się, gdzie usiąść. Zdecydował się na wygodny, regulowany fotel, skąd miał widok na zatokę. Westchnął i zapatrzył się na wodę. Zaczynało się zmierzchać. Nie lubił tej pory dnia.

- Mało brakowało, żebyśmy wszystko zepsuli - powiedział.

- Co znaczy zepsuli? - Mitchell zajął drugi, wysłużony fotel. - To ty namieszaleś. Skąd ci przyszło do głowy, że możesz kupić Gabe’a, oferując mu część Harte Investments? Sam mi kazałeś załatwić sprawę. Ale nie za pomocą kontraktu. To się nie sprawdza w przypadku Harte’ow i Madisonów.

- Wydawało mi się to zupełnie logiczne. Było jasne, że Lillian na nim zależy, a ja tylko chciałem go trochę ośmielić. Pokazać korzyści wynikające z małżeństwa z moją wnuczką. - Sullivan wyciągnął nogi, krzywiąc się, gdy jego stawy zaprotestowały. - Jak możesz wytrzymać przez okrągły rok w tym wilgotnym i zimnym klimacie?

- Przywykłem. Zrobił się z ciebie mięczak, po tym jak się wyniosłeś do Arizony. Nie jestem mięczakiem, po prostu mam trochę oleju w głowie. Gdybyś był mądry, też byś się przeprowadził na pustynię. A mi się podoba w Eclipse Bay. - Mitchell położył głowę na oparciu fotela. - Jeszcze dziś wracasz do Portland? Nie, to za dużo atrakcji na jeden dzień. Kolana mi sztywnieją, jak za długo siedzę w samochodzie.

- Tak, wiem, o czym mówisz. - Mitchell bezwiednie masował jedno kolano. - Słuchaj, skoro zamierzasz zostać, równie dobrze możesz zatrzymać się u mnie. A to dlaczego? Bo jeśli zamieszkas w waszym domu, to będziesz przeszkadzać Gabe’owi w zalotach.

- No, to może skorzystam z twojego zaproszenia. Nie chciałbym wchodzić w paradę zakochanym gołąbkom. - Sullivan zaśmiał się.

Mitchell spojrzał na niego podejrzliwie. Co cię tak rozbawiło?

- Ciekawe, co ludzie powiedzą, kiedy zważą, że jestem twoim gościem.

- Hm. - Mitchell uśmiechnął się szeroko. - Pewnie dojdą do wniosku, że powybijamy sobie nawzajem zęby.

- Pewnie tak.

- No dobrze, skoro już wszystko ustalone, opowiem ci, co się tutaj działo.

Piętnaście minut później Sullivan był bliski wybuchu.

- Do diabła, dlaczego nikt mi nie wspomniał ani słowem o włamaniach? Nie miałem pojęcia, że Lillian groziło niebezpieczeństwo.

- Uspokój się. Już ci mówiłem, wszystko jest pod kontrolą. Gabe zajął się tym Flintem.

- I tak powinienem wiedzieć.

- Gabe ugasił pożar, zanim ktokolwiek się zorientował w rozmiarach kataklizmu.

Mitchell podniósł się z fotela.

- Bryce zaraz poda kolację. Zwykle wcześniej piję szklaneczkę albo dwie. Z tego co pamiętam, też tak robiłeś.

- I to się nie zmieniło. - Sullivan wpatrywał się w zapadający zmrok. - Małe co nieco o tej porze pomaga się człowiekowi odprężyć.

- Owszem.

Mitchell wyjął z barku butelkę whisky i nalał do dwóch szklanek. Wrócił z drinkami i bez słowa podał jednego Sullivanowi. Popijali, przyglądając się gęstniejącej ciemności.

Sullivan pomyślał, że dobrze tu siedzieć i czekać na zapadnięcie nocy z jedynym człowiekiem, który rozumie, dlaczego to tak szczególna pora dnia.

- Mówią, że z czasem wspomnienia blakną - odezwał się po chwili Mitchell.

- Kłamią.

Rozdział 25

Lillian zatrzymała auto na zwirowym podjeździe, za czerwonym autem Claire, wysiadła i ruszyła na ganek. Wszystkie cztery drzwi i bagażnik samochodu Claire były otwarte. W bagażniku widziała dwie walizki i pudełko.

Miała właśnie zapukać do frontowych drzwi, ale te otworzyły się na oścież. Wytoczyła się przez nie Claire, z pochyloną głową, szarpiąc się z wielką walizką. Miała na sobie dres i adidas. Włosy związała w koński ogon. Z domu dobiegał donośny, natarczywy głos gospodarza radiowego talk-show rozwodzącego się o polityce.

- Pomóc ci? - zapytała Lillian, przekrzykując radio.

Claire zatrzymała się gwałtownie, ciężko oddychając. Zaskoczona uniosła głowę.

- Lii. - Puściła walizkę. - Przepraszam, nic słyszałam, że przyjechałaś. Co tu robisz?

- Mówiłaś, że dziś opuszczasz Eclipse Bay. Wpadłam zobaczyć, czy nie potrzebujesz pomocy przy pakowaniu.

- Dzięki. - Claire spojrzała na bagażnik, potem na walizkę, którą ciągnęła. - Przeliczyłam się. Nie zdawałam sobie sprawy, ile nagromadziłam rzeczy. Ze sobą biorę tylko te najbardziej potrzebne. Po resztę przyjedzie o drugiej firma przeprowadzkowa.

- Mów, co mam robić.

- W gabinecie już skończyłam, teraz zabrałam się za sypialnię i łazienkę. Gdybyś zechciała zająć się kuchnią, byłabym ci naprawdę wdzięczna.

- Nie ma sprawy. - Lillian weszła do środka.

Claire też wróciła do domu. Wyłączyła ryczące radio z politycznym talk-show. Zrobiło się niezręcznie cicho.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem - powiedziała Claire. - Nie to co niektórzy. Jak widzisz, nie pojawił się nikt z ekipy. Wszystkim wypadło coś w ostatniej chwili. Dlaczego nie jestem zaskoczona?

- Claire...

- Wylatujesz ze sztabu i od razu robisz, się niewidzialna. Zupełnie jak w szkole: nie znasz odpowiednich ludzi, jesteś nikim.

Lillian odchrząknęła.

- Gdzie są kartony?

- W pralni za kuchnią. Śmiało.

Lillian ruszyła w stronę kuchni.

- Na blacie jest kawa - zawołała Claire. I croissantsy z Incandescent Body. Będzie mi brakować tej piekarni.

- Nie dziwię się. Jest dobra.

Lillian otworzyła kredens w kuchni. Oszacowała szybko jego zawartość i poszła do pralni po pudła. Małe pomieszczenie było zagracone wszelkimi różnościami. Długą półkę nad starą pralką i suszarką wypełniały proszki, wybielacze, zmiękczacze, a oprócz tego butelki z płynem do szyb i odplamiacze. W kącie stało wiadro z mopem i szczotka. W koszu obok pełno było szmat.

Puste kartony leżały ułożone w stos na pralce i suszarce. Wzięła dwa i wróciła do kuchni. Metodycznie zaczęła opróżniać szafki. Przyjechała tu pod wpływem impulsu. Nie wiedziała, czego szuka. Miała tylko nadzieję, że dowie się, kiedy to znajdzie. Pół godziny później, kiedy zapełniła oba kartony, poszła przez salon do pokoju, w którym Claire miała swój gabinet. Biurko i szafka zostały już opróżnione.

Na korytarzu pojawiła się Claire. Niosła pudło z przyborami toaletowymi.

- Skończyłaś już w kuchni?

Nie. Szukam taśmy.

- W salonie, na stole.

- Dzięki.

Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobiła. - Claire poszła do drzwi wyjściowych.

- Jak będziesz w Seattle, odezwij się do mnie. Zabiorę cię na kolację.

- Jasne.

Zaczekała, aż Claire zniknie na zewnątrz, i popędziła do sypialni. Drzwi szafy i szuflady komody były otwarte, co ułatwiało zadanie. Najpierw przyjrzała się butom. Nie interesowały ją szpilki ani czółenka, szukała znanych jej mokasynów. Ale nigdzie ich nie widziała. Może już zostały spakowane. Otworzyła jedno z nie zaklejonych pudeł.

Usłyszała na ganku kroki Claire. Zatrzęsa się pod wpływem nagłego uderzenia adrenaliny. To bez sensu. Tylko traciła czas. Zamknęła karton i szybko wyszła z sypialni. Ruszyła korytarzem do kuchni. Za późno. Claire stała już w salonie i patrzyła na taśmę, która leżała na stoliku do kawy. Odwróciła się i zobaczyła Lillian. Zmarszczyła brwi.

- Nie znalazłaś taśmy? - zapytała.

- Byłam w łazience. - Lillian nie zatrzymywała się. Podeszła do stolika i wzięła taśmę. Serce mocno jej waliło. - Prawie już skończyłam w kuchni.

- Super.

Lillian wzięła głęboki oddech i wycofała się do kuchni. Uklękła przy kartonach i zaczęła je zaklejać. Słyszała, że Claire poszła do sypialni. Zastanawiała się, czy jej serce kiedykolwiek się uspokoi. Absolutnie nie nadawała się do takich akcji. Ale już więcej mogło nie być okazji do zaspokojenia ciekawości.

Skończyła oklejać pudła, podniosła się i poszła do pralni po więcej kartonów. Serce trochę się opanowało. Odsunęła na bok dwa duże pudła, żeby dostać się do mniejszego, które wydało się odpowiednie na sztuce. Kiedy stawiała pudła na podłodze, zauważyła na wierzchu kosza ze szmatami coś granatowego. Materiał nie był wyblakły ani zniszczony. Wydawał się nowy.

I znajomy. Jako malarka miała oko do kolorów. Puls znów przyspieszył. Serce zakolało. Spokojnie, nakazywała sobie w duchu. To pewnie zwykła szmata. Ostrożnie sięgnęła do kosza, wyciągnęła i rozprostowała zmięty materiał. Była to bluzka, którą Claire miała na sobie tamtego dnia, kiedy przyjechała ją ostrzec, że Marilyn nadal interesuje się Gabe'em.

Bluzka nie wyglądała na wystrzępioną ani podartą, więc to dziwne, że leżała w koszu ze szmatami. No chyba, że trafiła tam przypadkiem, na przykład wypadła z kosza z brudną bielizną. Odwróciła bluzkę tyłem. Na prawym mankiecie była smuga zaschniętej, czerwonej farby. Lillian zrobiło się zimno.

- Cholera - szepnęła.

Przyjechała tu, chociaż nie do końca wierzyła, że się czegoś dowie. A jednak proszę.

- No i jak ci idzie? - W drzwiach stanęła Claire. Potrzebujesz więcej pudeł? Mam jeszcze... -

Urwała i zauważyła, że Lillian trzyma granatową bluzkę. Spojrzała na zaplamiony farbą mankiet.

- To ty zdemolowałaś moją pracownię. Lillian odłożyła bluzkę na pralkę. - Wiedziałam, że gdzieś musi być dowód. Trudno nie zabrudzić się farbami przy takiej rozróbie...

Claire pobladła. Przełknęła dwa razy ślinę, zanim zdołała coś powiedzieć.

- Nie możesz mi niczego udowodnić wyjąkała. - Nie możesz, słyszysz?

- Pewnie nie. No chyba, że zatrzymałaś VPX 5000. Ale jestem pewna, że miałaś na tyle rozumu, żeby się go pozbyć. Wrzuciłaś aparat do zatoki? Ja właśnie tak zrobiłam z danymi moich klientów.

W oczach Claire wezbrały łzy. Wyglądała, jakby miała zemdleć.

- I napadłaś na Arizonę - mówiła z wyrzutem Lillian. - Wiesz, co by się stało, gdybyś uderzyła trochę mocniej? To starsza kobieta, Claire. Mogłaś ją zabić.

- Nie chciałam tego robić, ale nie miałam wyboru.

- O czym ty mówisz? Nikt cię nie zmuszał, żebyś ją uderzyła i ukradła aparat.

- Musiałam go zdobyć. - Claire zacisnęła dłonie w pięści. Nie rozumiesz? Ona miała zdjęcia.

- Jak włamujesz się do mojego domu?

- Zauważyłam Arizonę dopiero później. Samochód zostawiłam w lesie. Kiedy już odjeżdżałam, zobaczyłam, że po drugiej stronie drogi stoi jej furgonetka. Pusta. Pomyślałam, że Arizona pewnie jest na tym swoim głupim patrolu i snuje się gdzieś w pobliżu. Bałam się, że mogła mnie widzieć, jak wychodziłam z twojego domu.

- Claire, przecież wiesz, że nawet gdyby cię zobaczyła i tak nie miałyby to znaczenia. Nikt nie zwraca uwagi na gadanie A.Z. Wszyscy się orientują, że jest trochę stuknięta.

- Kiedy wyszła z lasu z tym cholernym aparatem, spanikowałam. Oczywiście, nikt by jej nie potraktował poważnie, gdyby twierdziła, że w dniu włamania widziała mnie przy twoim domu. Ale gdyby wyciągnęła datowane zdjęcia, na których wychodzę od ciebie z lewarkiem w ręce. nie mogliby jej zignorować.

- Pojechałaś za Arizoną do domu i czekałaś na odpowiednią okazję, żeby odebrać aparat, prawda? Wiedziała, że ktoś ją śledził. Śledziłam ją chwilę, ale doszłam do wniosku, że wcześniej czy później wróci do swojej fortecy. Pojechałam tam pierwsza, ukryłam samochód w lesie i czekałam z tyłu domu, za składzikiem z drewnem.

- Wszystko sobie zaplanowałam.

- Nie. - Claire otarła łzy wierzchem dłoni. - Nie wiedziałam, co zrobić. Nie mogłam jasno myśleć. To znaczy, owszem, chciałam zaskoczyć Arizonę. Ale nie planowałam nic konkretnego. I chodziło mi tylko o aparat.

- Tymczasem Arizona przyszła na tylny ganek, żeby sprawdzić drzwi. Uznałaś, że to dobra okazja. Złapałaś za stojak na kwiaty i zadałaś cios. Nie chciałam, żeby trafiła do szpitala. - Głos Claire przeszedł w cierpiętnicze zawodzenie.

- Musisz mi uwierzyć. Zależało mi tylko, żeby puściła aparat.

- Mogłaś ją zabić.

- Mówiłam ci, nie chciałam skrzywdzić Arizony. - Claire pociągnęła nosem. - Poza tym, nie udowodnisz, że to ja zabrałam aparat. Twoje słowo przeciwko mojemu.

- Jasne. - Lillian oparła się o suszarkę. A skoro już tak sobie miło rozmawiamy, mam do ciebie kilka pytań. Jak to się stało, że zainteresowałaś się moją bazą danych? Sama na to wpadłaś, czy może Anderson cię naprowadził?

Twarz Claire zapłonęła ze wściekłości. Była równie czerwona jak farba na mankiecie bluzki.

- Słyszałam jak Flint opowiadał o tym Marilyn już pierwszego dnia, kiedy przyszedł do instytutu. Przechwalał się, że ma dostęp do cennych informacji. Dzięki tym danym wkręcił się na moje miejsce. Obiecał, że je zdobędzie.

- Rozumiem.

- Marilyn nie jest głupia. Od razu zrozumiała, ile może zyskać dzięki takiej bazie.

- Czy Anderson mówił, że zamierza ją ukraść?

- Oczywiście, że nie. Powiedział tylko, żeby się niczym nie martwiła. I zapewnił, że sam wszystko załatwi.

- Gdzie byłaś, kiedy o tym rozmawiali?

- W przyległym pokoju. Porządkowałam swoje biurko. Marilyn zamknęła drzwi, ale włączyłam nagrywanie. - Claire uśmiechnęła się gorzko. - To należało do moich obowiązków. Nagrywałam rozmowy Marilyn z ważnymi ludźmi. Któregoś dnia zamierza opublikować swoje wspomnienia.

- A potem wpadłaś na pomysł, żeby poszukać danych moich klientów. zanim znajdzie je Flint?

- Claire wzruszyła ramionami.

- Powiedział, że trzymasz je w komputerze. Wydawało się to proste. Mogłam wykorzystać je w taki sam sposób, jak planował zrobić to Flint.

- Wkupić się w nową pracę?

- Tak. Akta twoich bogatych klientów byłyby warte fortunę dla każdego polityka.

Do oczu Claire znowu napłynęły łzy.

- Ale kiedy włamałam się do domku, nigdzie nie mogłam znaleźć komputera. Do tego napatoczyła się Arizona ze swoim cholernym aparatem. Wszystko było nie tak. Całe ryzyko na nic. Totalna porażka.

- Tamtego dnia, kiedy przyjechałaś ostrzec mnie przed Marilyn, podsłuchiłaś moją rozmowę z Gabe'em. Wiedziałaś, do jakich doszliśmy wniosków. Że może wziął się na mnie maniak. I że to włamanie mogło nie być przypadkowe. A więc wróciłaś i zdemolowałaś pracownię, żeby uwiarygodnić naszą teorię.

- Wystraszyłam się. To Eclipse Bay. Wiedziałam, że jeśli Harte'owie i Madisonowie przycisną Seana Valentine'a. to przyłoży się do śledztwa. Bałam się. Uznałam, że uniknę podejrzeń, jeśli wszyscy będą nadał przypisywać włamanie maniakowi.

- Claire. - Lillian pokręciła głową.

- Jak do tego doszłaś? - W głosie Claire brzmiała gorycz.

- Metodą eliminacji. Gabe i prywatny detektyw wykluczyli głównego podejrzanego. A kiedy rozmawialiśmy z Andersonem, nie przyznał się do włamań w Eclipse Bay.

Claire zrobiła wielkie oczy.

- I co, uwierzyliście temu krętaczowi?

Lillian wzruszyła ramionami.

- Wtargnięcie przy użyciu siły nie pasowało mi do Andersona. On działa trochę inaczej.

- A Marilyn? Też powinna być podejrzana. Ona by najbardziej skorzystała na tych danych.

- Marilyn, jeśli czegoś chce, to się z tym nie kryje. Nie chodzi opłotkami. W przeciwieństwie do ciebie.

Claire wzdrygnęła się.

- Co sugerujesz?

- Miała rację, że romansowałaś z Trevorem, prawda?

- Już mówiłam, nigdy nie spałam z Trevorem.

- Nie wierzę ci.

Claire patrzyła na Lillian podejrzliwie.

- Dlaczego?

- Bo dowiedziałam się, że tamtego lata, kiedy chodziłam z Larrym Fultonem, ty zabawiałaś się z nim w vanie jego ojca.

- Larry Fulton. - Claire rozdziawiła buzię. Ale to było wieki temu, jeszcze w college'u.

- Wiem. Byłam pewna, że mnie z kimś zdradzał. Ale nie miałam pojęcia, że z tobą. Dopiero kilka dni temu uświadomili mi to bracia Willisowie. Wtedy znalazłam odpowiedzi na wszystkie pytania.

Claire wycofała się z pralni, nie spuszczać wzroku z Lillian.

- Nie możesz niczego udowodnić.

- Ciągle to powtarzasz. - Lillian odsunęła się od suszarki. - Przyjechałam poznać prawdę. Nie chodzi mi o to, żeby wsadzić cię za kratki.

- Wyjdź stąd.

- Już idę. - Lillian przecięła salon. Zatrzymała się dopiero przy drzwiach wyjściowych i obejrzała przez ramię. - Jeszcze tylko jedno pytanie.

- Wynoś się.

- Mówiłaś, że nie kręcą cię faceci w damskiej bieliźnie i szpilkach. Czy w tej sprawie też kłamałaś?

- Nienawidziłam tych przebieranek - wyjaśniła Claire. - Ale facet miał realne szanse zostać senatorem. Doszłam do wniosku, że znoszenie tych drobnych dziwactw to mała cena za bycie żoną senatora.

- Naprawdę ci powiedział, że po wyborach rozwiedzie się z Marilyn i ożeni z tobą?

- Obiecał mi to. - Claire patrzyła na granatową bluzkę, którą zmięła w rękach.

- Tak jak Larry Fulton przyrzekał, że się ze mną zaręczy, jak tylko zerwie z tobą. Nic nigdy nie jest tak, jak powinno. To niesprawiedliwe. Po prostu niesprawiedliwe.

Gabe krążył po kuchni.

- Nie powinnaś spotykać się z nią sama.

- Mówiłeś to już kilka razy. - Lillian postawiła łokcie na stole i podparła głowę rękami. - Tłumaczyłam ci, że to był impuls.

- A gdyby zrobiła się agresywna?

- Nie, to nie ten typ.

- Nie można mieć pewności.

- Gabe, ona wie, że niczego nie zdołam udowodnić.
- Niestety.
- To chyba jedna z tych sytuacji, kiedy po prostu trzeba zdać się na karmę.
- Karma to bzdura. Takim ludziom, jak Claire zawsze się udaje.

Lillian spojrzała za okno.

- Nie powiedziałabym, żeby miała aż tak dużo szczęścia. Żaden z jej wielkich planów nie wypalił. Larry Fulton i ja zerwaliśmy, ale nie ożenił się z nią, tylko z Sheilą. Trevor Thornley się skończył, więc nie wyszła za niego i nie została żoną senatora. Marilyn wylała ją z pracy. Raczej trudno uznać Claire za wygraną.

Następnego ranka pojechali do miasta na ciepłe croissanty i kawę. Gabe zatrzymał się na parkingu przed Incandescent Body. Przez szyby przyglądał się ciepło oświetlonemu wnętrzu piekarni. Było trochę klientów. Wśród moknących w deszczu samochodów zauważył wielkiego SUV-a Mitchella, starą furgonetkę Arizony i radiowóz Seana Valentine'a.

- Mało zachęcający widok - mruknął. Chcesz pojechać gdzie indziej?

- Ale nigdzie indziej nie mają takich croissantów, - Lillian naciągnęła kaptur i sięgnęła do klamki. - Chodź, damy radę.

- No, nie wiem. - Niechętnie otworzył drzwi. - Trochę za wcześnie jak na przedstawienie, w których główne role grają Harte i Madison.

- Bzdura. Na to nigdy nie jest za wcześnie.

Postawił kołnierz kurtki i poszli szybko do wejścia. Otworzył szklane drzwi. Natychmiast wyczuł szczególną atmosferę. Było głośniejsze niż zwykle. W pierwszej chwili pomyślał, że to poruszenie jest spowodowane wspólną kawą Mitchella i Sullivana. Jednak zaraz się przekonał, że nikt nie zwracał na nich szczególnej uwagi. Siedzieli przy stoliku z Bryceem i Seanem.

Jak było do przewidzenia, wszyscy spojrzeli w stronę drzwi. Lillian ściągnęła kaptur i uśmiechnęła się promiennie. Gabe pozdrowił ogół skinieniem głowy i ruszył do kontuaru. Przed spotkaniem z Mitchellem i Sullivanem musiał wzmocnić się kawą.

- Co się dzieje? - zapytał Heralda, który przyjął ich zamówienie na croissanty i pieczywo kukurydziane.

- Nic nie wiecie?

- Zanim zdążyła odpowiedzieć, uchyliła się zasłona. Zobaczyli Arizonę, która na nich kiwała.

- Chodźcie tu szybko - syknęła.

Gabe spojrzał na Mitchella i Sullivana. Kontynuowali rozmowę z Seanem. Pomyślał, że wcale mu się nie pali, żeby do nich dołączyć. Zwołane przez Arizonę zebranie na pewno będzie o wiele bardziej interesujące. Zerknął na Lillian. Wzruszyła ramionami i weszła za zasłonę. Gabe zabrał swoje zamówienie i przeszedł przez kontuar. Przy dużym stole stali znajomi Heraldowie na czele z Photonem. Przywitali Lillian i Gabe'a poważnym skinieniem głowy.

- Dzień dobry - powiedział Gabe.

- O co chodzi? - zapytała Lillian.

Arizona stuknęła wałkiem do ciasta w pokryty mąką stół.

- Właśnie nastąpił bardzo interesujący zwrot wydarzeń. Oczywiście media i lokalne władze, łącznie z Seanem Valentine'em, kupiły bajeczkę, którą im wcisnęły te cwaniaki z instytutu. Ale można się było tego spodziewać. - Pokręciła głową. - Naiwni.

Gabe oparł się o ścianę, rozkoszując kukurydzianym smakiem bułki.

- Co to za historia?

- Według oficjalnej wersji, Claire Jensen miała wczoraj wypadek samochodowy, kiedy wyjeżdżała z miasta. Teraz jest w szpitalu.

- Boże. - Lillian wpatrywała się w Arizonę. - Nic jej nie jest?

- Sean mówi, że się potłukła, ale się wylize. Badał tę sprawę. Padał deszcz, a ona pędziła jak szalona. Za szybko weszła w zakręt. To znaczy tak mówił komisarz, my jednak dobrze wiemy, jaka jest prawda.

Lillian odchrząknęła.

- Czyli?

- To oczywiste. Zobaczyła coś, czego nie powinna. Pewnie odkryła podziemne laboratorium. Upozorowali wypadek, żeby się jej pozbyć. Miała szczęście, że sknócili sprawę.

Lillian spojrzała na Gabe'a.

- A mówiłeś, że nie wierzysz w karmę.

- Zmieniam zdanie - powiedział Gabe. Człowiek codziennie uczy się czegoś nowego.

Ujął ją pod rękę i wrócili na główną salę. Kilka par oczu odprowadziło ich do małego stolika, przy którym siedzieli Mitchell, Sullivan, Bryce i Sean.

Lillian pochyliła się i pocałowała Sullivana w policzek.

- Dzień dobry, dziadku.

- Dzień dobry, skarbie.

Gabe przywitał się z mężczyznami skinieniem głowy.

- Dobrze widzieć, że przez noc nie powybijaliście sobie zębów.

- Kiedy będziesz w naszym wieku, zastanowisz się dwa razy, zanim zaryzykujesz utratę zęba - zażartował Sullivan. Nie zostało ich nam wiele.

Lillian przywitała się z pozostałymi i usiadła obok dziadka.

- Arizona przedstawiła wam swoją wersję wypadków? - zapytał Mitchell Gabe'a.

Gabe postawił na stoliku kawę i położył nadgryzioną bułkę. Wyciągnął sobie krzesło.

- Według A.Z., wszystko to jeden wielki spisec.

Sullivan roześmiał się.

- Muszę przyznać, że jej interpretacja lokalnych wydarzeń jest zawsze znacznie ciekawsza od mojej - wtrącił się Sean.

- Czyli to był wypadek? - zapytała Lillian.

- Zdecydowanie. - Komisarz ugryzł kawałek dużego ciastka z galaretką. - Claire musiało się bardzo spieszyć z wyjazdem. Jechała ze sto dziesięć na godzinę, kiedy weszła w zakręt koło Ericksonów.

Bryce pokręcił poważnie głową, wyrażając dezaprobatę.

- Wszyscy wiedzą, że to bardzo niebezpieczny zakręt.

- Sanitariusze, którzy wyciągali ją z samochodu, powiedzieli, że strasznie się rzucała. - Sean przełknął i sięgnął po kawę. Ciągle powtarzała: jakie to wszystko niesprawiedliwe.

Rozdział 26

Wieczorem na wernisażu w miejscowej filii Bright Visions Gallery Sullivan w towarzystwie Mitchella stał z kieliszkiem szampana w ręce i przyglądał się tłumowi krążącemu pośród obrazów Lillian. Przepelniała go duma.

- Zupełnie inaczej niż tydzień temu w Portland zauważył Mitchell. - Jedynym przedstawicielem mediów jest „*Journal*”. Ale Eclipse Bay nie należy do artystycznych ośrodków zachodniego świata.

- Wystawa w Portland była specjalnie pod media. Chodziło o zyskanie rozgłosu - przypomniał mu Sullivan. - Wszystko poszło tak, jak zaplanowała Octavia Brightwell. O Lillian mieli się dowiedzieć poważani kolekcjonerzy, muzea i galerie. Dzisiejsza impreza jest dla Eclipse Bay.

- Są zachwyceni. - Mitchell uśmiechnął się szeroko. - Tylko popatrz. Odstroili się i popijają szampana. Wątpię, żeby mieli pojęcie o sztuce, ale z pewnością świetnie się bawią.

Tłum wypełniający galerię składał się głównie z miejscowych. Przybyli wszyscy, począwszy od braci Willisów, kończąc na dziwnie ubranej grupie z Incandescent Body. Sullivan podejrzewał, że to nie umiłowanie sztuki sprowadziło tu tak wielu mieszkańców Eclipse Bay w ten deszczowy wieczór. Główną przyczyną była czysta ciekawość. Szybko się rozniosło, że na imprezie będą obie rodziny: Harte'ovvie i Madisonowie. Nie było też tajemnicą, że Lillian i Gabe są zaręczeni.

Darmowe drinki i przystawki również odegrały pewne znaczenie. Kto by pomyślał, że Harte'ówna zostanie malarką? zauważył z przekąsem Mitchell.

- Kto by uwierzył, że któremuś z Madisonów uda się rozkręcić dochodowy biznes?

- Trzeba przyznać, że Octavia umie wydać przyjęcie. - Mitchell poczęstował się kanapeczką z serem.

- Wszystko jest pierwsza klasa. Choć większość obecnych na pewno zadowoliliby się podrabianym szampanem.

- Spóźniłeś się. - Stała na palcach, żeby go pocałować.

- Mhm. - Chciała się odsunąć, ale objął ją i przyciągnął, zamykając jej usta w długim, rozpalającym pocałunku.

Kiedy w końcu puścił Lillian, była zaczerwieniona i nie mogła złapać oddechu. Widziała w oczach Gabe'a znajomy błysk. Nie tylko na nią podziałał gorący uścisk.

- Dzięki. Tego mi było trzeba - powiedział. - Miałem trudne popołudnie.

- Co się stało?

- Mitchell, Sullivan i twój ojciec złożyli mi niezapowiedzianą wizytę. Dwie godziny temu, akurat kiedy myślałem, żeby wyjść wcześniej z pracy. A tu grom z jasnego nieba.

- Zmarszczyła nos.

- I co teraz?

Nie odpowiedział od razu. Podeszedł do najnowszej pracy Lillian, niedokończonego portretu babki, matki i jej samej. Wpatrywały się w zatokę. Każda z nich patrzyła inaczej, bo każda była na innym etapie życia, ale nie sposób było nie zauważyć łączących ich więzów.

Gabe przyglądał się obrazowi.

- Cholera, dobra jesteś - powiedział w końcu. - Naprawdę dobra.

- Dzięki, ale unikasz tematu.

- Jestem prezesem i dyrektorem generalnym. Można powiedzieć, że unikanie nieprzyjemnych tematów mam we krwi.

- Czego oni chcieli, Gabe? - zapytała już lekko rozdrażniona.

- Przedstawili mi propozycję.

- A niech to.

- Zareagowałem podobnie.

- Gabe?

- Chcą zrobić fuzję.

Minęła chwila, zanim odzyskała mowę.

- Fuzję? Zamierzają połączyć Madison Commercial i Harte Investments?

- Tak.

- O rety.

Madisonowie i Harte'owie dostaną po pięćdziesiąt procent udziałów nowej spółki. Akcjonariuszami mogą być tylko członkowie rodziny. Zarząd będzie się składał z równej liczby Harte'ów i Madisonów. Ja zostanę prezesem i dyrektorem generalnym.

- O rety.

- To połączenie niesie za sobą wiele korzyści - ciągnął Gabe, jakby czytał z prospektu. - Nowy podmiot będzie posiadał dwa razy większe zasoby. Znacznie podniesiemy obroty i będziemy działać na szerszą skalę.

- O rety. - Czując, jak wzbiera w niej śmiech, szybko zakryła usta dłonią.

- Ale to będzie też mój najgorszy koszmar.

- Rozumiem. - Już nie powstrzymywała śmiechu. - Na samą myśl o okiełznaniu zarządu składającego się wyłącznie z Harte'ów i Madisonów każdemu prezesowi włos by się zjeżył na głowie.

- Nic mi o tym nie mów.

- Ale jesteś Madisonem. Założę się, że nawet powieka ci nie drgnęła. No dobrze, a jak się będzie nazywać nowa spółka?

- Padła propozycja: Harte-Madison. Zdaje się, że to był pomysł twojego ojca. Na pamiątkę firmy założonej przez Mitcha i Sulliivana. Ale się nie zgodziłem.

- I na czym stanęło?

Odwrócił się od portretu i podszedł do Lillian, obdarzając ją niepowtarzalnym uśmiechem a la Madison - niewiarygodnie seksownym, odsłaniającym idealne zęby, który sprawiał, że serce zaczynało bić jej szybciej.

- Madison-Harte, oczywiście.

- No jasne. Podoba mi się. Ma coś w sobie.

- Prawda?

Objął ją i przyciągnął do siebie. Pocałunkiem, który nastąpił, jeszcze raz udowodnił, że nic nie może stać się pomiędzy Madisonem a jego namiętnością.